

ks. Stanisław Sidelko SCJ



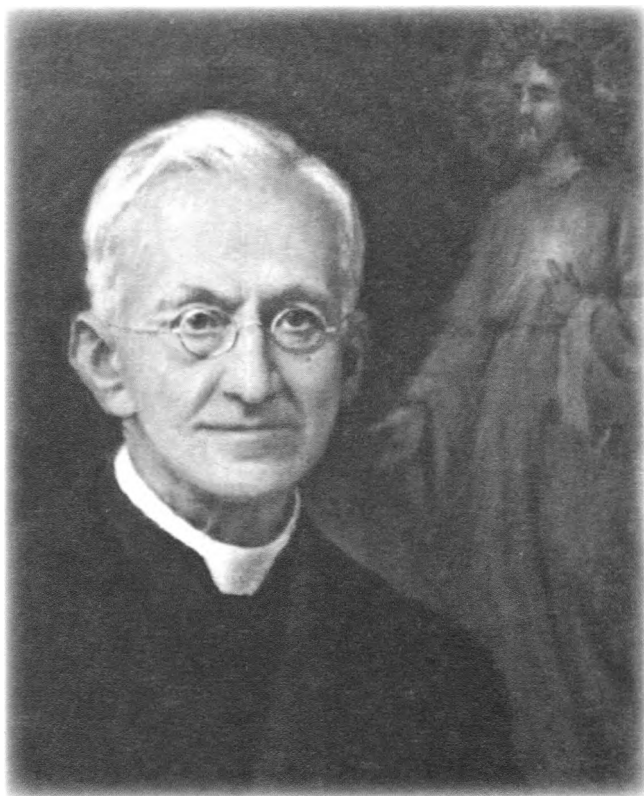
o. Leon Jan

Dehon



Ojciec Leon Jan Dehon

Wydano
w Roku Sercańskim 2003



Ojciec Leon Jan Dehon
Założyciel Zgromadzenia
Księży Najświętszego Serca Jezusowego

Wydawnictwo Księży Sercanów
wchodzi w skład

ORDO
grupa wydawnicza

ks. Stanisław Sidelko SCJ

Ojciec Leon Jan Dehon

Założyciel Zgromadzenia Księży
Najświętszego Serca Jezusowego
(Księży Sercanów)



WYDAWNICTWO KSIĘŻY SERCANÓW

REDAKCJA
Wydawnictwo DEHON

PROJEKT OKŁADKI
Ewa Stokłosa

KOREKTA JĘZYKOWA
Zespół

ZDJĘCIA – ARCHIWUM

ISBN 83-88465-93-7

© 2003 Wydawnictwo Księży Sercanów
ul. Saska 2, 30-715 Kraków
Tel./fax: 0 (prefiks) 12 290-52-98
0 (prefiks) 12 290-52-99
e-mail: dehon@wydawnictwo.net.pl
sprzedaz@wydawnictwo.net.pl
www.wydawnictwo.net.pl

Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca

*P*odczas uroczystej Eucharystii pod przewodnictwem ks. kard. Franciszka Macharskiego, w dniu 21 czerwca 2003 roku, dane nam będzie sięgnąć refleksją do naszych korzeni i pochylić czoła nad 75-letnim dziedzictwem Polskiej Prowincji Zgromadzenia Księży Najświętszego Serca Jezusowego.

Składamy więc hołd kilku pokoleniom Sercanów za ich modlitwę i wysitek, które przejęliśmy w dziedzictwie i w tym jubileuszowym roku przenosimy je w kolejną perspektywę naszych dziejów.

Pod koniec Roku Sercańskiego i na początku nowego Jubileuszu, w dwudziestym piątym roku pontyfikatu Ojca Świętego Jana Pawła II, otrzymujemy książkę napisaną przez ks. Stanisława Sidelkę, sercanina.

Autor odbył studia filozoficzno-teologiczne we Włoszech. Był przełożonym prowincjalnym, cenionym i długoletnim misjonarzem, głoszącym rekolekcje i misje w Polsce. Szczególną miłością otaczał Założyciela Księży Sercanów, o. Leona Jana Dehona. Korzystając z dostępnych mu źródeł, podjął w 1985 roku próbę, pierwszą w języku polskim, „nakreślenia sylwetki tego niezwykłego człowieka”.

Mam głęboką nadzieję, że przedstawione w niniejszej książce życie i działalność o. Leona Dehona przyczynią się również do lepszego poznania duchowości

Założyciela Zgromadzenia Księży Sercanów. Jego wyjątkowo bogata i ciekawa sylwetka budziła zawsze wielkie zainteresowanie.

Na progu Jubileuszu polecajmy Bożemu Sercu całą Rodzinę Sercańską: zakonników i wiernych świeckich, prosząc, by nie brakło tych, którzy głosić będą Jego Miłość.



ks. Zbigniew Bogacz SCJ
Prowincjał

Warszawa, 2 kwietnia 2003 r.

*Moim Drogim Rodzicom,
Władysławie i Alojzemu,
którzy poświęcili swoją rodzinę
Najświętszemu Sercu Jezusa
i oddali swoich dwóch synów
na Jego służbę.*

Autor

Wstęp

Ojciec Leon Jan Dehon, Francuz z pochodzenia, założyciel Zgromadzenia Księży Najświętszego Serca Jezusowego, był działaczem społecznym, autorem wielu rozpraw i książek o tematyce społecznej, teologicznej i ascetycznej, w sposób szczególny zaś krzewicielem miłości do Bożego Serca, szerzącym ideę wynagrodzenia Najświętszemu Sercu Jezusa za wszystkie grzechy popełniane przez ludzkość, oraz niestrudżonym budowniczym Jego królestwa w świecie.

Wyjątkowo bogata i ciekawa osobowość o. Dehona budziła powszechne zainteresowanie. To też niedługo po jego śmierci zaczęły ukazywać się artykuły i książki na temat jego życia i podejmowanych przedsięwzięć. Życiorysów tych, w różnych językach, zwłaszcza po francusku i włosku, ukazało się bardzo wiele; wystarczy tu wspomnieć dzieła takich autorów jak: G. Kanter, A. Ducamp, A. Boschini, H. Dorrestejn,

A. Bosio, G. Frediani, B. Caporale. Z zawartych w nich informacji korzystałem wielokrotnie podczas pisania tej książki.

Szczególnie dużo zawdzięczam jednak w tym względzie samemu o. Dehonowi, który w osobistych notatkach, listach i książkach pozostawił bogaty materiał i odkrył wiele tajemnic swego świętobliwego życia. Opisując je, oparłem się przede wszystkim na tych materiałach.

Najczęściej będę cytować wyjątki z jego notatników, których rękopisy znajdują się w Archiwum Kurii Generalnej Księża Sercanów w Rzymie. Na całość składa się 60 zeszytów: 15 „czarnych” – większego formatu i 45 „szarych” – mniejszego formatu. Zeszyty czarne dotyczą lat 1843-1886 i zostały sporządzone przez czterdziestotrzyletniego autora po 1886 roku jako *Notes sur l'histoire de ma vie* (*Zapiski dotyczące mojego życia*). Zeszyty szare, obejmujące lata 1886-1925, pisane były na bieżąco jako *Notes quotidiennes* (*Zapiski codzienne*); nazywamy je dziennikami. Autor w 1915 roku napisał o nich: „Prowadzę moje zapiski. Święty Ignacy czynił to przez trzydzieści lat, ale zniszczył je przed śmiercią, ponieważ zwierzył się w nich z wielu swoich nadzwyczajnych łask, które przynosiły mu zaszczyt. Moje notatki mogą być pożyteczne dla historii

Zgromadzenia. Pod koniec mojego życia zrobię z nimi to, czym natchnie mnie łaska”¹. Dzięki Bogu, że ich nie zniszczył. Są one wspaniałym źródłem informacji o jego życiu wewnętrznym i działalności, a zarazem kroniką początków założonego przez niego zgromadzenia.

Ojciec Dehon obdarzył nas nie tylko swoimi dziennikami, pozostawił po sobie także setki fotografii. Dotrwały do naszych czasów zdjęcia rodziców, zdjęcia z jego lat dziecięcych, kapłańskich, a nawet z ostatnich lat życia. Był fotografowany w różnych okolicznościach: jako chłopiec w kolegium z motylkiem i zadbaną fryzurą, jako student paryskiego uniwersytetu i adwokat w cylindrze i z bródką *à la Cavour*, jako turysta w sportowym garniturze, w dużym kapeluszu i z lornetką w ręce... Widzimy go również w Rzymie jako kłeryka w obszernym płaszczu do kostek, jako kapłana w pelerynie, kanonika w rokiecie i mantolecie czy też jako zakonnika w różnych ubiorach. Nie brak też zdjęcia w czarnym garniturze z dużym czarnym krawatem, zrobionego z okazji podróży do Rosji. Pozwalał się fotografować osobno i w grupie, przy różnych okazjach i w wielu sytuacjach: na koniu w Brazylii, z kijem podróжным w Palestynie, na kolanach przed figurą Chrystusa w Saint-

-Quentin, na fotelu z konstytucjami zgromadzenia w Brukseli; są jego podobizny w szatach liturgicznych przy ołtarzu lub w komży podczas nabożeństwa.

Istnieje więc wiele źródeł, umożliwiających nakreślenie jego fizycznej i duchowej sylwetki. Najbardziej jednak liczę na pomoc Bożego Serca, które on tak bardzo ukochał i czcił, wiernie Mu służąc i oddając całe swoje życie.

Korzystając z wszystkich dostępnych źródeł, podjąłem próbę – pierwszą w języku polskim – nakreślenia sylwetki tego niezwykłego człowieka.

Oddając tę książkę do rąk polskich czytelników, pragnę serdecznie podziękować za merytoryczne opracowanie maszynopisu ks. Mirosławowi Danilukowi (rozdz. I-IX), doświadczonemu redaktorowi *Encyklopedii katolickiej*, oraz ks. Janowi Hojnowskiemu, profesorowi seminarium naszego zgromadzenia.

Autor

Zakopane, 2 lutego 1985 r.

Wczesne dzieciństwo i lata szkolne

„Rodzinny dom to istny raj, dar Ojca Niebieskiego” – śpiewamy w pieśni. Słowa te odnieść możemy do rodzinnego domu Leona Dehona.

Urodził się on 14 marca 1843 roku w La Capelle, we Francji. La Capelle było małą miejsciną, liczącą około 2 tysiące mieszkańców. Większość z nich prowadziła skromne przedsiębiorstwa handlowe. Tylko około 50 rodzin trudniło się rolnictwem.

Rodzice, Aleksander Julian Dehon i Stefania z domu Vandelet, postanowili nadać dziecku imię Leon. Obstawała przy tym zwłaszcza matka; jej syn po wielu latach napisze: „przypominało jej Leona XII, świętego papieża mojej młodości”¹. Imię to odziedziczył Leon zresztą po najstarszym bracie, który zmarł, mając zaledwie 4 lata. Miał on również drugiego, starszego od siebie o 4 lata brata – Henryka.

Na rodziców chrzestnych poproszono stryja Gustawa i stryjenkę Juliettę. Opóźniony z powodu dłuższej nieobecności stryja chrzest odbył się 24 marca w kościele parafialnym w La Capelle. Sakramentu udzielił ks. proboszcz P. Hécart. O tym wydarzeniu Leon Dehon napisze 44 lata później: „Zostałem ochrzczony 24 marca w biednym kościele w La Capelle... Było to święto małego męczennika Szymona, a zwłaszcza wigilia Uroczystości Zwiastowania. Byłem szczęśliwy, mogąc później łączyć wspomnienia mego chrztu ze słowami Pana Jezusa: «Oto idę»... «Oto idę» Serca Jezusowego wsparło i pobłogosławiło moje wejście w życie chrześcijańskie. Pan Jezus z pewnością nie weźmie mi tego za złe, jeśli dopatrywać się w tym będę gestu Opatrzności w kierunku mojego obecnego powołania jako kapłana oddanego bez reszty Najświętszemu Sercu”².

„Oto idę”, przez które Słowo Wcielone wypowiada pełną gotowość i oddanie Ojcu Niebieskiemu, stanie się dla rodziców Dehona formułą jego konsekracji i bezwarunkowego oddania się Bogu w Najświętszym Sercu Jezusa. Często będzie powtarzał te słowa w swoim życiu i ciągle do nich powracał.

Pamięć o obrzędzie chrztu będzie mu droga przez całe życie. W kolegium często odnawiać będzie jego obietnice, w czasie studiów rzymskich pełniej zrozumie ich znaczenie, a podczas wakacji stara chrzcielnica w La Capelle stanie się dlań miejscem pielgrzymek.

Najdawniejsze wspomnienia Leona sięgają 1846 roku. W tym czasie jego matka i ciotki rozprawiły szeroko na temat objawień w La Salette z 19 września tego roku. Nawiązując do nich, zanotuje w dzienniku 19 września 1914 roku: „Rocznica La Salette to data, ku której sięgają moje najodleglejsze wspomnienia. Byłem bardzo mały: miałem trzy i pół roku. Matka i ciotki wspominały o karach przepowiedzianych dla Francji i o łzach Dziewicy. Kar nie brakło. Łzy wzbudziły wiele czynników pokutnych i wynagradzających. Nasze wynagrodzenie też częściowo stąd czerpało swoją inspirację”³.

Gdy miał 4 lata, ciężko zachorował, a wylew krwi do mózgu spowodował częste bóle głowy, towarzyszące mu przez całe życie. Pozostałością chorób z lat dziecięcych był również przytępiony słuch.

Najdroższym skarbem Leona była matka, którą kochał i czcił. Razem z nią klękał przy

domowym ołtarzyku z figurą Serca Pana Jezusa. Ona, bardzo pobożna i przykładna, przepełniona troską o jego religijne wychowanie, wdrażała go w tajemnice bliskiego obcowania z Bogiem. Była przecież wychowanką Sióstr Najświętszego Serca i spotykała się z ich świętą założycielką Zofią Barat. Marzyła nawet o życiu zakonnym, o wstąpieniu do klasztoru, ale okoliczności życiowe skierowały ją na inne drogi.

Pięknie sylwetkę matki ukazał Leon, pisząc: „Moja matka była dla mnie jednym z największych darów Boga i narzędziem niezliczonych łask. Jak poważnie traktowała życie, jak cnotliwe było jej postępowanie, jak wielka była jej wiara i serce!... Wielką łaską dla mojej matki było wychowanie, które otrzymała w pensjonacie w Charleville prowadzonym przez Siostry Opatrzności... Żyły one duchem Najświętszego Serca... Duch tego domu był prawdziwie chrześcijański i Boży. Matka moja opuściła ten dom ubogacona w pobożność oświeconą i mocną oraz w święte przyzwyczajenia, które miała zachować przez całe życie. Zasmakowała w świętej liturgii i żyła duchem Kościoła. Korzystała z czytań specjalnych w okresie Adwentu i Wielkiego Postu. Nosiała święty szkaplerz i odmawiała różaniec, należała do Zgromadzenia Maryi

Dziewicy i do Bractwa Najświętszego Serca... Widziałem, jak gorliwie brała udział w nabożeństwach majowych, czerwcowych i marcowych na cześć św. Józefa... Chciałbym tu Bogu szczególnie podziękować za taką Matkę i za to, że przez nią wtajemniczył mnie w miłość Bożego Serca, czyniąc mnie, rzecz można, małym, duchowym synem matki Barat, której święty ideał próbuję realizować w dziele Księży Najświętszego Serca... W najodleglejszych moich wspomnieniach góruje właśnie matka. Nie opuszczałem jej w dzieciństwie. Podczas gdy mój brat jeździł z ojcem, dzieląc z nim upodobania do uprawy roli i do koni, ja pozostawałem w domu, chodząc krok w krok za matką. Była to dla mnie łaska"⁴.

Matka Leona była niewiastą tradycyjną, rozmiłowaną w zajęciach domowych, zatroskaną o męża i dzieci, ponadto całym sercem oddaną Bogu i Matce Najświętszej. Pod jej kierunkiem Leon rozwijał swój umysł, kształtował charakter, przygotowywał swoje serce do wielkich zadań życiowych, jakie mu opatrzność Boża wyznaczyła.

Matka kochała go bardzo i często powtarzała jego imię: Leoś. „Dała mi to imię na pamiątkę po małym aniołku, moim najstarszym bracie,

który, mając 4 lata, umarł na kilka miesięcy przed moim narodzeniem. Ten mały anioł był bardzo kochany. Zdawał się zadziwiająco dojrzały, inteligentny i dobry. Matka prowadziła mnie często na jego mały, marmurowy grób na starym cmentarzu. Nie widziałem nigdy, by matka moja mówiła o nim bez płaczu. Zawsze uważałem także tego małego aniołka za mego opiekuna i bardzo często wzywałem go”⁵.

Mały Leon miał wspaniałych rodziców, żyjących w przykładowej zgodzie, stanowiących udaną parę, przejętą szczególnie przyszłością swoich dzieci. Jedyną chmurą nad jego rodziną była religijna obojętność ojca, nad którą bolała matka. Często klęczała z dziećmi, modląc się z nimi gorąco o jego nawrócenie. „Mój ojciec – wyznał syn – nie zaznał w pełni dobrodziejstw chrześcijańskiego wychowania. Po pierwszych latach spędzonych w pensjonacie w La Capelle i w Mondrepuis był uczniem kolegium w Saint-Quentin i jednego z instytutów w Paryżu. Z wychowania rodzinnego zachował równowagę ducha i dobroć, które charakteryzowały całe jego życie. W kolegium zaniechał praktyk życia chrześcijańskiego, zachowując jednak dla nich szacunek i uznanie. To, co mu pozostało z wiary i miało ciągle wzrastać, zawdzięczał zwłaszcza

cza stałemu wpływowi mojej matki, jej modlitwom i ofiarom. Modliłem się za ojca również i ja od momentu, kiedy zacząłem pojmować sprawy wiary. Ileż razy w kolegium, a szczególnie w Rzymie, przyłapywałem się na wylewaniu łez, modląc się o jego zbawienie”⁶.

Leon kochał ojca, okazywał mu szacunek, podziwiał jego pracowitość i zapobiegliwość o sprawy materialne rodziny. Nie chodził jednak z nim do pracy na roli ani na wyścigi konne. Wolał pracować z matką w ogródku, a najbardziej pozostawać z nią w domu. Urzekła go ciepła atmosfera, którą umiała wytworzyć. Ona opowiadała mu o tajemnicach rodzinnych, ojczystych dziejach, a najczęściej o historii zbawienia. Uczyła go spraw Bożych, posługując się podręcznikiem, a zarazem modlitewnikiem używanym w domach zakonnych Zgromadzenia Sióstr św. Zofii Barat, u których spędziła swoją młodość. Tą „książeczką do nabożeństwa” chciała skierować pobożność swego syna ku nabożeństwu do Serca Jezusa. „Ulegałem stałemu oddziaływaniu mej matki i – mimo oporów natury – zasmakowałem wreszcie w pobożności i rzeczach religijnych... Matka rychło nauczyła mnie modlitwy, a pamięć chłopięcych modlitw jest mi bardzo bliska. Moja dobra matka pilno-

wała, bym modlił się rano i nieco dłużej wieczorem. Po zwykłych modlitwach do Pana Jezusa i Najświętszej Dziewicy następowały zawsze krótkie modlitwy do anioła stróża, św. Alojzego Gonzagi i św. Stanisława Kostki. Te nabożeństwa zrodziły się więc we mnie wraz z rozumem. Piękna dusza mojej matki przenikała stopniowo moją duszę, nie w pełni jednak z powodu mojej lekkomyślności”⁷.

Gdy Leon wszedł w wiek szkolny, państwo Dehonowie odbyli naradę rodzinną, której rezultatem było nie tylko wysłanie go do szkoły, lecz także zapisanie do internatu w La Capelle. Od tego momentu musiał wstawać wczesnym rankiem, aby na godzinę 6.00 zdążyć do internatu.

Tak zaczął się nowy etap w życiu dziecka. Codziennie o 6.00 był już w internacie, później w szkole i znowu w internacie. Do domu wracał wieczorem. Początkowo przyprowadzała go matka, później chodził już sam.

Leon był pilnym uczniem. Zaskakiwał inteligencją, wyróżniał się wśród innych. W szkole był prymusem. Atmosfera panująca w internacie nie miała jednak na niego najlepszego wpływu. Później tak scharakteryzował ten okres: „Internat, w którym spędziłem pierwsze dzie-

ciństwo, pozostawił niewiele dobrych wspomnień. Jak mało było w tym środowisku życia wiary i jak mało cnoty! Moje wady naturalne rozwijały się tu do woli. Byłem często próżny, gniewny, miękki i leniwy. Miałem tu złych kolegów... Szczególnie zły był ostatni rok. Moje małe namiętności stały się bardzo mocne. Nie mogłem znieść upokorzeń. Przechodziłem kilka razy ostry kryzys zniechęcenia... Ukrywałem moje wady, jak tylko mogłem. Trawiła mnie gorączkowo ciekawość, aby poznać zło. Odczuwałem pociąg do tańca i światowych zabaw... Nie zwierzałem się już matce i byłem często napominany przez moją rodzinę⁸.

Oprócz tych trudności trapiła go jeszcze choroba. On sam nazywa ją małą, lecz dała mu się porządnie we znaki. Była to „pokrzywka”, z której powodu wiele cierpiał. Matka współczuła mu, modliła się za niego i podtrzymywała go na duchu⁹.

Przez trzy lata ks. proboszcz P. Hécart przygotowywał go do Pierwszej Komunii Świętej. Jedenastoletni Leon przyjął ją 4 czerwca 1854 roku, w Uroczystość Zesłania Ducha Świętego. „Ten dzień uroczysty nie zostawił w mojej pamięci żadnej chmury. Miałem dobrą wolę, uczyłem, na co mnie było stać. Moja dobra matka

bardzo mi pomogła... Zrozumiałem, że chodzi tu o wielką sprawę. Przygotowałem się do niej dobrze i doznałem naprawdę mocnych działań łaski”¹⁰.

Leon pozostał jeszcze rok w La Capelle. „Czy nie za długo?” – zauważa później. Był to bowiem dla niego rok krytyczny, „rok durny i chmurny”, rok zamknięcia w sobie, przekory i lekkomyślności. Rodzice z bólem stwierdzali, że syn oddawał się lenistwu, stawał się niezdrowo ambitny i nieprzystępny.

Mimo to ojciec w sierpniu 1855 roku zabrał Leona na międzynarodową wystawę techniczną do Paryża. Stolica nie wywarła na chłopcu dużego wrażenia i cała podróż nie przyniosła mu większych korzyści, poszerzyła jednak nieco zakres jego wiadomości o świecie.

Zbliżał się początek nowego roku szkolnego. Leon tymczasem nie zdradzał chęci do nauki. Rodzice byli bezradni, kiedy oświadczył w sposób stanowczy, a dla nich zupełnie niezrozumiały, że jego dusza odczuwa inne potrzeby, które chyba później będzie mogła zaspokoić i wtedy poczuje się naprawdę szczęśliwa¹¹.

Najbardziej tym wszystkim przerażony był ojciec. Marzył ciągle o wykształceniu syna, o jego awansie społecznym, śnił o karierze nauko-

wej lub sukcesach w administracji państwowej. Wierzył w jego zdolności i możliwości. Żył nadzieją, że kryzys minie i chłopak weźmie się z zapalem do nauki. Planował wysłanie go na studia do Paryża. Stało się inaczej. Zdecydował przypadek: służąca, Maria Jouniaux, poradziła swoim pracodawcom, aby posłali syna do kolegium w Hazebroucku. Była ona narzędziem w rękach opatrności Bożej. Kolegium prowadzone przez wybitnych duchownych, którzy odznaczali się żywą wiarą i wielkim umiłowaniem młodzieży, stało się dla przeżywającego kryzys Leona przystanią, w której osiągnął uspokojenie i szczęście. Sam stwierdził: „Przybyłem tam 1 października 1855 roku, w dniu na zawsze błogosławionym! Tam otrzymałem takie łaski, że nie mogę o nich myśleć bez wdzięcznego wzruszenia. Tam właśnie miał mnie Pan Jezus przytulić do swego Serca, darząc pełnią miłości... Jakże błogosławię Opatrzność, że przeniosła mnie do tego kraju wiary, o obyczajach surowych i chrześcijańskich! Potrzebowałem tej gleby, by zakiełkowało moje powołanie. O jakże byłbym niewdzięczny i ślepy, gdybym jeszcze wątpił w łaskawość Opatrzności. Ileż nagromadziła tam środków do ukształtowania mnie: kolegium, spowiednika, dni odnowienia,

współuczniów, obyczaje regionu, prostotę życia, solidne studia. Czym się odwdzięczę Panu?”¹².

Rzeczywiście, pobyt młodego „panicza” w Hazebroucku był dla niego wielką łaską i błogosławieństwem. Miasto, mające 12 tysięcy mieszkańców, było położone w sąsiedztwie religijnej i obyczajowo surowej Flandrii. Mieszkał tam lud szczerze chrześcijański, o licznych rodzinach, powszechnie praktykujący, w dni świąteczne szczególnie wypełniający kościoły; duchowieństwo było liczne, aktywne i gorliwe, cieszące się wielkim autorytetem w społeczeństwie.

Ozdobą i chlubą miasta było kolegium prowadzone przez kapłanów z Flandrii, którego duszą i dyrektorem był ks. Dehaene. Leon był pod urokiem tego niezwykłego człowieka i wielkiego formatu wychowawcy. O kolegium napisze, że „było domem błogosławionym”, i dalej: „za dyrektora miało człowieka z pokolenia świętych... Wielkie było dobro świadczone przez niego. Przyjmował chłopców, którzy płacili mało albo wcale, w nadziei doprowadzenia ich do kapłaństwa... Wydaje mi się, iż uzyskał od Boga, że coś z jego duszy przeszło do mojej”¹³.

Był jeszcze drugi kapłan, profesor retoryki i dobry znawca greki, ks. Ch. Boute, który odegrał wielką rolę podczas letniego pobytu Leona

w kolegium. „Dzięki niemu – napisał Leon – wstąpiłem do kolegium w Hazebroucku. Ksiądz Dehaene był dla mnie ojcem, a ks. Boute mistrzem, mistrzem prawdziwym i dobrym, w całym chrześcijańskim tego słowa znaczeniu. Jemu zawdzięczam moje zainteresowania literackie i formację intelektualną. Przez 4 lata, od 1855 do 1859 roku, był moim przewodnikiem, doradcą i opiekunem. Co więcej, przez 2 lata, od 1857 do 1859 roku, był moim profesorem, i to jakim profesorem! Jak bardzo byłem mu wdzięczny! Jakież to humanista! Odznaczał się powagą, dokładnością, metodycznością i prawdziwą erudycją”¹⁴.

Ksiądz Boute był pośrednikiem między rodziną Dehonów a kolegium w sprawie przyjęcia ich dwóch synów, Henryka i Leona, na studia. Z ks. Boute’em Leon utrzymywał kontakt aż do jego śmierci, która nastąpiła po ciężkiej i długotrwałej chorobie w 1872 roku. „Brałem udział w jego pogrzebie – wspomina – z głębokim przejęciem. Całe jego życie było poświęcone młodości; życie straszliwie i wielokrotnie doświadczane oraz ukoronowane cierpieniem. Ksiądz Boute był narzędziem Opatrzności dla mojego chrześcijańskiego wychowania i mojego powołania, a wraz z ks. Dehaene’em wywarł

decydujący wpływ na moją młodość. Teraz jest u Boga. Uważam go nadal za mojego mistrza i rumienię się na myśl, że tam, w górze, ubolewa nad moimi niedoskonałościami”¹⁵. Między młodym Leonem a dwoma wychowawcami wytworzyła się więź doskonałego zrozumienia i ścisłej współpracy, stanowiąca istotę autentycznej pedagogiki.

Warunki życia w Hazebroucku Leon opisał w następujący sposób: „W kolegium tym życie było surowe. Część budynku to rudera w opłakanym stanie. Jedliśmy zawsze czarny chleb, a niektóre dania, smaczne dla flamandzkich wieśniaków, nie były apetyczne dla delikatnych żołądków. Regulamin był ostry: wczesne wstawanie, słabe ogrzewanie, dużo pracy i mało czasu wolnego. Nauka była uciążliwa... Spędziłem tam 4 lata. Rodzinę odwiedzałem tylko na Wielkanoc i podczas letnich wakacji”¹⁶. Leon rzadko jeździł do domu rodzinnego, ponieważ odległość z Hazebroucku do La Capelle wynosiła 200 kilometrów, a najbliższa stacja kolejowa oddalona była od Hazebroucku o 60 kilometrów.

W kolegium Leon doznawał wielu łask, szczególnie podczas rekolekcji odprawianych co roku przed rozpoczęciem nauki. Komunię świętą

przyjmował początkowo co 15 dni, później co 8, a wreszcie dwa razy w tygodniu. Spowiadał się stale u ks. Dehaene'a. W modlitwach posługiwał się *Podręcznikiem Serca Jezusowego*, który dała mu matka. Rozczytywał się w dziełach św. Franciszka Salezego i w *O naśladowaniu Chrystusa* Tomasza à Kempis. Miał tu dobrych i pobożnych kolegów, wśród których znalazł przyjaciół: „Jak wielkim darem Bożym jest dobry przyjaciel – stwierdzał. – Tylko w niebie można pojąć jego cenę. Ileż dobrych myśli, myśli ożywiających i umacniających, zawdzięcza się dobremu towarzystwu! Ileż zwycięstw nad naturą i złym duchem!”¹⁷.

Leon należał do Sodalicji Mariańskiej prowadzonej przez ks. Dehaene'a; był jej sekretarzem, a później przewodniczącym. Tam kształtowała się pomyślnie jego pobożność, a umysł zapalał się do apostołstwa. Tam dojrzewało jego nabożeństwo do Matki Bożej, które umacniało się przez całe życie. Zapisał się również do Konferencji św. Wincentego à Paulo; był jej skarbnikiem. Uczył się tam poświęcenia dla chorych, cierpiących i opuszczonych.

W trzeciej klasie wstrząsnął jego duszą potężny kryzys, o którym tak pisze: „Wiek krytyczny rozpoczął się w trzeciej klasie. Walka była strasz-

na. Miałem pokusy pychy, próżności, a zwłaszcza zmysłowości. Czasem byłem łakomy, nieprzyjemny wobec mego profesora. Czułem się tym upokorzony. Słuchałem złych kolegów i sam byłem złym kolegą dla wielu. Ulegałem partykularnym przyjaźniom i miękkości serca. Pomimo tego nie zaniedbywałem moich pobożnych praktyk. Była to walka. Podtrzymywałem ją niekiedy z odwagą. Kładłem się do snu na desce, zniewalałem moje podniebienie do przykrych umartwień i raniłem się aż do krwi. Kiedy indziej byłem zawstydzająco słaby. Często składałem ślub czystości na kilka tygodni, by sobie dopomóc¹⁸.

Walka, zmaganie się, narzucanie sobie ostrych rygorów, umartwienia, biczowanie aż do krwi i gorące modlitwy wydały zbawienne owoce. Zwycięstwo nie było darem, lecz zdobyczą. W walce dojrzewała jego dusza, przygotowując się do przyszłych zadań.

Dnia 1 czerwca 1857 roku, w Uroczystość Ześłania Ducha Świętego, Leon otrzymał sakrament bierzmowania z rąk bp. Malou z diecezji Brugge. Przygotowanie nie było najlepsze, czemu czuł się winny, przeprasząc za to Boga. Bolało go to tym dotkliwiej, im mocniej odczu-

wał w swym wnętrzu wyraźny głos, wzywający go do kapłaństwa. Głos ten nasilał się stopniowo od pierwszego pobytu w kolegium. Najmocniej jednak dał się słyszeć pewnej pamiętnej, błogosławionej nocy 1856 roku, kiedy służył na Pasterce u Ojców Kapucynów. „Pierwsze wezwanie Boże – napisze – było niejasne. Od pierwszego roku myślałem o kapłaństwie. Decyzję powziąłem podczas drugich rekolekcji. Utwierdziła się ona w noc Bożego Narodzenia. To niezwykle, że moja decyzja odtąd nie została już nigdy poważniej zachwiana. Nie zaszkodził jej wcale kryzys przeżywany w trzeciej klasie oraz nie zniechęciły mnie pokusy i słabości. To Chrystus Pan dał mi tę stanowczość, która nie była dla mnie czymś naturalnym. Łaska mocno działała w moim sercu! To, co pociągało mnie ku powołaniu, to zarazem chęć zjednoczenia z Panem Jezusem, gorliwość o zbawienie dusz i potrzeba obfitszych łask, aby się zbawić. Już na początku marzyłem o oddaniu się bez zastrzeżeń. Pragnąłem być zakonnikiem lub misjonarzem”¹⁹. Droga do zrealizowania tego pragnienia była bardzo długa. Tajemnicę swojego serca odkrył jedynie przed ks. Dehaene’em i ks. Boute’em. Rodzicom postanowił to wyjawić po ukończeniu liceum.

Wakacje spędził w domu. Z matką uczęszczał do kościoła, a z ojcem wyjeżdżał na wycieczki. Towarzyszył często ks. Damisselle'owi, nowemu dziekanowi La Capelle, w zwiedzaniu okolicy.

W sierpniu 1859 roku szesnastoletni Leon egzaminem dojrzałości w Douai ukończył liceum klasyczne i miał rozpocząć studia. Żał mu było opuścić Hazebrouck i Flandrię, odznaczającą się żywą wiarą i chrześcijańskim stylem życia. Wyniósł stamtąd bogactwa duchowe: zamiłowanie do modlitwy i pobożnych praktyk, zapał apostołski, mocną wiarę, wiele cennych znajomości i przyjaźni, dużo niezapomnianych chwil i utwierdzenia na drodze powołania.

Przyszedł czas na ujawnienie rodzicom tajemnicy swego powołania. Prosił ich o pozwolenie na wstąpienie do Seminarium św. Sulpicjusza w Paryżu. Ojciec oświadczył stanowczo, że nigdy się na to nie zgodzi. Syn obstawał przy swoim, będąc wewnętrznie przeświadczony o nadprzyrodzonym pochodzeniu wezwania. „Od tego pierwszego otwarcia się – wyznaje – dałem ojcu do zrozumienia, że wierzę mocno w moje rzeczywiste powołanie, któremu pozostanę wierny, choćbym miał czekać aż do czasu, kiedy dzięki pełnoletności uzyskam swobodę działania”²⁰.

Przeprawa z rodzicami była trudna i niejedna. Ojciec sprzeciwiał się stanowczo decyzji syna, nie popierała jej też matka. Stanowiło to życiowy problem dla chłopca. Tak pisze o tym w swoich wspomnieniach: „Ojciec mój cieszył się, a nawet triumfował po moim egzaminie dojrzałości, lecz wkrótce ogarnął go smutek, który nie opuścił go aż do śmierci. Ojciec, nie żywiąc ambicji co do siebie, miał ambicje co do mnie. Pragnął osiągnięcia przeze mnie wysokiej pozycji. Przez rok marzył o politechnice, później o magistraturze i dyplomacji, a wreszcie o godnościach kościelnych. Po kilku dniach wakacji powiedział ojcu i matce o moim powołaniu. Mogli się tego domyślać, a jednak było to dla nich jak grom z jasnego nieba. Ojciec przeczuwał całą przyszłość. Od tego czasu trwała w nim walka między nadzieją a obawą. Usiłował przekonać siebie, że zmienię zamiar, i nie miał odwagi żywić tej nadziei. W końcu odrzucił jak najdalej moje zamiary. Prosiłem go, abym mógł wstąpić do Seminarium św. Sulpicjusza, lecz odpowiedział, że nigdy mi na to nie zezwoli”²¹.

Przeszkody, jakie stanęły przed Leonem, nie wpłynęły na radykalną zmianę biegu rzeczy. Wręcz przeciwnie: chociaż opóźniły święcenia kapłańskie Leona, ostatecznie jednak przyczy-

niły się do tego, że powołanie to stało się dojrzalsze i bardziej odpowiedzialne, a owoce jego doskonalsze.

Studia i adwokatura

Na naradzie rodzinnej wydano ostateczny werdykt co do przyszłości Leona: postanowiono wysłać go na politechnikę do Paryża.

Stało się inaczej niż zamierzał. Nie wstąpił do Seminarium św. Sulpicjusza. Widocznie Pan Bóg postanowił dla jego dobra inaczej. „Zdecydowano – napisze we wspomnieniach – że mam przygotować się na politechnikę. Z początkiem października ojciec umieścił mnie w Instytucie Barbeta przy ul. Feuillantines, w pobliżu Panteonu. Pojechałem więc, aby pięć lat spędzić w Paryżu. Bardzo się tego lękałem. Jednak otrzymałem tam wiele łask, bardzo rozwinąłem się intelektualnie i nauczyłem się poznawać świat, tak by się nim nie splamić. Tam miałem zasmakować w literaturze, sztuce i podróżach. Prawo miało rozwinąć mój osąd i przygotować mnie do studiów filozoficznych. Miejsce to miało być

dla mnie źródłem pożytecznych kontaktów i znajomości. Paryż jest jednym ze szczytów cywilizacji, dlatego dobrą rzeczą jest poznać go, w nim przebywać i mieszkać. Wszystko to mieściło się w planach Boga, które mnie dotyczyły, i jestem Mu za to wdzięczny. Chrystus Pan zresztą sam mnie wspomagał i podtrzymywał swoją łaską za pośrednictwem moich pobożnych dyrektorów”¹.

Tak więc młodzieniec z Hazebroucka znalazł się w październiku w Paryżu, w środowisku bardzo odmiennym od dotychczasowego. Matka, ulegając mężowi, zgodziła się na ten wyjazd, była jednak zaniepokojona, lękała się o syna. Z wielką troską myślała o swoim dziecku, zagubionym w obcym mieście, pełnym różnych niebezpieczeństw, w którym wielki świat, z jego atrakcjami i luksusem, wydawać się mógł szczególnie pociągający. Obawiała się, by pobyt w Paryżu nie stał się grobem dla jego wiary i ludzkiej godności. Przejmował ją lęk tym większy, że od syna nadchodziły alarmujące wieści.

Również drugi syn Dehonów, Henryk, przebywał na studiach w Paryżu. Henryk mieszkał na stacji przy ul. de Madame 7 i studiował prawo, Leon zaś w Instytucie Barbeta, który przygotowywał kandydatów do szkół państwowych.

Leon swój pobyt w Paryżu wspomina w następujący sposób: „W instytucie pozostałem tylko dwa miesiące jako pensjonariusz. Cierpiałem tam zbyt wiele. Panowała tam jakże odmienna atmosfera od tej w Hazebroucku. Zdawało się, że studenci nie mieli wcale wiary. Błuznierstwa wielu z nich były obrzydliwe. Niemoralność innych była jawna i grubiańska. Odmawiano modlitwy, lecz jakie to były modlitwy! (...) Z tego domu nie pozostało w mojej pamięci żadne imię nauczyciela ani ucznia. Nie znajdowałem wcale miejsca dla siebie w tym środowisku i nie przywiązałem się do nikogo. Byłem tam jak przechodzień”².

Koledzy naśmiewali się z jego pobożności, zaczepiali go, zrywali mu z głowy beret, obrzucali wulgarnymi i bezbożnymi wyzwiskami. W środowisku pospolitym i przesyconym niechęcią do spraw wiary nie mógł dłużej przebywać chłopiec o tak wrażliwym usposobieniu i tak prawej duszy. Byłaby to dla niego zbyt duża udręka. Napisał więc do ojca, przedstawiając sytuację, i uzyskał od niego zezwolenie na opuszczenie pensjonatu i zamieszkanie przy ul. de Madame z bratem Henrykiem. Stamtąd uczęszczał nadal, przez 5 lat, aż do końca maja 1860 roku, jako słuchacz eksternista do Instytutu

Barbeta, później na kursy kontrolne do Instytutu Mommenheim przy ul. des Postes, ponieważ czuł się słaby z niektórych przedmiotów, zwłaszcza z fizyki. Maturę matematyczno-przyrodniczą złożył tego roku w lipcu.

Od kiedy zamieszkał z bratem, powrócił do pobożnych zwyczajów, nabytych w kolegium w Hazebroucku. Każdego tygodnia przystępował do spowiedzi w kościele św. Sulpicjusza, gdzie znalazł doświadczonego i dobrego spowiednika, o. Prévêla. Prawie codziennie uczestniczył we Mszy świętej, nawiedzał kościoły, zapisał się do studenckiego Kółka Katolickiego i do Konferencji św. Wincentego. „W ten sposób – stwierdzi – odnalazłem wszystkie niezbędne środki do wytrwania i postępu. Jak dobry był dla mnie Pan Jezus! Prowadził mnie jakby za rękę i wszędzie napełniał mnie swoimi łaskami”³.

Kościół św. Sulpicjusza stał się jego parafią. Uczęszczał tam przez 5 lat. Bardzo się do niego przywiązał nie tylko z racji pięknej architektury, fresków i malowideł, lecz z powodu panującej w nim atmosfery łaski i modlitwy, o czym tak napisze: „Pan Jezus daje swoją łaskę, gdzie Mu się podoba, i właśnie tam, w cieniu seminarium, w kościele księdza Olieria i pobożnej rodziny sul-

picjańskiej, w kościele święceń, w którym panuje powiew kapłański i lewicki, chciał mi ich udzielać”⁴.

Tam otrzymywał on niedzielną gazetkę „La Semaine Religieuse”, z której czerpał informacje o bieżących sprawach dotyczących religii, liturgii i sławnych kaznodziejów, których pilnie słuchał w kościele św. Sulpicjusza. Tam także spotykał się często z o. Prévelem, któremu wiele zawdzięczał: „On mnie zrozumiał i zdobył moje zaufanie, sprawił, że wróciłem do moich pobożnych zwyczajów z Hazebroucku. Jemu powiedziałem o moim powołaniu. Mówił mi wiele o Rzymie... Spowodował, że przystąpiłem do religijnych stowarzyszeń paryskich, którym zawdzięczałem tyle łask, i wywarł nacisk, bym zapisał się do Kółka Katolickiego, co zalecał mi również ks. Dehaene. On mnie przedstawił w Konferencji św. Wincentego i wywarł najlepszy wpływ na trzy pierwsze lata mojego studenckiego życia. Był to prawdziwy kapłan. Wkrótce razem z nim zdecydowałem się wstąpić do Trzeciego Zakonu św. Franciszka”⁵.

Ojciec Prével zaangażował też Leona do akcji, którą sam zainicjował. Stała się ona dla Leona wzorem w prowadzeniu Patronatu św. Józefa, jaki założył później w Saint-Quentin. Chodziło

o działalność mającą na celu szerzenie nauki chrześcijańskiej wśród uboższych warstw ludności. Ojciec Prével w kaplicy przy kościele gromadził dwa razy w miesiącu 200 lub 300 biednych z dzielnicy. Świeccy studenci-katecheci przez niego przygotowani – a wśród nich Leon – uczyli ich katechizmu i historii świętej. Spotkanie kończyło się loterią, stanowiącą okazję, by porozmawiać z nimi i zachęcić do sakramentów.

W Kółku Katolickim, którego przewodniczącym był uroczy ks. Beluze, przypominający św. Franciszka Salezego lub św. Wincentego, Leon znalazł odpowiednie środki do rozwoju intelektualnego. Uzyskał dostęp do dzienników, tygodników i książek, mógł spotkać interesujących młodych ludzi z różnych środowisk, poszerzyć swoje horyzonty i w ten sposób zaspokoić, przynajmniej w części, głębokie pragnienia swej duszy. Spotkania odbywały się w panującej ogólnie rodzinnej atmosferze. Odczyty na temat literatury i prawa, piękne wieczory rozrywkowe z muzyką koncertową, rozmowy przy herbacie z wartościowymi osobami, dyskusje nad problemami z dziedziny polityki i religii – wszystko to było pokarmem dla jego umysłu i duszy, który skwapliwie chłonał. „Urok i pożytek tych spotkań – pisze – to wymiana uczuć chrześci-

jańskich, przekazywanie spontanicznego entuzjazmu dla wszystkich szlachetnych spraw i wspaniałych idei. Sądzę, że Paryż nie miał nic piękniejszego od tych spotkań, gromadzących całą elitę, całą nadzieję i jakby cały kwiat młodości, wiary, szlachetności i inteligencji. Dzięki składam Opatrzności, że tam mnie zaprowadziła. Tam widzę ziarno i posiew, z którego odrodzi się Francja”⁶.

Leon działał również w Konferencji św. Wincentego. Otaczała ona opieką chorych i biednych w dzielnicy Mouffetard, „zatłoczonej, starej, niezdrowej i rojącej się od nędzy moralnej i fizycznej” – jak o niej pisze sam Leon. „Bieda była tam rzeczywiście obrzydliwa. Ja zajmowałem się szczególnie dwoma biednymi starcami, którzy pozbawieni wszystkiego, mieszkali na poddaszu w takiej norze, że nawet nie byłem w stanie się tam wyprostować. Potrafiłem rozbudzić w nich chrześcijańskie uczucia, a oni ze swej strony byli dla mnie zbudowaniem. W dzielnicy tej panowała nienawiść społeczna. Pewnego razu jakiś robotnik ścigał mnie dłuższy czas, obrzucając obelgami i pogroźkami jedynie dlatego, że, jego zdaniem, przynależałem do klasy społecznej wyższej niż on. Konferencja św. Wincentego à Paulo kierowała się miłością chrześci-

jańską. Był w niej prawdziwy duch Ewangelii, realizujący się poprzez pełnienie dzieł miłosierdzia. Ta organizacja miłości jest łaską naszego wieku”⁷.

W Paryżu Leon dzielił czas między kościół, szkołę, kółko a swój pokój. Dnia 12 lipca 1860 roku uzyskał licencjat z nauk ścisłych, co miało ułatwić mu dostanie się na politechnikę. Stało się jednak inaczej, niż sobie życzył ojciec. Leon poszedł w ślady starszego brata Henryka i zapisał się na prawo. Uważał, że studia prawnicze przydadzą mu się bardziej w kapłaństwie niż studia techniczne. Uczył się również języka angielskiego, gry na pianinie, a także rysunku u Noëla, znanego malarza pejzaży morskich.

W trudnościach zwracał się do dwóch znanych kapłanów: jednym z nich był biskup Orleanu F. Dupanloup, często przebywający w Paryżu, a drugim ks. A. Gratry, którego dzieło *Sources* przeczytał z zapalem.

Z bratem Henrykiem od czasu do czasu wychodził do miasta, na spacer na Pola Elizejskie, na wyścigi konne, do filharmonii i teatru. Henryk, choć nie czuł powołania do kapłaństwa, dawał swemu młodszemu bratu dobry przykład i chętnie udzielał mu pomocy. „On – pisze Leon – zawsze mnie budował, dodawał odwagi i ochra-

niał. Jestem mu nadzwyczaj wdzięczny. W Paryżu, tak jak w Hazebroucku, był dla mnie Mentorem lub raczej Rafałem. Mniej skłonny ode mnie do pobożności i do działania, i nie mając wcale tego samego powołania, cieszył się moją pobożnością oraz udzielał mi pożytecznych rad w pracy i postępowaniu. Czyniłem ustępstwa wobec niektórych jego upodobań, lecz bez ryzyka dla mojej duszy”⁸.

Leon, ucząc się prawa, myślał o przyszłym kapłaństwie; stwierdził później, że studia te były dlań cennym przygotowaniem do studiów rzymskich⁹. Ksiądz Prével chciał, aby po nich pojechał do Rzymu, jednak nowy kierownik duchowy, ks. M. de la Foulhouze, zachęcał go do studiów w Seminarium św. Sulpicjusza. Podobnego zdania był bp Dupanloup i Gratry. „Obaj byli nieufni wobec Rzymu i radzili mi św. Sulpicjusza. Biskup Dupanloup oświadczył oficjalnie, że wszystko, co posiada i czym jest, zawdzięcza św. Sulpicjuszowi. Tam rzeczywiście ukształtowano podstawy jego formacji duchowej i tam nawiązał pierwsze kontakty w Paryżu”¹⁰. Sam Leon pragnął jak najszybciej skończyć prawo i pomimo wszystko udać się do Rzymu. To odpowiadało mu najbardziej. „Miałem – stwierdza – nawet jakąś nadzieję, że po licencjacie uzyskam

od ojca zgodę na swobodne pójście za tym powołaniem”¹¹.

Po pierwszym roku prawa, wiosną 1861 roku udał się na trzy miesiące do Anglii, by uczyć się języka. Przy tej okazji zwiedził nie tylko Londyn, lecz również Twinckenam, Windsor, Kew, Richmond i Hampton-Court. „Pobył w Londynie – stwierdził – uważam za wielką łaskę Opatrzności. Dla ukształtowania mojego charakteru i utwierdzenia mojej wiary pożyteczna była możliwość obserwowania do woli surowych obyczajów tego ludu i dominującego wpływu religii na życie społeczne”¹².

Studiując na trzecim roku, Leon przeżywał kolejny okres trudności, kolejny kryzys: „Nie brakowało mi w tym roku walk wewnętrznych, bo zmysły przypuściły ostre ataki. Jeżeli mogłem się im oprzeć, to zawdzięczam to łasce Bożej, częstej Komunii świętej i chrześcijańskiemu wpływowi Konferencji św. Wincentego à Paulo. Kilku młodzieńców, których poznałem, oddało się całkowicie zepsuciu i rozpucie. Mnie Pan Jezus ustrzegł i zachował”¹³.

W kwietniu 1862 roku zdał czwarty egzamin z prawa i udał się ze swoim kuzynem Wateau w drugą podróż do Anglii. Tam dołączył do

nich ks. Poisson, który zapoznał go z Leonem Palustré'em, znanym archeologiem. „Wiele zawdzięczam Palustré'owi – pisał potem Leon we wspomnieniach. – Miał on ducha przedziwnie otwartego na sztuki piękne, historię i literaturę. Wydaje mi się, że znajomość z nim była dla mnie pożyteczna i że winienem podziękować Opatrzności, iż postawiła go na mojej drodze. Wyruszyliśmy więc w czterech, by przejechać Anglię, Szkocję i Irlandię. Znałem już na tyle angielski, by być przewodnikiem i aprowizatorem podczas podróży”¹⁴.

Przed opuszczeniem Londynu razem z Palustré'em złożyli wizytę kard. W. Wisemanowi, sławnemu arcybiskupowi Westminsteru i autorowi *Fabioli*. Zostali przyjęci bardzo serdecznie. Kardynał, który niedawno powrócił z Rzymu, wspominał z ożywieniem papieża Piusa IX. Mówił biegle po francusku, a rozumowanie jego pełne było finezji, podobnie jak kard. L. Pie, którego Leon poznał później.

Leon, wróciwszy z podróży pełen wrażeń, z tym większym zapałem zabrał się do pracy. Ukończył dość szybko pracę magisterską z prawa *Le cautionnement* (*Poręczenie*), która została przyjęta. Dziewiętnastoletni autor odebrał gratulacje od życzliwego otoczenia.

Pod wpływem Palustré'a stał się miłośnikiem archeologii. Został nawet członkiem Francuskiego Towarzystwa Archeologicznego. „Sztuki piękne – pisał – podnoszą duszę, ubogacają ją i prowadzą do Boga. Archeologia jest ogromną pomocą w studiach historycznych, a często także w poznaniu religii. Opatrzność posłużyła się Leonem Palustré'em, by zaprowadzić mnie do Palestyny i Rzymu; były to dwie wielkie łaski mojego życia”¹⁵.

Po powrocie z podróży Dehon zamieszkał razem z Palustré'em w pobliżu Szkoły Sztuk Pięknych, przy ul. Bonaparte 18. Pokój pełen pamiątek z podróży, obrazów i rzeźb oraz przewodników i książek nastrojał do nauki i modlitwy. Zajmowali jeden pokój, połączeni serdeczną przyjaźnią i wspólną pracą. Wstawali o godzinie 5.00 i zaczęli dzień półgodziną lekturą Pisma świętego z komentarzem o. A. Calmeta. Prowadzili rozmowy o literaturze i filozofii. Wiele czytali. W niedziele i święta zwiedzali Paryż, interesując się historią, archeologią i sztuką. Odbyli wspólną podróż do Niemiec, krajów skandynawskich i Austrii.

W 1862 roku, dokładnie 22 listopada, Leon złożył przysięgę przed Trybunałem Sądowym

w Paryżu i zaczął uczęszczać na studia adwokackie przy ul. Sainte Anne. Nie odczuwał zamiłowania do prawa, chciał je skończyć jak najszybciej. Ostatni, piąty rok rozpoczął 15 listopada 1863 roku. Postanowił przygotować tezę doktorską na temat kaucji. Wybrał łatwe zagadnienie, by szybko je opracować. Zwierza się ze szczerością: „Nie napisałem pracy wybitnej. Moje upodobania były skierowane gdzie indziej i z niecierpliwością czekałem na ukończenie prawa”¹⁶.

Pracę swoją bronił na początku marca 1864 roku. Ponieważ bardzo krytycznie ocenił w niej opinie Durandota, którego syn, profesor, był wśród egzaminatorów, naraził się mocno. Po godzinnej naradzie komisja egzaminacyjna trzema głosami negatywnymi przeciw dwóm pozytywnym odmówiła przyjęcia pracy nieostrożnemu doktorantowi. „Ta porażka – pisze Leon – nie poruszyła mnie zbyt. Była jedyną, jaką dobra Opatrzność zesłała mi podczas dziesięciu lat zdawania egzaminów. Moja rodzina o tym się nie dowiedziała. Udałem się do wicerektora, który dał pozwolenie, bym stawił się ponownie za miesiąc, i 2 kwietnia wszystko było zakończone. Byłem doktorem. Stanowiło to ważny etap w moim życiu. Przyrzekłem ojcu, że dojdę

aż dotąd. Mogłem się spodziewać, że pozwoli mi pójść za moim powołaniem”¹⁷.

Leon pożegnał Paryż i powrócił do domu rodzinnego. W La Capelle przyjął gratulacje, kwiaty i podarki. W jego radości uczestniczył serdeczny przyjaciel, Palustre. Szczególnie szczęśliwi byli rodzice. Zadowolony ojciec pozwolił synowi, aby z Palustre’em odbył podróż po Belgii i Holandii. „Po moim powrocie do La Capelle – stwierdza Leon – miałem omówić z rodziną wielki problem mojego powołania. Było to trudne. Ojciec obiecał kiedyś, że zostawi mi swobodę podjęcia decyzji, gdy będę doktorem. Jednakże teraz, kiedy nadszedł ten moment, nie chciał się jeszcze poddać. Opatrzność Boża posłużyła się tym usposobieniem ojca, by zaprowadzić mnie do Ziemi Świętej, gdzie moja wiara i powołanie znalazły nowe oparcie”¹⁸.

To Palustre zaproponował tę podróż Leonowi. Ojciec wyraził na nią zgodę, mając nadzieję, że atrakcyjny wyjazd wpłynie na zmianę zamiarów syna. Tymczasem Leon dopiero tam przeżył z całą świadomością sens swojej decyzji, o czym tak pisał w notatkach po latach: „Moje powołanie przetrwało. Wyrażam Ci za nie, jeszcze tu, mój Boże, całą moją wdzięczność. Nigdy się nie wahałem. Chciałem żyć dla Boga i zostać

kapłanem. Zadawałem sobie pytanie, gdzie winienem odbyć studia... Pomimo wszystko obstawałem przy Rzymie. Logika mojego ducha mówiła mi, że woda jest czystsza u źródła niż w strumykach i że doktrynę i pobożność powinno się czerpać łatwiej i pełniej w centrum Kościoła niż gdziekolwiek indziej”¹⁹.

Turysta i pielgrzym

Leon miał 12 lat, kiedy po raz pierwszy mógł przyrzeć się światu z innej niż dotychczas perspektywy. W sierpniu 1855 roku ojciec zabrał go z sobą do Paryża na międzynarodową wystawę, ukazującą postęp techniczny. „Podróż ta – stwierdził – pozostawiła mi mało wspomnień i mało przyniosła owoców dla mojej duszy. Rozszerzyła jednak trochę horyzont moich skąpych wiadomości. Była jakby wielką lekcją o świecie. Mogłem dopomóc sobie w osiągnięciu pełniejszego i prawdziwszego pojęcia o samym Bogu, człowieku i świecie”¹.

W latach 1856-1858 odbył podróż do Kolonii, pielgrzymkę do sanktuarium Matki Bożej w Liesse koło Cambrai, zwiedził zamek w Marchais, miejscowość Chimay w Belgii i La Trappe.

Pobyty na studiach w Paryżu stał się dla niego okazją do wielu i to dalekich podróży. Dzie-

ki znajomości z Palustré'em zapalił się do turystyki. Podróże nie odciągały go od nauki i nie wpływały na gorsze wyniki egzaminów, natomiast wzbogacały go ogromnie. Dawały okazję do nowych przemyśleń, do spotkań i przyjaźni z wieloma wspaniałymi i wybitnymi osobistościami świata politycznego, społecznego, kulturalnego i religijnego. Stwarzały również możliwość opanowania obcych języków i poznania bogactwa duchowego innych narodów.

Wspominając po latach podróży do krajów niemieckojęzycznych, Leon zanotował: „Opatrzność mnie rozpieszczała. Ileż korzyści wyciągnąłem z tej podróży! Ileż zebrałem obserwacji! Ileż w sumie obfitych wiadomości z estetyki, historii, geografii, a nawet moralności... Odbyłem tę podróż jako poważny turysta i jako gorliwy student. Ach, gdybym włożył w to więcej wiary i więcej nadprzyrodzonego spojrzenia! Wraz z moim kolegą każdego dnia robiłem notatki. Miały one charakter wyłącznie opisowy i archeologiczny”².

Swoje wrażenia, przeżycia i spostrzeżenia notował codziennie lub prawie codziennie w zeszytach, których pozostawił 60, wiele swoich impresji opublikował też w broszurach lub książkach. Materiały te świadczą o szerokim polu wi-

dzenia i zainteresowań autora-turysty. Interesował się wszystkim: archeologią, geografią, sztuką, historią, tradycją, zwyczajami, moralnością, a najbardziej socjologią, religią i obroną praw ludzkich. Najwięcej spostrzeżeń, uwag i refleksji dotyczy tych właśnie tematów. Relacje z podróży odbytych w czasie pięcioletnich studiów w Paryżu zajmują prawie całe dwa pierwsze zeszyty jego dziennika.

Po ukończeniu studiów prawniczych, w 1864 roku, Leon odbył podróż do Belgii i Holandii. Zwiedził Brukselę, Brugię, Antwerpię, Hagę, Amsterdam, Utrecht i Zeist. W swoich notatkach zapisał: „Holendrzy są ciekawi, kpiarze i średnio gościnni. Kraj ich jest dosyć ubogi w pomniki. Podobają mi się ich muzea, które mają czarujące obrazy. Nie należy w nich jednak szukać ani wielkiej sztuki, ani sztuki religijnej. Ich malowidła miały za cel tylko ozdabiać salony bogatych kupców”³.

Po tej podróży Dehon z Palustre'em wybrali się na Bliski Wschód. Ta turystyczna wyprawa zmieniła się w pielgrzymkę, ponieważ dotarli aż do Ziemi Świętej. Swoją trwającą 10 miesięcy podróż rozpoczęli w sierpniu 1864 roku. Wrażenia i spostrzeżenia Leon opisał w 2, 3 i 4 zeszytach dziennika, w 28 listach z podróży do swoich

rodziców i brata, a później na łamach założonego przez siebie pisemka „Le Règne” („Królestwo”).

„Rok ten był jakby ukoronowaniem moich świeckich studiów – pisał Leon. – Miał mnie zaprowadzić do progu seminarium. Rzecz jasna, że wyruszyłem z radością, pełen zapału i entuzjazmu, by kolejno i do woli zwiedzać Schwarzwald, Szwajcarię, Włochy, Dalmację, Wyspy Jońskie, Grecję, Azję Mniejszą, Egipt, Nubię, Arabię, Palestynę, Syrię, Cypr i Rodos, Troadę, Dardanele, Konstantynopol i Bosfor, Morze Czarne, Dunaj i Węgry – był to ogrom natury, starożytnej cywilizacji; a wreszcie Jerozolima i Rzym, dwa święte miasta, by przygotować moje pożegnanie ze światem i wejście na drogi życia duchownego. Dnia 23 sierpnia opuściliśmy Francję w Strasburgu”⁴.

W Szwajcarii nie zatrzymali się długo. Przez Lucernę, Przełęcz św. Gotarda, Locarno dotarli nad prześliczne jezioro Maggiore we Włoszech. Leon napisał wtedy: „Włochy! Któż nie pragnął zobaczyć Italii? To kraj literatury i sztuki, kraj Wergiliusza, Horacego, Tytusa Liwiusza, Tacyta, Dantego, kraj Rafaela, Michała Anioła, Leonarda da Vinci, Fra Angelico, Benvenuto Celliniego. To kraj chwały wojskowej i politycz-

nej, ojczyzna Cezara i Augusta, ośrodek imperium o najpotężniejszej organizacji, kraj prawodawstwa określanego z racji doskonałości mianem «spisanego rozumu». To ziemia świętych, ziemia męczenników, papieży, zakonników. Italia była centrum cesarstwa rzymskiego, cesarstwa najdoskonalszego w porządku natury, które przygotowało drogi Kościołowi. Italia pozostanie na zawsze centrum samego Kościoła i wskutek tego źródłem cywilizacji i życia chrześcijańskiego. Miałem jeszcze okazję często oglądać Italię i spędzić tam wiele lat życia, ale ta pierwsza wizyta pozostawiła we mnie najgłębsze wrażenia”⁵.

W oczach Palustré’a podróż ta miała cel turystyczny i archeologiczny, Dehon zaś uważał ją za pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Po drodze więc zatrzymywał się najchętniej w świętych miejscach: „Pielgrzymowałem po Ziemi Świętej przed opuszczeniem świata, a na mojej drodze, zwłaszcza we Włoszech, we wszystkich sanktuariach maryjnych, na grobach męczenników i świętych, modliłem się o łaskę dojscia do upragnionego celu – kapłaństwa”⁶.

Szlak włoski wiodł turystów przez Mediolan, Parmę, Modenę, Bolonię, Rawennę, Ferrarę, Padwę, Wenecję do Triestu, a później przez

Jugosławię i Albanie do Grecji. Przez sześć tygodni przebywali w Grecji, zwiedzali miasta i wioski. Leon zanotował wówczas: „Wydaje się, że religijność Greków polega przede wszystkim na praktykach zewnętrznych. Czynią bez końca znaki krzyża i całują wszystkie obrazy świętych, wiszące na ścianach kościołów. Ich kler wydaje się brudny, grubiański i niewykształcony. Zakonnicy mają przestrzenne klasztory, piękne piwnice, a nie mają ksiązek. W najwyższym stopniu robią wrażenie leniuchów. Wychowują dzieci, które zaprawiają do ręcznej pracy, zamiast je kształcić. Katolicy są jeszcze nieliczni, lecz ich duchowni zachowują się inaczej niż kler Kościoła greckiego”⁷.

Ponieważ w Grecji nie było kolei, odpowiednich dróg i pojazdów do dyspozycji, Palustre i Dehon zmuszeni byli zorganizować sobie karawanę, ułatwiającą podróż po kraju. Składała się ona z sześciu koni i trzech mężczyzn do obsługi: tłumacza, kucharza i służącego. Nie mając namiotów, musieli nocować u ludzi, w różnych warunkach, narażeni na brud, niewygody i dokuczliwe insekty. Dawał im się we znaki również upał.

Gdy Leon stanął na Akropolu, na tym świętym wzgórzu Minerwy i podziwiał piękno Par-

tenonu, myśl jego zwróciła się do Maryi. „OŚwięta Dziewico Maryjo - napisał - ofiaruję Ci wszystko, co ludy te pragnęły ofiarować tej dziewicy, którą uczyniły swoją matką i natchnieniem. Dziewicą *par excellence*, Dziewicą pełną mądrości jesteś Ty! Sztuka chrześcijańska dobrze Cię sławiła; oby mogła jeszcze prześcignąć samą siebie i wypowiedzieć Twoją chwałę lepiej, niż Partenon urojoną chwałę swojej pogańskiej dziewicy”⁸.

W Patras bardzo wzruszony modlił się w kościele przy grobach św. Andrzeja, św. Łukasza i św. Tymoteusza. Dnia 8 listopada w Lepanto, stojąc na murach zamku i patrząc na spokojną cieśninę, przeżywał wspomnienie historycznej bitwy z 7 października 1571 roku i zwycięstwa księcia Don Juana d’ Austria, dowodzącego zjednoczonymi wojskami Wenecji, Austrii i papieża przeciwko Turkom. Turcy stracili wtedy 200 jednostek morskich i 30 tysięcy ludzi, i ta klęska zahamowała ich ekspansję.

W Termopilach zanotuje: „Patriotyzm jest sprawą świętą. Z drżeniem patrzyłem na ciasną łąkę, gdzie walczył odważnie i umarł Leonidas. Wolę jednakże śmierć męczenników, ponieważ ich sprawa była daleko szlachetniejsza, bo była sprawą Bożą”⁹.

„Po zwiedzeniu Aten – napisze nieco później – byliśmy oczarowani. Ich wspaniałe pomniki, które Rzym i Wschód kopiują od dwudziestu wieków, jeszcze stoją. Harmonia, piękno form i logika szczegółów zdobywają wyobraźnię, a zarazem przekonują rozum”¹⁰.

W Syra zatrzymali się 5 dni na napisanie listów i uporządkowanie zapisków. Tam, opuszczając Grecję, zanotował: „Nasza podróż po Grecji została zakończona. Z przyjemnością, ciekawością i zainteresowaniem zobaczyłem wszystko, co dotyczy świeckiej sztuki i historii, lecz byłem głęboko wzruszony zwłaszcza wtedy, gdy napotkałem na jakąś znaczną pamiątkę chrześcijańską, jak choćby na ślady życia św. Dionizego w Atenach czy św. Pawła na Areopagu i w Koryncie, św. Andrzeja w Patras. Tak miało się dziać podczas całej mojej podróży: Pan Jezus udzielił mi tej łaski”¹¹.

Z Grecji statkiem udali się do Turcji. Na stadionie i w teatrze starorzymskim w Smyrnie wspominali męczeńską śmierć św. Polikarpa. Tam wsiedli na statek, który odpływał w kierunku Aleksandrii.

Pobył w Egipcie był długi, trwał od 8 grudnia 1864 roku do 17 marca 1865 roku. W Aleksandrii, w kościele Ojców Franciszkanów poświę-

conym św. Katarzynie, przeżyli święta Bożego Narodzenia. W Kairze, mieście 32 000 studentów, widzieli ich, starszych i młodszych, siedzących na dywanikach, czytających Koran, uczących się gramatyki, arytmetyki i prawa. Odbyli rejs Nilem, zwiedzili wiele miejscowości nad jego brzegami, a w Tebach groby królewskie; obejrzeli Suez i Kanał Faraona oraz budowany właśnie Kanał Sueski.

Opuszczając Egipt, Leon zanotował w dzienniku: „Mamy właśnie opuścić Egipt. Nie żałuję, że go zwiedziłem. Jego historia potwierdza na każdym kroku Pismo święte. Po Palestynie zwiedzanie Egiptu jest najbardziej użyteczne dla egzegezy i najlepiej odsłania prawdę historyczną Starego Testamentu. Istniało wszak wiele powiązań między Palestyną a Egiptem”¹².

Można sobie wyobrazić, z jakim radosnym oczekiwaniem rozpoczęli pielgrzymkę po Ziemi Świętej. Malownicza karawana 17 marca 1865 roku ruszyła z Kantara przez Pustynię Sueską. Składała się ona z trzech osiodłanych wielbłądów i pięciu do transportu. Podróżnikom towarzyszył tłumacz, kucharz Egipcjanin, dwóch chłopców obsługujących wielbłądy i syryjskie dziecko. Nosili niebieskie szaty i białe turbany. Podróż miała trwać 5 dni.

„Przed nami pustynia – pisał Leon. – Pójdziemy drogą pustynną z Egiptu do Palestyny. To właśnie droga patriarchów Jakuba, Józefa i jego braci. To również droga Sezostriisa, Aleksandra Wielkiego, kalifa Omara i Bonapartego. Przede wszystkim jednak jest to droga Świętej Rodziny, droga ucieczki do Egiptu. Dlatego jest to droga święta i święte na niej miejsca”¹³.

Po pożegnaniu towarzyszy i wkroczeniu do Palestyny ostatni odcinek drogi odbyli pieszo, by jak prawdziwi pielgrzymi wejść do Jerozolimy. Ujrzawszy miasto, „to miejsce naszego zbawienia, gdzie Jezus Chrystus objawił swoją wielką miłość, oddając za nas życie”¹⁴, modląc się, upadli na kolana. Zamieszkali u Ojców Franciszkanów, którzy gościli ich przez 15 dni.

Pierwszy dzień spędzili w Jerozolimie, odprawiając Drogę krzyżową i modląc się w Bazylice Grobu Pańskiego. Leon zauważył: „Przypisywałem zbyt wielką wagę archeologii, jednak – dzięki Bogu – zwiedzałem modląc się i byłem raczej pielgrzymem niż turystą”¹⁵.

W modlitewnym nastroju pielgrzymował do wszystkich świętych miejsc nie tylko w Jerozolimie, ale w całej Palestynie i Syrii, od Gazy aż do Deir el Kamar, gdzie razem z Palustre’em był gościem Ojców Jezuitów.

Jordan stał się okazją do wspomnień o chrzcie Chrystusa, św. Janie Chrzcicielu, objawieniu tajemnicy Trójcy Świętej. Weszli w święte wody w celu „odnowienia łask chrztu świętego”. W Betanii przeżywali sceny opisane w Ewangelii św. Jana (rozdz. 11). „Nie ma niczego tak wzruszającego, jak wspomnienia z Betanii – napisze Leon. – Zatrzymaliśmy się w górnej części wioski, przy drodze do Galilei, by, czytając jedenasty rozdział Ewangelii św. Jana, odtworzyć dramatyczną scenę, która miała tu miejsce, gdy Maria i Marta stawały kolejno przed Zbawicielem, a Pan Jezus, widząc je płaczące, sam zapłakał, myśląc o swoim przyjacielu Łazarzu. Tu zrozumieliśmy głęboko tkliwość Serca Jezusa”¹⁶.

Nie brakowało też głębokich przeżyć w pięcioletnim kościele Narodzenia Pana Jezusa, na Górze Oliwnej i pod Ścianą Płaczu.

W Jerozolimie przeżyli błogosławione dni Wielkiego Tygodnia. W Wielki Czwartek w Bazylice Grobu Pańskiego przyjęli Komunię świętą podczas uroczystej Mszy świętej.

Dnia 18 kwietnia z Jerozolimy udali się na północ, do Samarii i Galilei. Odwiedzili Kafarnaum, Betsajdę, Kanę – miejsca uświęcone przez Chrystusa. O Nazarecie Leon tak napisał: „Jakież tajemnice miały miejsce w tej małej, uprzy-

wilejowanej mieścinie! Święta Rodzina żyła tu tak długo! Pan Jezus, Jego święta Matka i św. Józef przemierzali często te drogi, place i pola. Modlili się w synagodze, czerpali wodę ze źródła, kupowali dla siebie pożywienie na bazarze. Pragnąłbym żyć tu przez pewien czas, by rozmyślać do woli nad ukrytym życiem Świętej Rodziny”¹⁷.

Wspiał się również na górę Tabor, na której przed oczami apostołów Chrystus się przemienił. Był na Górze Błogosławieństw. Podziwiając urzekające widoki wokół jeziora Genezaret, przebywając wśród cudownej przyrody, stwierdził: „Chrystus Pan był rzeczywiście jednym z najwspanialszych artystów. W godny podziwu sposób wybrał to miejsce, podobnie jak szczęśliwy pobyt w Nazarecie, miejsca chrztu i czterdziestodniowego postu, Tabor, Getsemani czy miejsce wniebowstąpienia. Zwiedzenie tych błogosławionych miejsc jest wzruszające dla dusz, które miłują rozmyślanie, drogocenną łaskę”¹⁸.

Podróż nie skończyła się w Palestynie. Jeszcze daleka droga czekała Leona zanim miał dotrzeć do Rzymu, o którym coraz częściej rozmawiał ze swoim towarzyszem podróży. Prowadziła ona przez Haifę, Tyr, Bejrut, wyspę Rodos,

Efez do Konstantynopola, później przez Bosfor nad Morze Czarne i wzdłuż Dunaju do Budapesztu, Wiednia i Salzburga. Tam, pomimo wcześniej zaplanowanego powrotu do Francji, 10 czerwca 1865 roku pożegnał się bardzo serdecznie z Palustre'em i pełen niecierpliwości, jak alpinista będący blisko szczytu, udał się do Rzymu, do Wiecznego Miasta. Ta nagła zmiana decyzji spowodowana została pielgrzymką do Ziemi Świętej. Odwiedzenie Jerozolimy i świętych miejsc umocniło go w przekonaniu o słuszności ostatecznego wyboru, którego już tak dawno dokonał. Do tej podróży, a zarazem pielgrzymki, będzie Leon często powracał w swoich wspomnieniach, z radością i wdzięcznością podkreślając jej znaczenie i wpływ na losy swego życia, kształt osobowości i dojrzałość wewnętrzną.

Powrót do domu tak w swych zamiarach umocnionemu duchowo Leonowi nie wydawał się najpilniejszy. Rodziną stał się dlań Kościół – mistyczny Chrystus. Rzym uważał za miejsce uprzywilejowane, dlatego rozstał się z Palustre'em, by udać się tam i przygotować do kapłaństwa.

Spotkanie to przeżył ze szczególnym wzruszeniem i uniesieniem: „Ten pierwszy pobyt

w Rzymie nie trwał zbyt długo – dziesięć dni tylko! Pozostawił mi jednak wspomnienia głębokich przeżyć, tam przecież otrzymałem wielkie łaski. Byłem olśniony wielkimi sanktuariami Świętego Piotra, Świętego Pawła, Bazyliką Matki Bożej Większej, Świętego Jana na Lateranie. Była to nowa Jerozolima, pełna życia, blasku i zmartwychwstania, gdy stare Jeruzalem pozostawało pogrążone w smutku męki i śmierci Zbawiciela. Podczas tego krótkiego pobytu w sposób szczególny sprzyjała mi Opatrzność¹⁹.

Lata seminaryjne

W Rzymie Leon przebywał od 14 do 25 lipca 1865 roku. Oglądał zabytki i odwiedzał bazyliki, lecz sprawą leżącą mu najbardziej na sercu był problem powołania. Największą pomoc w jego rozwiązaniu stanowiła audyencja u Ojca Świętego, którą tak wspomina: „Zostałem wprowadzony przez długi jasny korytarz zewnętrzny, wiodący do apartamentów papieskich. Mówiłem papieżowi o mojej pielgrzymce do miejsc świętych, o powołaniu i niezdecydowaniu co do wyboru miejsca moich studiów. Poradził mi Seminarium Francuskie w Rzymie. Ta decyzja była zgodna z moimi skłonnościami. Wydaje mi się, że to pierwsze błogosławieństwo Piusa IX zjednało mi wielkie łaski”¹.

Leon udał się więc do Seminarium Francuskiego, gdzie poznał o. Melchiora Freyda, męża Bożego i świętego, jak go określił sam papież.

Osiągnął cel podróży – został przyjęty. Odzyskał spokój, a jego powołanie zaczęło przybierać realne kształty. W seminarium poczuł się od razu jak w domu. Atmosfera tam panująca podbiła jego serce. Wziął udział w kilku wykładach w Kolegium Rzymskim i od pierwszych chwil urzeczony został doktryną Kościoła. Pełen radości stanął na pewnym gruncie. Mógł teraz wracać do Francji, aby o wszystkim opowiedzieć zatroskanym o jego przyszłość rodzicom.

Po długiej podróży wrócił do domu rodzinnego. Matka radowała się z jego przybycia. Przez cały czas martwiła się bardzo o swego dwudziestoletniego syna, nietrudno bowiem o nieszczęście podczas tak długiej wyprawy. Radość tę podzielał również ojciec aż do momentu, gdy dowiedział się o wstąpieniu syna do Seminarium Francuskiego. Toteż trzymiesięczny wakacyjny pobyt w domu stał się dla Leona bardzo przykry. Ojciec cierpiał dotkliwie z powodu decyzji syna, nie rozumiejąc nic z tego, do czego tak rwało się jego serce. Wszystkie zamki marzeń, które budował w swej wyobraźni, licząc na wyjątkową osobowość Leona, runęły. Pod gruzami legła wymarzona dlań przez ojca kariera w dyplomacji lub magistraturze.

Postawę matki Leon opisuje w następujący sposób: „Matka, na której pomoc liczyłem całkowicie, opuściła mnie zupełnie. Sama pobożna, pragnęła, abym i ja był pobożny, przerażała ją jednak kapłaństwo. Sądziła, że przestanę należeć już do rodziny i że mnie utraci. Musiałem po męsku potraktować moje serce, by opierać się wszelkim atakom, których miałem doświadczyć. Czasem byłem twardy dla moich rodziców. Było to im potrzebne. Powiedziałem im, że jestem dorosły i chcę być wolny. Zgodzili się na mój wyjazd, lecz sceny z płaczem powtarzały się często”².

Dnia 14 października 1865 roku Leon wyjechał z La Capelle. Był to początek nowego etapu w jego życiu. Rodzice odprowadzili go najpierw do sanktuarium Matki Bożej w Liesse, a później na stację kolejową w Saint-Erme. Rozłąka z synem wiele ich kosztowała. Sądzili, że tracą go na zawsze. „Ja zaś – pisze Leon – odjeżdżałem, by rozpocząć studia kościelne pod opieką Matki Bożej z Liesse... Po pobożnym zwiedzeniu zamku książąt z Monaco w Marchias pożegnałem się z rodziną w Saint-Erme. Nie obeszło się bez gorzkich łez. Skoro ojciec i matka płakali, jakże i ja mógłbym powstrzy-

mać się od łez? Pożegnanie to było zresztą z mej strony potwierdzeniem ofiary, składanej nie bez rozdarcia, pomimo doznawania nadprzyrodzonej radości w wyższych sferach duszy”³.

Po łzach wylanych na dworcu w Saint-Erme podczas pożegnania z rodzicami jego duszę nawiedziła radość z oddania się Bogu: „Z radością jadę do Rzymu – napisał – bo wierzę, że tam wzywa mnie Opatrzność... Szczęśliwy jestem i pełen radości, że mogę przygotować się przez studia i modlitwę do oddania przysługi Kościołowi”⁴.

Do Rzymu Leon przybył 27 października. Zamieszkał w Seminarium Francuskim św. Klary. Mieściło się ono w budynku starym i ciasnym, ponurym, ciemnym i wewnątrz smutnym, z małymi i skromnie umeblowanymi pokoikami. Młodzieńcowi z La Capelle przydzielono pokój na poddaszu z niewygodnym i twardym łóżkiem. Mimo to trzy razy powtórzył: „Jestem szczęśliwy!”⁵.

Nazajutrz po przyjeździe napisał do matki: „Dobrze do dobrego portu. Już od wczoraj tutaj się ułożyłem i myślę, że będzie mi dobrze. Zostałem serdecznie przyjęty przez ks. Rektora i spotkałem pięciu młodzieńców z Kółka – z dwoma z nich zawarłem znajomość w Paryżu. Pokój jest skromny, lecz dobrze położony

i zdrowy. Jest wysoki, dobrze umeblowany i zwrócony na zachód. Mam łóżko, stolik, dwa krzesła, szafę i wieszak. Znajduje się on na piątym piętrze. Na domu są obszerne tarasy rekreacyjne, z szerokim widokiem na Rzym. Dziś mamy jeszcze wolne, lecz już wieczorem rozpoczyna się skupienie, które trwać będzie przez pięć dni. Regulamin domu wydaje mi się bardzo dobry dla zdrowia i dla studiów”⁶.

Rekolekcje głosił jezuita, o. Dubillon, w sposób tradycyjny posługując się ćwiczeniami duchownymi św. Ignacego. Leon – jak sam stwierdza – wiele z nich skorzystał: „Oddałem się całym sercem rekolekcjom. Dane mi było później często odprawiać rekolekcje św. Ignacego i głosić je innym, lecz nigdy już nie miałem doznać tak głębokich wrażeń. To stało się podstawą mojego życia seminaryjnego. Przyłożyłem się bez reszty do podjętych postanowień. Rekolekcje odprawiłem jako człowiek świecki, a 1 listopada otrzymałem sutannę. Jak wielkiej doznałem radości! To niewypowiedziane szczęście było pewnym znakiem powołania. Postarałem się, żeby moją sutannę poświęcił o. Freyd”⁷.

Leon zaufał o. Freydowi, wybierając go na kierownika duchowego. Był to autentyczny za-

konnik, człowiek, który sam zjednoczony z Bogiem, innych do Niego pociągał. U niego spowiadał się co tydzień, a czasem dwa razy w tygodniu. Jego kierownictwo było jedną z największych łask życia Leona; przez 10 lat utrzymywał z nim kontakt.

Leon studiował w Kolegium Rzymskim, które przekształcone zostało później w znany Uniwersytet Gregoriański, prowadzony przez Ojców Jezuitów. Spotkał tam wspaniałych profesorów, naukowców, prawdziwą „arystokrację ducha”. „Uważam to za wielką łaskę Opatrzności – pisał – że studia teologiczne odbyłem w Kolegium Rzymskim”⁸.

Przez długi, sześćioletni okres studiów Leon przygotowywał się do przyszłych odpowiedzialnych zadań. Jego notatki, robione przez cały czas rzymskich studiów, stanowią bogatą kopalnię wiedzy teologicznej, ascetycznej i mistycznej.

Oddając się bez reszty studiom, nie zapomniał nigdy o pracy nad kształtowaniem swojego charakteru i o przygotowaniu do święceń kapłańskich. Już na początku tej drogi wytyczył sobie wyraźny program działania, który tak scharakteryzował: „Moim ideałem i treścią mojego życia ma pozostać na zawsze nabożeństwo do

Boskiego Serca, pokora, zjednoczenie z Nim, zgodność z Jego wolą i trwanie w miłości. Pan Jezus mi to wskazał, ku temu mnie ustawicznie prowadzi, przygotowując w ten sposób do misji, do której mnie przeznaczył w zamierzeniach swego Serca”⁹.

Podczas pierwszego roku studiów Leon był bardzo zajęty. Niewiele miał czasu na zwiedzanie miasta. Sporadycznie brał udział w różnych uroczystościach religijnych, przewidzianych dla Rzymu przez kalendarz liturgiczny. One kształtowały w nim wrażliwość na duchowe treści życia świętych w Kościele. Pisał: „Zauważyłem, że święci, podobnie jak członkowie szlachty feudalnej, posługiwali się zazwyczaj hasłami-dewizami, które dodawały im odwagi w prowadzeniu duchowego boju. Dewizą św. Ignacego było: «Na większą chwałę Bogu»; św. Alojzego Gonzagi: «Czym to jest wobec wieczności?»; św. Teresy: «Jedna jest dusza, jedna jest wieczność». Święty Franciszek Ksawery mawiał: «Pokonaj samego siebie». Ja zaś przyjąłem hasło: «Panie, co chcesz, abym czynił?»; nie znalazłem odpowiedniejszego, by umocnić i utrzymać zjednoczenie z Bogiem”¹⁰.

Pod koniec pierwszego roku studiów profesorowie, biorąc pod uwagę doktorat Leona z pra-

wa cywilnego, skłonili go do pisania pracy doktorskiej z filozofii. Tymczasem zdał egzamin z filozofii w języku łacińskim: inne przedmioty studiował w języku włoskim, który bardzo szybko opanował.

W tym również czasie Leon zanotował w swoim dzienniku myśl o treści istotnej, zasadniczej dla jego dalszego życia: „Miałem już bardzo wyraźną skłonność, prawdziwe powołanie do życia zakonnego. Uwagę moją zwrócił fragment z Bellarmina, że mało było świętych kanonizowanych poza męczennikami, którzy by nie wyszli z klasztorów. Świętość jest więc cudownie ułatwiona przez życie zakonne. Gdy odwiedzałem salony kardynała Wikariusza, uderzyła mnie podobna refleksja, jaką uczynił Bellarmin. Znajdują się tam portrety kanonizowanych kardynałów, którzy prawie wszyscy pochodzili z klasztorów. Kochając logikę, wyciągnąłem wniosek, że wstąpię do zakonu, oczywiście nie po to, by być kanonizowanym, lecz by z pomocą Bożą zostać świętym, by lepiej poznać, pokochać Pana Jezusa i Jemu służyć...”¹¹.

Po wakacjach 1866 roku, spędzonych w domu rodzinnym, Leon – wróciwszy do Rzymu – rozpoczął studia teologiczne rekolekcjami, które prowadził ks. A. Ginoux, biskup Beauvias.

Z niebывałym zapalem oddawał się pracy pod kierunkiem sławnych profesorów: G. B. Franzelina, A. Balleriniego, F. S. Patriziego, C. Tarquiniego i S. Sanguinettiego. Przepelniało go pragnienie zachowania wierności prawdzie objawionej i ortodoksji doktrynalnej. Najbardziej podobały mu się wykłady o. Franzelina. „Wykładał on chlubnie przez 15 lat w Kolegium Rzymskim, przybliżając znów piękne dni Suarezów, Lugów i Corneliusów. Jego wykłady stały się jedną z największych łask mojego życia. Jak doskonale umiał naświetlić każdą prawdę teologiczną! Wprowadzał nas w historię dogmatów i ukazywał ich rozwój. (...) Umiał łączyć w jeden obraz teologię pozytywną z teologią spekulatywną. (...) Zniewalało nas jego głębokie i porywające nauczanie. Lubiany przez alumnów, miał dar wzbudzania entuzjazmu. W jego słowach wyczuwało się drżenie radości z prawdy otrzymanej z nieba, święty płomień prawdy Bożej. Czuliśmy go nie tylko jako uczonego, lecz również jako świętego”¹².

Dnia 22 grudnia Leon otrzymał tonsurę, a 23 i 26 grudnia święcenia niższe w Bazylice św. Jana na Lateranie. „Przyjmując tonsurę, razem z moimi włosami wylałem dużo łez na tacę biskupa. Tak wiele czasu czekałem i tak wiele wal-

czyłem, by urzeczywistnić moje powołanie. Wchodziłem do ziemi obiecanej”¹³.

Podczas drugiego roku klerycy Seminarium św. Klary założyli stowarzyszenie, mające na celu akcję katechizacyjną pod patronatem św. Katarzyny ze Sieny, patronki Italii. Jego prezesem został Leon. Klerycy zajmowali się najbardziej opuszczonymi dziećmi, uczyli je katechizmu i przygotowywali do Pierwszej Komunii Świętej, wywierając również zbawienny wpływ na ich rodziny. Stowarzyszenie św. Katarzyny organizowało dla dzieci także święta, nabożeństwa, konkursy i zabawy.

Rok szkolny zamknęły egzaminy końcowe. Pan Bóg wyraźnie błogosławił wysiłkom alumna, który uzyskał drugą lokatę z dogmatyki i pierwszą z teologii moralnej. Ponieważ do konkursu stawało dwustu alumnów, był to wielki sukces.

Po wakacjach w rodzinnym La Capelle Leon powrócił do Rzymu, by kontynuować studia. Był to rok 1867, rok niepokojów i zamieszek. Garnizony papieskie walczyły z Czerwonymi Koszulami Garibaldiego. Walki w Acquapendente, w Bangoregio i w Monterotando spowodowały zapełnienie się rannymi rzymskich szpitali. Dnia 29 listopada wojska francuskie na roz-

kaz Napoleona III wylądowały w Civitavecchia. Oddziały Garibaldiego (12 tysięcy żołnierzy), wspomagane przez armię włoską z gen. Enrico Cialdinim na czele, ruszyły na Rzym. Wojska papieskie (3 tysiące) i francuskie (2 tysiące) pod dowództwem gen. H. Kanzlera zadały klęskę Garibaldiemu pod Mentaną. To uchroniło tym razem, lecz nie na długo, świecką i doczesną władzę papieża.

Mimo zamieszek i walk wykłady w Kolegium Rzymskim odbywały się regularnie. Leon ze szczególnym zamiłowaniem oddawał się studiom biblijnym, którymi kierował z wielkim znawstwem o. F. S. Patrizi. Pasjonował się ponadto historią Kościoła. Ale najbardziej angażował się w pracę wewnętrzną, starając się jak najlepiej przygotować do wyższych święceń.

Ojciec w swych listach nalegał na syna, by odłożył przyjęcie święceń na czas późniejszy. Jeszcze miał złudzenia, że się rozmyśli. Aby nie sprzeciwić się ojcu, Leon był skłonny się zgodzić, lecz o. Freyd był innego zdania: „Trzeba przeciąć węzeł gordyjski” – zdecydował i wyznaczył ich przyjęcie na grudzień.

„Wielki dzień nadszedł – pisał Leon. – Dzień 21 grudnia 1867 roku był jednym z najpiękniejszych i najlepszych w moim życiu. Oddałem się

Panu Jezusowi na zawsze przez przyjęcie subdiakonatu. Stan mojej duszy przedstawiłbym w tych słowach: był to dzień szczęścia i czystej radości, początek prawdziwej wolności. Służyć Bogu – to królować”¹⁴.

Od tego momentu z wielką pobożnością odmawiał brewiarz, poświęcając mu najgodniejszy czas i modląc się na kolanach. Wyznał też później we wspomnieniach: „Rok ten był rzeczywiście jednym z najlepszych lat mojego życia. Wydaje mi się, że wtedy to Pan nasz nakazał mi odprawić nowicjat zakonny, w którym On sam był Mistrzem. Sądzę, że teraz zrozumiałem, dlaczego. W tym czasie bowiem powołana została do życia w Alzacji droga nam wspólnota, która miała być z nami tak bardzo zjednoczona i spełniać względem nas rolę w najwyższym stopniu matczyną. Nasze pierwsze matki wstąpiły do zakonu 21 listopada 1867 roku. (...) Panu Jezusowi w Jego dobroci podobało się bez wątpienia przygotować jednocześnie dwa dzieła. Oświecenia, którymi mnie darzył podczas wszystkich modlitw w tym roku, pozostawały tak dalece w powiązaniu z naszym powołaniem Księży-Oblatów Serca Jezusowego, że same moje notatki mogłyby służyć za podstawę dyktorium duchowego zgromadzenia”¹⁵. Pisząc

o dwóch dziełach, miał na myśli powstałe w 1867 roku Zgromadzenie Sióstr Służebnic Najświętszego Serca i Zgromadzenie Księży Najświętszego Serca, które 11 lat później założył.

Jego pobożność ukierunkowywała się coraz bardziej na nabożeństwo ku Najświętszemu Sercu Jezusa. Umacniało się też w nim przekonanie o potrzebie życia zakonnego: „Wstąpię do zakonu, oczywiście nie po to, by być kanonizowanym, lecz by z pomocą Bożą zostać świętym, by lepiej poznać, pokochać Pana Jezusa i Jemu służyć, by stworzyć dla mojego przyszłego kapłaństwa idealną atmosferę, w której będzie mogło w pełni rozkwitnąć”¹⁶.

Coraz częściej powtarzał: „Panie, co chcesz, abym czynił?”. Przyjął diakonat i kapłaństwo – to było oczywiście najgłębsze marzenie jego serca, ale czy mógł na tym poprzestać? Czy Pan Bóg nie wyznaczył mu jeszcze innej roli?

Od 29 maja do 6 czerwca 1868 roku odbył rekolekcje, by przygotować się do święceń diakonatu, które odbyły się właśnie 6 czerwca. Zwierzył się przy tej okazji: „W ten wielki dzień moich święceń przyrzekłem coraz pełniej czynić wolę Boga, żyjąc w Jego obecności i mając tylko jeden cel – Jego chwałę. Nie szukać w niczym samego siebie. Czynić we wszystkich rze-

czach to, co Bogu przynosi większą chwałę. (...) Posługa diakona przy ołtarzu jest bardzo podobna do tej, jaką spełniał św. Józef w Nazarecie. Diakon zbliża się do Pana Jezusa, przykrywa i odkrywa kielich z Najdroższą Krwią i przynosi go swoimi rękami. Posługa ta wymaga anielskiej czystości, nad którą trzeba czuwać z ostrożnością i którą należy podtrzymywać przez prawdziwe umartwienie. Pan Jezus pobudzał mnie z każdym dniem do zjednoczenia z Jego Boskim Sercem. To stanowi streszczenie wszystkich oświeceń tego roku". Sformułował to w następujący sposób: „Jednoczmy się zawsze praktycznie coraz bardziej z Najświętszym Sercem Jezusa. Jakże nasze wnętrza dalekie jest od czystości, godności, świętości myśli, pragnień i uczuć Pana Jezusa! Aby pozwolić Mu żyć w nas, usuńmy przeszkody, miłość własną i wszelkie ustępstwa na rzecz naszych zmysłów”¹⁷.

Rok ukończył z wyróżnieniem; wziął udział w konkursie, uzyskując dwie nagrody: z dogmatyki i z teologii moralnej.

Coraz bardziej zżywał się z Wiecznym Miastem; czuł się tam coraz lepiej. W swoich notatkach zapisał: „Już trzeci rok byłem w Rzymie. Kontynuowaliśmy nasze spacerunki od sanktu-

arium do sanktuarium. Nie pociągała mnie już atrakcja nowości ni wabiła sztuka. Rozkoszowałem się Rzymem, Rzymem chrześcijańskim, który przemawia do duszy, umacniając w wierze i pobożności. Wdychałem jego miłą i krzepiącą woń. Piłem z jego świętych źródeł. Łączyłem się z jego duchem, duchem Kościoła, to znaczy duchem wiary, apostołstwa i miłości. Grecy zdążali do źródeł Hipokrene, by szukać poetyckiego natchnienia. Sąsiedztwo igrzysk korynckich, gdzie miały miejsce popisy literackie, mogło rzeczywiście wywoływać wiele wspomnień poetyckich i budzić natchnienie. Rzym ma źródła czystsze i obfitsze. Są to jego sanktuaria i groby święte. Sama Ziemia Święta odżywa tu również przez wielkie relikwie Złóbka i Męki. Świętość i łaska promieniowały z postaci Zbawiciela. «Moc wychodziła od Niego» (Łk 6,19). Jednak cień apostołów również uzdrawiał chorych. W Rzymie jest coś więcej niż cień apostołów, są ich święte relikwie i chwalebne groby. Chodziliśmy z pobożnymi nawiedzeniami od św. Piotra do św. Pawła, od św. Pawła do św. Jana, od św. Jana do Świętych Apostołów; pamięć trudów tych mężczyzn, założycieli Kościoła, ożywiała naszą gorliwość i ducha apostołskiego. Odwiedzaliśmy też groby męczenników:

św. Ignacego, św. Sebastiana, św. Wawrzyńca, katakumby, Panteon, by modlić się i rozważać; z tych świętych szczątków, a także z ziemi zroszonej ich krwią w Koloseum spływała łaska żarliwej miłości do Zbawiciela". Dalej wspomina groby doktorów Kościoła: św. Leona, św. Grzegorza z Nazjanzu; miejsca nawiedzane przez świętych: Franciszka, Dominika, Ignacego, Filipa Nereusza i Pawła od Krzyża; groby męczennic: św. Cecylii i św. Agnieszki oraz św. Katarzyny ze Sieny; cele zakonne: św. Alojzego Gonzagi, św. Stanisława Kostki i św. Jana Berchmansa. „Któreż z miast może być porównane z Rzymem co do jego uświęcającego wpływu! Zaiste jest ono przedsionkiem nieba. Dobrze tu żyć..."¹⁸.

Dnia 29 czerwca 1868 roku, w uroczystość św. Piotra, obiegła świat wiadomość niezwykła i ogromnej wagi: papież Pius IX bullą *Aeterni patris* zwoływał do Watykanu sobór na 8 grudnia następnego roku. Nowo wyświęcony diakon będzie błogosławił tę opatrznościową okoliczność, że przybył do Rzymu z pewnym opóźnieniem. Nie tylko bowiem będzie widzem tego niezwykłego i rzadkiego wydarzenia, lecz nawet jego rzeczywistym uczestnikiem w charakterze stenografa.

Do obsługi soboru powołano zespół steno-
grafów pod przewodnictwem ks. Wirginiusza
Marchese, dawnego stenografa senatu włos-
kiego w Turynie. Do tej funkcji wybrano też 24
najzdolniejszych alumnów z seminariów rzym-
skich. Z Seminarium Francuskiego wyznaczono
czterech, wśród nich Leona Dehona. Biegły w tej
dziedzinie ks. Marchese zaprawiał ich codzien-
nie przez godzinę w sztuce stenografii. Trzeba by-
ło opanować tę umiejętność obok normalnej
nauki – a czas naglił.

Stenografowie brali udział we wszystkich
posiedzeniach soboru. Była to ogromna praca.
Nic więc dziwnego, że odbiła się na zdrowiu
Leona. Groziła mu gruźlica płuc. Jednak biorąc
pod uwagę aspekt duchowy, przyniosła niewy-
mierne wprost korzyści: „Dotknąłem palcem
życia Kościoła – napisał – i w jednym roku zdo-
byłem więcej doświadczenia, niżby to było moż-
liwe w ciągu dziesięciu lat normalnego życia”¹⁹.

Fakty i wydarzenia oraz własne opinie i prze-
życia związane z soborem odnotował w swoich
wspomnieniach, które stanowią bardzo intere-
sujący materiał dotyczący historii doktryny kato-
lickiej i Kościoła. Opisuje w nich przygotowania
do soboru i jego przebieg, 4 sesje publiczne oraz
81 kongregacji ogólnych, podając zwięzłe treść

i ocenę poszczególnych wystąpień i interwencji, a także wypowiadając sądy o osobach kardynałów i biskupów. Pisze szczerze, w nastroju pogodnym, nie ukrywając prawdy. Wszystko przepojone jest duchem wiary i wielkiej miłości do Kościoła i Ojca Świętego.

Leon wypełniał zadanie stenografa w sposób bardzo sumienny. Był obecny na każdym posiedzeniu; kończyły się one zazwyczaj w południe. Potem pozostawał jeszcze pół godziny, by przepisać sprawozdania. Wracał do seminarium w upale i zaraz po obiedzie brał udział w wykładach seminaryjnych. Taki tryb życia prowadził aż do zakończenia czwartej sesji soboru w pamiętnym dniu 18 lipca 1870 roku, w którym uroczyście został ogłoszony dogmat o nieomyślności papiejskiej.

Nazajutrz, 19 lipca, wstrząsnęła Europą wiadomość o wojnie między Francją a Prusami. Nie trwała ona długo i zakończyła się klęską Francji. Prusacy zajęli Paryż i wzięli do niewoli w bitwie pod Sedanem 1 września 1870 roku samego cesarza Napoleona III. Francuzi, pokonani i upokorzeni, musieli prosić o pokój, ogłosili upadek cesarstwa i ustanowili republikę.

Wojna z Prusami zmusiła Francuzów do wycofania się z terytorium Państwa Kościelne-

go, które wkrótce zostało opanowane przez Włochów. Dnia 20 września 1870 roku armia włoska zajęła Rzym. W roku następnym stolicę Włoch przeniesiono z Florencji do Wiecznego Miasta, a parlament włoski przyznał papieżowi prawo do posiadania Watykanu, Lateranu i willi w Castel Gandolfo. Tak zakończyła się tysiącletnia historia Państwa Kościelnego.

Pius IX, wstrząśnięty wojną, 20 października zawiesił sobór, odraczając jego obrady na czasy spokojniejsze. Z 51 proponowanych schematów tylko 2 zostały opracowane i sfinalizowane przez ogłoszenie definicji o wierze i Kościele katolickim oraz dogmatu o nieomyślności papieskiej.

Podczas tych trudnych dni Leon napisał do serdecznego przyjaciela Palustre'a: „Nie znajduję w tym wszystkim ukojenia i pociechy inaczej jak tylko w poddaniu się woli Boga, która nas karze, ponieważ nas kocha”²⁰.

Dobry syn i kapłan

Przebywając w Rzymie, mimo nawału nauki i innych zajęć, Leon nie zapominał o rodzicach. Pisywał często listy, a najbardziej cieszył się, gdy mógł znowu spotkać się z nimi podczas wakacji.

Na pierwsze wakacje przyjechał do domu w stroju cywilnym, uzyskawszy na to zgodę o. Freyda. Takie bowiem było życzenie ojca i chciał być mu uległy. Atmosfera panująca w domu istotnie się zmieniła. Matka zaakceptowała wreszcie jego powołanie i drogę przez niego obraną. Była z synem. Towarzyszyła mu, gdy szedł do kościoła, brała z nim udział w codziennej Mszy świętej, a często i Komunii świętej. Znaleźli znów wspólny język, odnowili wspólne zainteresowania i zamiłowania. Takiej atmosfery wzajemnego zrozumienia najbardziej Leonowi ostatnio w domu brakowało. Teraz spędzał

z matką niezapomniane chwile. Przeżywał wielką radość. Czego nie zdołał powiedzieć jej podczas wakacji, usiłował oddać w swoich serdecznych listach. Opisywał w nich także swoje życie w Rzymie, dzielił się spostrzeżeniami i refleksjami. Pani Stefania strzegła ich jak oka w głowie i układała jak skarby w rodzinnej szufladzie. Zawarte w nich treści dodają nowych odcieni do duchowego wizerunku Leona Dehona.

Dnia 3 listopada 1865 roku Leon pisał: „Dziś ułożyłem się już zupełnie. Ten tryb życia spokojny i uregulowany, choć czynny, odpowiada mi. Jestem szczęśliwy i zadowolony, że mogę nauką i modlitwą przygotować się do oddania jakiejś przysługi Kościołowi. Nie sądźcie, że mówię o tym, by sprawić wam satysfakcję – nic podobnego, mówię to z najgłębszych tajników mego serca. Bóg powołał mnie tutaj, by obdarzyć mnie szczęściem”¹.

Natomiast 6 grudnia napisał: „Wiecie tak dobrze, jak ja, że szczęście nie rodzi się z zaszczytów i przyjemności światowych: znajduję je w służbie Bożej. Martwię się tylko o dzień dzisiejszy i jestem zadowolony, gdy potrafię dobrze się modlić i pracować z korzyścią dla siebie. W Rzymie lepiej niż gdzie indziej można zrozumieć, że doskonałości nie osiąga się we

wzburzeniu i zgiełku. Poza rzadkimi wyjątkami, Rzymianie prowadzą życie naprawdę regularne. Po pracy, gdy kończy się dzień, wychodzą o stałej godzinie na przechadzkę i często podczas spaceru nawiedzają kościół, w którym obchodzi się uroczystość przypadającą na dany dzień. Dzięki temu codziennie mają przed oczami przykład i historię z życia świętych. Rzym pomaga zrozumieć, jak powinien wyglądać kraj prawdziwie chrześcijański”².

19 marca 1866 roku: „Czy myśleliście kiedyś o wielkiej godności kapłana? Oto jego zadania: winien on ofiarować, błogosławić, składać w ofierze samego Jezusa Chrystusa, odpuszczać grzechy i uświęcać lud. Z tego tytułu wypływają wielkie obowiązki: wszyscy kapłani powinni starać się o zdobycie świętości. Jestem pewny, że obecnie nie liczyacie się z przesądami naszego kraju i jesteście szczęśliwi, dając Bogu kapłana, który jest zawsze darem dla rodziny”³.

W listach do swojej rodziny Leon wspominał też o wydarzeniach, jakie miały miejsce w Wiecznym Mieście. Informował matkę o przybyciu do Rzymu ks. Dehaené’a, swego dyrektora z Hazebroucka, z którym zwiedził katakumby; o wielkich uroczystościach związanych z obchodami 1800 rocznicy męczeńskiej śmierci

świętych apostołów Piotra i Pawła, w których uczestniczyło 500 biskupów ze wszystkich stron świata; o mającej się odbyć kanonizacji 25 nowych świętych, która była „wspaniałym protestem przeciw bezbożnym”, o uroczystościach ku czci św. Alojzego Gonzagi, patrona Kolegium Rzymskiego.

Matczyna szuflada pęczniała coraz bardziej na skutek ciągle napływających listów. Syn pisał jednak nie tylko do matki; wysyłał również wzruszające listy do ojca. W liście z 14 stycznia 1867 roku czytamy: „Dowiedziawszy się, drogi Ojcze, że Twój syn jest szczęśliwy pomyślnością prawdziwą i doskonalszą od tej, jaką dają bogactwa i zaszczyty światowe, będziesz również i Ty szczęśliwy i nie będziesz żałował, że poszedł on drogą, na którą go powołała łaska Boża. Ból, jaki odczuwasz, jest następstwem mylnego rozumowania, a gdy to pojmiesz, będziesz dziękował Bogu i mnie błogosławił, i wdzięczność będziesz miał dla mnie za to, że postępowałem wbrew Twoim życzeniom.

Oplakujesz zaszczyty i bogactwa, których mi życzyłeś, i sądzisz, że moje uczucie dla Ciebie zmalało. Mylisz się jednak. Godność kapłańska nie pozbawia zaszczytów, bo jest przecież najzaszczytniejszą godnością, jaką można sobie wyobrazić, na tej ziemi. Kapłani są przedstawi-

cielami Pana naszego Jezusa Chrystusa, mają władzę nad duszami i codziennie rano na ich wezwanie zstępuje Jezus Chrystus na ołtarze w świątyni podczas świętej ofiary. Jest tysiąc-krotnie większym zaszczytem odprawić jedną Mszę świętą, niż rządzić największym imperium świata. O, gdybyś miał żywą wiarę, odczuwałbyś wielkość tej godności, którą Ojcowie Kościoła uważają za większą i wznioślejszą od samej godności aniołów!

Zaszczyty i bogactwa świata są zapewne rzeczą dobrą, jeśli używa się ich zgodnie z prawem Bożym, sprawiedliwie i z miłością, jak to sam czyniłeś i jak zwykło się czynić w dobrych rodzinach. (...) Jeżeli zaś chodzi o moje uczucie dla Ciebie, jest ono żywsze i prawdziwsze niż kiedykolwiek. Nie będę miał nigdy innej rodziny i jeszcze bardziej będę należał do Ciebie. Nigdy nie modliłem się żarliwiej za Ciebie i nigdy również nie odczuwałem większej, należnej Ci wdzięczności i synowskiej miłości, na którą zasługujesz. Błogosław więc Boga wraz ze mną i składaj Mu dzięki, a po małym ustępstwie na rzecz świata: smutku doznany z powodu mojego powołania, uznaj, że jest ono raczej nieskończonym dobrodziejstwem nieba, i nie pozbawiaj mnie niczego z Twojego uczucia”⁴.

Korespondencja Leona z ojcem jest przeniknięta troską o jego zbawienie. Oto list z 2 maja 1867 roku: „Mój drogi Ojcze, Twój list wyraża prawdziwe uczucia religijne, które sprawiły mi radość. Uznajesz potrzebę dobrej modlitwy, lecz Wielkanoc Twoją odkładasz tylko dlatego, że czujesz się jej niegodny. Oby to jednak Cię nie wstrzymywało. Sakrament pokuty jest lekarstwem, jak powiedział Chrystus Pan, i dlatego jest ustanowiony raczej dla tych, którzy są chorzy, niż dla tych, którzy czują się dobrze. Pragniesz, bym zaczął jeszcze z przyjęciem święceń subdiakonatu. Mój przełożony, by ci się przypodobać, zgadza się na ich opóźnienie do Bożego Narodzenia. Lecz czy zdajesz sobie sprawę, jak ogromna jest to dla mnie ofiara i jakiej godności, obfitości łask oraz siły mnie pozbawiasz? Pragnę jednak nade wszystko zobaczyć, jak znika smutek, któremu poddajesz się bez powodu.

Miałbym z pewnością prawo prosić Cię, abyś i Ty ze swej strony podjął małą ofiarę, nie tylko dla mego, lecz raczej dla Twojego dobra, byś znalazł spokój sumienia, który jest źródłem wszelkiej radości i wszelkiego szczęścia. Nie chciałbym jednak stawiać tego jako warunku. Wolę, abyś ją złożył z całą ochotą serca, dając Bogu z wielką

szczodrobliwością to minimum, o które Cię prosi. Prawo Boże nie jest wcale za ciężkie. (...) Wiesz i sam tego doświadczyłeś, jaką radość wewnętrzną i spokój daje uporządkowane sumienie. Zrób to we własnym interesie: rzecz to łatwa, potem będziesz szczęśliwy”⁵.

Takimi listami Leon pragnął przygotować ojca do pełnej akceptacji swego kapłańskiego powołania i pozyskać go do praktyk religijnych. Nie była to jednak sprawa łatwa. Trzeba było jeszcze poczekać na triumf łaski Bożej w jego sercu. Leon przypuszczał ataki przy każdej nadarzającej się okazji. Najsilniejszym argumentem, którym się posługiwał, było zapewnienie ojca o swojej miłości do niego. Z okazji święceń subdiakonatu, przyjętych 21 grudnia 1867 roku, napisał do rodziców: „Serce moje tryska radością i chciałbym uczynić Was uczestnikami mojego szczęścia... Nie było Was podczas tej pięknej ceremonii, lecz ja dużo o Was myślałem i za Was się modliłem. Miłość do Boga nie umniejsza miłości do krewnych, ale ją umacnia. Czasami myśląc o Was, płaczę. A nie są to łzy egoizmu, lecz łzy wielkoduszności, wylewane przed Bogiem w błagalnej modlitwie, by Wam błogosławił, uświęcał Was i zachowywał w pokoju serca oraz zjednoczył nas na nowo w szczę-

śliwości wybranych na całą wieczność. Czyż nie jest to prawdziwa miłość?"⁶.

Podczas letnich wakacji w 1868 roku, spędzonych jak zwykle w La Capelle, Leon prosił rodziców, aby udali się razem z nim do Rzymu. Uważał, że powinni skorzystać z możliwości, jaką stwarzał tam jego pobyt i zwiedzić Wieczne Miasto i Włochy. Wyrazili zgodę, sprawiając mu tym wielką radość. Leon dostrzegł w tym znak opatrności Bożej względem nich.

Opuścili La Capelle 22 października. Po drodze zwiedzili Lyon, Chambery, Turyn i Loreto. Nie obeszło się bez przygód: „Żywioły spiskowały przeciw nam: rzeki wylały na nasze drogi, a mosty zostały zabrane. Trzy razy nasza podróż była przerywana. Wstępując na szczyt Cenis, musieliśmy przebyć dłuższą drogę pieszo wskutek wylania rzeki Arc i przerwania drogi. Z Turynu do Mediolanu trzeba było zboczyć z trasy, by uniknąć rozlewisk rzeki Ticino. Gdy jechaliśmy z Padwy do Ferrary, wylał także Pad i zalał gościniec, zmuszając nas do przepłynięcia 14 kilometrów statkiem. Jednakże nasi dobrzy aniołowie doprowadzili nas szczęśliwie do celu podróży"⁷.

Do Rzymu przyjechali 2 listopada. Rodzice zamieszkali w seminarium przy ul. Cestari, ma-

jąc możliwość codziennego spotykania się z synem. Leon dwa razy w tygodniu, w czwartek i niedzielę, wychodził z rodzicami do miasta, a w inne dni spotykał się z nimi w rozmównicy. Tu ustalali plan zwiedzania miasta. Przewodnikiem ich był ks. Desaire, kapelan Francuzów, który z racji swego otwartego i miłego charakteru bardzo spodobał się ojcu.

„Ojciec wzruszony był pobylem w Rzymie. Jego wiara umacniała się z dnia na dzień. Jakże wymownym świadectwem wiary były bazyliki, katakumby, groby męczenników i mieszkania świętych? Trzeba by być z kamienia, aby pozostać niewrażliwym na tyle głosów przemawiających do duszy”⁸.

Nieustanne modlitwy matki i syna, ku ich i otoczenia ogromnej radości, zdawały się osiągnąć swój cel. Rodzice zamierzali pozostać w Rzymie do lutego; Leon miał otrzymać święcenia kapłańskie w czerwcu. Księdzu Freydowi przyszła do głowy myśl przyspieszenia święceń kapłańskich, by rodzice mogli wziąć w nich udział. Matka przyjęła tę propozycję z wdzięcznością, ojciec z wahaniem i zastrzeżeniami, później jednak wyraził zgodę. Sprawę miała rozstrzygnąć audiencja u Piusa IX, która odbyła się 15 listopada 1868 roku. Syn przygotował proś-

bę, ale przedstawił ją Ojcu Świętemu sam ojciec. Był to triumf łaski. Papież udzielił zezwolenia. Świątowania wyznaczono na 19 grudnia. Leon tak wspomina ten okres: „Były to najlepsze dni mojego życia. Przygotowywałem się chętnie, czytając traktaty o Olieria i o Chaignona. Pan Jezus chciał sam dobrze mnie przygotować, udzielając obfitych łask. Miał z pewnością na względzie moją obecną misję. Widzę to dzisiaj jasno. Obdarzył mnie szczerze duchem miłości i wzbudził pragnienie wynagrodzenia, co jest znamieniem mojego powołania... Rekolekcje odprawiłem u św. Klary pod kierunkiem o. Freyda. Dnia 19 grudnia rano byłem w Bazylisce św. Jana na Lateranie, aby przyjąć świętowania. Towarzyszył mi dobry ks. Desaire”⁹.

Świątowania kapłańskie Leon otrzymał z rąk kard. C. Patriciego w majestatycznej bazylice, w której „szczególnym blaskiem jaśnieje apostołskość, katolickość, jedność i świętość Kościoła rzymskiego... Świątonych było 200 kleryków zakonnych i diecezjalnych wszystkich narodowości.

Moi rodzice stali za mną, lejąc łzy bez końca. Ojciec nie mógł jeść tego dnia. Wrażen odniesionych z tych święteń nie da się łatwo wyrazić:

zostałem kapłanem, własnością Jezusa, byłem cały Nim przepelniony, Jego miłością ku Ojcu, Jego pragnieniem ratowania dusz ludzkich, Jego duchem modlitwy i ofiary. Po przyjęciu święceń, idąc do zakrystii, by się rozebrać z szat, obróciwszy się, zobaczyłem matkę klęczącą przede mną, aby otrzymać moje pierwsze błogosławieństwo. Tego było za wiele, szlochałem ze wzruszenia. Wróciłem do seminarium w towarzystwie moich dobrych rodziców, wyczerpanych silnymi przeżyciami. Mój ojciec został całkowicie zdobyty, przyrzekł przyjąć Komunię świętą. Nazajutrz, podczas mojej pierwszej Mszy świętej, poszedł do spowiedzi do ks. Levala, przełożonego kapelanów francuskich kościoła św. Ludwika, świętego kapłana, nawróconego z judaizmu. Podczas następnych lat mój ojciec nie mówił nigdy o ks. Levalu bez silnego wzruszenia i wyrazów głębokiej wdzięczności¹⁰.

Nazajutrz nowo wyświęcony kapłan odprawił Mszę świętą w kaplicy seminaryjnej w asyście o. Freyda i najbliższych przyjaciół. Gdy ojciec wraz z matką zbliżyli się do Komunii świętej, nikt nie zdołał powstrzymać łez. „Co do mnie, to byłem porwany miłością ku Chrystusowi Panu i pełen pogardy dla mojej biednej, małej osoby. Był to najlepszy dzień mojego życia”¹¹.

W następnych dniach odprawił Msze święte w najczcigodniejszych miejscach Rzymu: na grobie św. Piotra, w więzieniu mamertyńskim, w Bazylice św. Jana na Lateranie, w celi św. Alojzego Gonzagi. Trzy Msze w Boże Narodzenie celebrował w seminarium przy ołtarzu Matki Bożej. „Przez cały rok nie zdołałem odprawić ani jednej Mszy świętej, nie płacząc. Nie chciałem słyszeć o stypendium mszalnym. Czułem odragę do łączenia troski o pieniądze z tak świętą czynnością. Pan Jezus właśnie zażądał tych Mszy świętych wyłącznie dla siebie jako dar miłości i ofiary w duchu wynagrodzenia”¹².

Osiem następnych dni spędził z rodzicami, odwiedzając Neapol, Pompeje, Castellamare, Sorrento, Pozzuoli i Pagani. W ostatni dzień tej wycieczki ojciec zakupił w Neapolu pamiątki i upominki dla całej rodziny.

Rodzice pozostali w Rzymie jeszcze przez miesiąc, zwiedzając miasto. Jak poprzednio, w czwartki i niedziele wychodzili z synem. Leon, jako ksiądz, nadal miał dużo nauki. Oprócz wykładów w Kolegium Rzymskim uczył na wykłady do Seminarium Apollinare, gdzie zapisał się na Wydział Prawa Kanonicznego. Dużo także czytał. Z *Listu do współczesnych* ks. Dupanloupa wynotował zdanie: „Jeśli chciał-

bym dać jakąś radę chrześcijanom naszych czasów i wszystkim księżom, to chyba tę, aby nie byli obcy – jak to zbyt często czynią – wobec zagadnień społecznych, aby uczestniczyli w życiu wieśniaków i robotników, zajmowali się problemami ich mieszkania, odżywiania się, zapłaty, ich dziećmi i starcami, ich towarzystwem ubezpieczeniowym, ich lekturami i rozrywkami. Dlaczego? O mój Boże, po to, aby wszystkim ulżyć, wszystko wyjaśnić, wszystko poprawić? To powinno być naszą główną pasją, pozostającą poza całą polityką, wszelkimi ambicjami i wzajemnymi oskarżeniami”¹³.

Nadmiar pracy, dodatkowo kurs stenografii, intensywne życie wewnętrzne, wreszcie przeżycia rodzinne z okazji świąceń – wszystko to niekorzystnie wpłynęło na zdrowie Leona. Siły fizyczne odmówiły mu posłuszeństwa. Musiał położyć się do łóżka. Kaszlał i miał wszelkie symptomy gruźlicy. Przewidywano katastrofę. Pomogła mu jednak, jak sam wyznaje, cudowna woda z Lourdes. Mógł więc wyjechać na wakacje po zakończeniu roku i zaliczeniu wszystkich egzaminów. W otoczeniu mówiono: „Ten biedny i schorowany ksiądz niewiele chyba odprawi Mszy!”. Leon Dehon przeżył jednak 82 lata, do końca pracując bez wytchnienia.

Mszę świętą prymicyjną odprawił podczas wakacji w La Capelle 19 lipca 1869 roku. Uroczystość była piękna i wzruszająca. Wzięli w niej udział rodzina i krewni. Otrzymał wiele gratulacji i podarków, szczególnie książek. Odprawił Mszę świętą i nieszpory oraz wygłosił dwa kazania: o Mszy świętej i o Matce Bożej. W jednym z nich, mówiąc o drogich dla chrześcijan sanktuariach Rzymu i miejscach świętych Palestyny, stwierdził: „Jest także jeden ołtarz, mniej święty niż tamte i nieznanym pielgrzymom, lecz tak samo drogi sercu każdemu z nas – ołtarz w miejscu rodzinnym, w parafii naszych narodzin. (...) Przed niego wzywa nas obowiązek, ponieważ w tym miejscu popełniliśmy grzechy naszego dzieciństwa i u stóp tego właśnie ołtarza należy za nie dokonać zadośćuczynienia, składając Bogu bezcenną ofiarę. Wzywa nas obowiązek po wtóre dlatego, że tu otrzymaliśmy Boże łaski i dobrodziejstwa – wiarę, miano chrześcijanina i pierwszy uścisk miłości, którym objął nas Chrystus w Pierwszej Komunii Świętej, powtarzając go potem z macierzyńską czułością. Od ludzi również doznawaliśmy dobrodziejstw i winiliśmy im wyrazić wdzięczność, prosząc dla nich o Boże błogosławieństwo”¹⁴.

Po powrocie z wakacji, podczas których pomagał w duszpasterskich zajęciach znajomym kapłanom, ks. Dehon zabrał się z zapałem do pracy. Piąty rok jego pobytu w Rzymie (1869-1870) był rokiem soboru. Wyzna on, że sobór, chociaż pochłonął połowę jego czasu, stał się jednak okazją do zdobycia bogatego doświadczenia, obfitował w niezapomniane przeżycia i owocne kontakty z duchową elitą Kościoła.

Sobór otwarto 8 grudnia, mimo trudności zewnętrznych i wewnętrznych. Do trudności zewnętrznych należał antysobór, zwołany w Neapolu przez posła G. Ricciardiego przy poparciu G. Garibaldiego, W. Hugo i A. Franchi. Trudności wewnętrzne natomiast związane były z niezdrowymi prądami liberalizmu, racjonalizmu i gallikanizmu, które doszły do głosu w Kościele. Tak opisywał tę sytuację ks. Leon: „Sobór miał być dziełem pokoju i jedności, lecz często tak nie było. W rzeczywistości trwała ostra i namiętna walka wewnątrz soboru i poza nim. Istniała w Kościele, nie chciałbym twierdzić, że partia czy frakcja, lecz szkoła żywa, żarliwa, a często namiętna, szkoła gallikańsko-liberalna, z głównymi ogniskami w Niemczech i we Francji. Miała ona zbiór doktryn i tendencji dobrze

wszystkim znanych, wypływających z kilku źródeł: cezaryzmu napoleońskiego, rewolucyjnej niezależności, parlamentaryzmu, austriackiego józefinizmu, dawnego gallikanizmu Ludwika XIV i legalistów, a nawet jansenizmu i reformacji. Walka skoncentrowała się wokół nieomyślności papieskiej, z tendencją do rozluźnienia więzów Episkopatów ze Stolicą Apostolską i społeczeństwa świeckiego z Kościołem”¹⁵.

Dnia 8 grudnia 1869 roku, w dzień otwarcia soboru, ks. Leon napisał: „Moje serce było bardzo mocno i modliłem się za Kościół, podziwiając tę imponującą manifestację jego jedności i świętości”¹⁶.

Zebrania generalne dla 737 ojców soboru odbywały się cztery lub pięć razy w tygodniu. Ksiądz Leon brał w nich udział ubrany w strój kleru rzymskiego: miał czarną sutannę bez szarfy, buty ze sprzączkami, białą koloratkę i krótki płaszcz, zwany *ferraiolo*. Stenografowie, po wysłuchaniu Mszy świętej, od godziny 9.30 pisali na stojąco, po dwóch przed trybuną, zmieniając się co 5 minut, aby w ciągu następnych 20-30 minut przełożyć stenografię na alfabet rzymski. Ojcowie soboru często przychodzili do nich z pytaniami dotyczącymi ich własnych interwencji.

Podczas procesji, którą Pius IX zarządził 25 marca 1870 roku do kościoła Matki Bożej Sopra Minerva, zebrane tłumy wołały najpierw: „Niech żyje papież-król”, a potem „Niech żyje papież nieomylny!”¹⁷. Dnia 8 lipca sobór zatwierdził dogmat o nieomylności papieskiej. Na 535 oj-ców obecnych na sesji tylko dwóch oddało głosy sprzeciwu. Byli to: włoski biskup Luigi Riccio i amerykański biskup Edward Fitzgerald. Później jednak wszyscy oni, wraz z biskupami, którzy nie wzięli udziału w ostatniej sesji, uznali definicję Kościoła. Kościół, dzięki Bogu, nie przeżył smutku dezercji ze swoich szeregów.

„Poza tymi wyjątkami – stwierdza ks. Leon – jest absolutnie pewne, że sobór w całości był godzien podziwu, jeśli chodzi o pobożność, godność i mądrość. Zaledwie dwa razy przez kwadrans zapanowało wzburzenie na sesjach. Jest to mniej w całym roku niż w jednym dniu w parlamencie”¹⁸.

Podczas długich debat i obrad soborowych z jeszcze większą oczywistością ujawniła się potrzeba jedności, której opoką jest papież, *dolce Cristo in terra*. Tak to celnie ujął ks. Leon: „Słabość i siła Kościoła Bożego: słabość sama w sobie, niedoskonałość, ciemność; siła w Bogu, stabilność, światło, życie, kiedy opiera się na

kamieniu węglnym – Chrystusie i na fundamentach, które stanowią apostołowie. Wewnętrzna łączność Kościoła niebieskiego z Kościołem ziemskim. Wpatruje się w siebie jeden i drugi, żyjąc dla Boga. Żywym obrazem tego zjednoczenia jest *Litania do Wszystkich Świętych*, odmawiana przez sobór. Jakże przedziwna i odczuwalna jest wiara Piusa IX w jego modlitwach! Jakże widzialna jest również we wzburzeniu tych dni solidność opoki, którą jest Piotr. Wszystko, co burzy się poza nim, burzy się w ciemnościach. Wszystko, co nie zostało zbudowane na nim, zbudowane jest na piasku. Wszyscy zgromadzeni biskupi stanowią niezniszczalną budowlę, bo wzniesioną na opoce¹⁹.

Nazajutrz po zamknięciu soboru, 19 lipca 1870 roku, wybuchła wojna między Francją a Prusami. W atmosferze napięcia i niepokoju biskupi wracali pospiesznie do domów. Ksiądz Dehon jechał w jednym przedziale z bp. A. Pie, późniejszym kardynałem. „Byłem dumny i szczęśliwy, że wracałem z wielkim biskupem, który podczas soboru tyle chluby przyniósł Francji”²⁰.

Zaledwie ks. Leon przybył do La Capelle, burmistrz powołał go do wojska, wbrew istniejącemu prawu, zwalnającemu księży z tego obowiązku. On jednak, chcąc przysłużyć się oj-

czyźnie, zgłosił swojemu biskupowi gotowość przyjęcia nominacji na kapelana wojskowego. Oczekując na odpowiedź, spełniał gorliwie i owocnie posługę kapłańską wśród żołnierzy stacjonujących w La Capelle. „Każdego wieczoru organizowaliśmy spotkania religijne w kościele. Nie brakowało na nich młodych żołnierzy, którzy świadomi byli, że za kilka dni mogą spotkać się ze śmiercią. Codziennie głosiłem im kazania. Większość spowiadała się i przyjmowała Komunię. W kilka dni później wzięli udział w bitwach na północy, w Villers-Bretonneux, Ham, Pont-Noyelle i Bapaume. Wielu z nich straciło życie”²¹.

Wolne chwile ks. Dehon wypełniał pracą, przygotowując się do doktoratu z prawa kanonicznego i teologii. Pisał też dużo listów do znajomych, szczególnie księży. Kiedy 28 stycznia 1871 roku zostało ogłoszone zawieszenie broni, zaczął planować swój powrót do Rzymu.

Niepokoje, trwające zarówno we Francji, jak i w Rzymie, opóźniły jego wyjazd. Do Wiecznego Miasta przybył dopiero 18 marca. Kontynuował studia teologiczne i z prawa kanonicznego. Był pięć razy na audiencji u Piusa IX oraz wziął udział w wielkiej uroczystości jubileuszowej z okazji dwudziestopięciolecia jego wyboru i koronacji.

Jako dobry syn Francji przeżywał jej wstrząsy i niepokoje, patrząc jednak na nie oczyma wiary: „Dowiadujemy się tutaj z dnia na dzień z prasy i telegrafu o wydarzeniach w Paryżu. Z całą oczywistością widać w nich palec Boży. Dobry Bóg chce nas koniecznie zbawić i uczynić ponownie Francją katolicką. Zdaje się, że wielu ludzi jeszcze nic z tego nie rozumie. Stąd wniosek, że jeszcze nie koniec na tym i że pole orane będzie aż do czasu zniszczenia wszystkich chwastów. Ileż pięknych rzeczy wśród tylu okropności! Ileż lekcji dla ludzi dobrej woli”²².

Ksiądz Leon obronił doktorat z teologii 1 czerwca. „Wczoraj uzyskałem doktorat z teologii – zapisał. – Egzamin zdałem dobrze. Oto jeszcze jeden etap pokonany. Przygotowałem się bez wielkiego trudu, dzięki spokojowi, którym się tutaj cieszyłem, i dzięki wyjątkowemu chłodo- wi sezonu tego roku. Dwa miesiące, które mi zostały, poświęciłem studiowaniu prawa kanonicznego”²³.

Dnia 23 lipca uzyskał doktorat z prawa kanonicznego. Nazajutrz napisał: „Z powodzeniem zdałem mój ostatni egzamin, uzyskując doktorat z prawa kanonicznego. Dziś wypoczywam, a jutro rozpocznę kilkudniowe skupienie przed opuszczeniem Rzymu. Studia moje zosta-

ły więc ukończone. Chciałbym, a może powinienem je jeszcze kontynuować, ponieważ były odbyte trochę pośpiesznie. Jeden rok więcej w Rzymie, w spokoju, bez egzaminów przed oczami, bardzo pomógłby mi w uporządkowaniu wiadomości. Nalegano jednak na mnie z Nîmes, z Soissons, a nawet z La Capelle, ponieważ rodzice obawiali się dla mnie klimatu Rzymu. Dlatego ustąpiłem²⁴.

Wyjeżdżając z Rzymu, w liście do rodziców stwierdził: „Z żalem opuszczam Rzym, mimo jego smutnej sytuacji. Spędziłem tu lata pracowite, dobrze wykorzystane dzięki łasce Bożej, której całą wartość docenię w niebie. Jest dla mnie pociechą, że wynoszę stąd bogate skarby, takie jak kapłaństwo, wiedzę kościelną, dobre nawyki i miłe wspomnienia²⁵”.

Jakie wrażenie pozostawił po sobie u tych, z którymi się spotkał, którzy byli jego przełożonymi i wychowawcami? Niech za odpowiedź posłuży notatka, jaką zamieścił o. Freyd w dokumentach seminarium: „Leon Dehon, z diecezji Soissons. Do seminarium wstąpił 25 października 1865 roku. Opuścił je 1 sierpnia 1871 roku. Charakter: wyśmienity. Zdolności: ogromne. Pobożność i regularność: doskonałe... Był jednym z naszych najlepszych alumnów pod każ-

dym względem. Pobożność, skromność, powaga, regularność, synowska miłość dla swoich nauczycieli, energiczne przykładanie się itd. Wszystko sprawiało, że był nam drogi. Obiecuję wiele na przyszłość”²⁶.

W poszukiwaniu drogi

Dwudziestoósmioletni ks. Leon Dehon, były adwokat Trybunału Paryskiego, miał 4 doktoraty: z prawa świeckiego, z filozofii, teologii i prawa kanonicznego; odznaczał się ogromną wiedzą, znajomością ludzi i zagadnień społecznych.

Jego ojciec, świadom nieprzeciętnych zdolności i osobistych walorów Leona, marzył ciągle, nawet po swoim nawróceniu z okazji święceń, o wielkiej karierze dla syna i wiele mówił o tym wśród swoich najbliższych. Leon jednak stawiał wolę Bożą ponad wszystko. Wiedział bowiem, że myśli Pańskie nie są myślami ludzkimi, a drogi ludzkie nie są drogami Pańskimi.

Ksiądz Dehon Bogu więc przedstawił swoje pragnienia, zamiary i marzenia, na kolanach szukając Jego woli. Zaraz po zakończeniu studiów odprawił czterodniowe rekolekcje pod kierunkiem o. Maurona, przełożonego generalnego

Ojców Redemptorystów, zastanawiając się nad swą dalszą drogą życia i chcąc znaleźć tę, którą wyznaczył mu Pan Bóg w swej mądrości i dobroci. „Ważylem *pro* i *contra* – stwierdził. – Z entuzjazmem odnosiłem się do projektu działalności naukowej; niepokoił mnie styl życia o. d’Alzona, byłem przyzwyczajony do życia bardziej wewnętrznego. Moim ideałem była orientacja o. Freyda. Zdecydowałem się wstąpić do Asumpcjonistów, lecz pozostały mi pewne obiekcje, a ponadto wiedziałem, że o. Mauron i o. Freyd udzielili pozwolenia niechętnie”¹.

Nie można się dziwić, że po studiach odbytych z takim zaangażowaniem i zakończonych sukcesem młody kapłan skłaniał się ku profesurze i badaniom naukowym. Błogosławnymi nazywał czasy w Kościele, czasy bogate w kapłanów, kiedy część z nich z całą swobodą mogła oddawać się poszukiwaniu prawdy. Teraz miał jednak wątpliwości, czy wolno mu oddać się studiom, czy raczej powinien poświęcić się działalności kapłańskiej.

Od 1869 do 1871 roku nawiedzała go uparcie myśl założenia w Rzymie zgromadzenia zakonnego, w którym oprócz trzech ślubów składano by czwarty: krzewienia nauki Kościoła, nawet

gdy nie jest podawana jako dogmat. Rozmawiał o tym z wieloma wybitnymi osobistościami, na przykład z bp. G. Marmillodem i kard. G. B. Pitrą. Wszyscy oni pochwalali i aprobowali ten projekt. Silniej jednak nurtowało go pragnienie założenia wspólnoty oddanej studiom w duchu rzymskim i idei zadośćuczynienia Najświętszemu Sercu Jezusa za grzechy ludzkości. Prawda i miłość stanowiły dwie wielkie pasje jego życia, dlatego stały się one jego natchnieniem w poszukiwaniu zadania, którego wypełnienie stanowiłoby sens jego życia.

Myśląc o połączeniu swego kapłaństwa z poświęceniem się działalności naukowej, kontaktował się z różnymi założycielami zgromadzeń mających taki cel i z przedstawicielami uniwersytetów katolickich. Konkretnie rozmowy na ten temat prowadził z bp. E. Hautecoeuem, który zamierzał powierzyć mu zorganizowanie uniwersytetu katolickiego w Lille, później zaś, już po założeniu tego uniwersytetu, ofiarował ks. Dehonowi katedrę w nowej uczelni. Ten jednak odmówił. Biskup, widząc że skłania się on ku czemuś innemu, oświadczył: „Strapiony decyzją księdza rozumiem, że nie wypada mi próbować na nowo. Wiem, że inni by nie rezygnowali. Niech będą szczęśliwsi ode mnie”.

Ksiądz Dehon nie przyjął również propozycji jednego z biskupów, który zaproponował mu stanowisko sekretarza. Od dawna bowiem czuł powołanie do życia zakonnego. Słyszał w duszy wyraźny głos, nakazujący mu oddać się Bogu bez reszty. Trudno mu było jednak o decyzję, w jakim zakonie jest dla niego najwłaściwsze miejsce. Wahał się, czy wstąpić do starego Zakonu Jezuitów, Cystersów czy Benedyktynów, czy może jakiegoś nowszego zgromadzenia, bardziej przystosowanego do potrzeb Kościoła w obecnych czasach.

Kiedy w marcu 1871 roku powracał z Francji do Rzymu, po drodze wstąpił do Nîmes, aby bezpośrednio zapoznać się ze wspólnotą założoną przez o. d'Alzona. Znał ją już trochę z relacji swego serdecznego przyjaciela ks. Desaire'a; wstąpił on do Asumpcjonistów i przez wiele miesięcy informował ks. Dehona o rozwoju zakonu. Na miejscu ks. Leon doznał jednak zawodu.

Wciąż sądził, że jego powołaniem i nakazem chwili jest wstąpienie do zgromadzenia zakonnego oddanego studiom teologicznym. Rozmawiał o tym z o. d'Alzonym i poruszał ten temat w korespondencji z nim. Założyciel Asumpcjonistów zamierzał poświęcić swoje zgromadze-

nie studiom i nauczaniu wyższemu, założyć dom studiów w Rzymie i drugi nowicjat w Paryżu. Oczekiwał na przyjazd ks. Dehona do Nîmes w połowie października, licząc na niego w wyjątkowy sposób. Tymczasem ten miał wątpliwości i zastrzeżenia. Po swej wizycie w Nîmes napisał: „Ojciec d’Alzon zdaje się rozumieć i przyjmować z upodobaniem nasze projekty, lecz w gruncie rzeczy pozostaje raczej człowiekiem działania niż studiów, a nawet ośmieliłbym się powiedzieć – człowiekiem agitacji, w najkorzystniejszym sensie tego słowa”².

Z wewnętrzną rozterką i niezdecydowaniem ks. Dehon opuścił Rzym 1 sierpnia 1871 roku, wstępując po drodze do Asyżu, Pawii, Annecy, Tours, gdzie spotkał się z Palustre’em, oraz do Paryża. Stamtąd udał się do rodzinnej miejscowości. W domu zapanowała wielka radość. Przyjmował gratulacje i podarki. Także podczas tych wakacji chętnie podejmował prace duszpasterskie w parafii, odwiedzał krewnych i znajomych.

Potem udał się do Lowanium, aby zapoznać się z organizacją i funkcjonowaniem tamtejszego uniwersytetu katolickiego. Przeprowadził rozmowy z jego rektorem i wieloma profesorami. Chciał uzyskać wszelkie dostępne in-

formacje, nie porzucając myśli o poświęceniu się w przyszłości nauczaniu uniwersyteckiemu.

Wreszcie nadszedł dzień podjęcia ostatecznej decyzji i zaplanowania swojej przyszłości w porozumieniu z miejscowym biskupem. Pisał w tym czasie: „Miałem wyraźne skłonności do życia zakonnego. Myślałem o wielkich zakonach, wzywając codziennie ich założycieli. Potrzeba chrześcijańskiego wykształcenia, którego brakowało we Francji, i projekt o. d'Alzona kierowały mnie ku Asumpcjonistom. Byłem prawie zdecydowany, lecz miałem pewne zastrzeżenia. Czy znalazłbym tam możliwość życia wewnętrznego, którego potrzebę ukształtował we mnie Rzym? Czy projekty o. d'Alzona mają szansę powodzenia? Przez dwa lata cierpiałem z powodu tego problemu. Wysłuchiwałem opinii wielu ludzi, ale poważnie radziłem się jedynie o. Freyda. On wahał się, podobnie jak ja, i razem ze mną szukał woli Bożej”³.

Mimo wszystko nęcił go apostołat intelektualny na jakimś uniwersytecie, na przykład pójście za sugestią bp. E. Hautecoeuera, założyciela katolickiego uniwersytetu w Lille. Ojciec Freyda był jednak temu przeciwny, nie pochwalał planów zakładania uniwersytetów katolickich we Francji, żywiąc obawy, że staną się one w Koście-

le ośrodkami gallikanizmu i liberalizmu. Ksiądz Leon kierował się więc raczej ku wyjazdowi do Nîmes. Na wiadomość o tym o. d'Alzon, uważając sprawę za zamkniętą, napisał do niego: „Niech Bóg będzie błogosławiony za to, że posyła mi takiego pomocnika! (...) Proszę przyjechać do Nîmes w październiku. Spędzimy razem w Vigan listopad i grudzień, potem uczynimy to, co będzie się Księdzu wydawało najlepsze dla chwały Bożej...”⁴.

Kiedy wszystko zdawało się przemawiać za Nîmes, ks. Dehon otrzymał niespodziewanie z datą 30 września list od ks. Desaire'a. Zwiększył on jego wątpliwości i zawrócił go z obranej drogi. „Bogu tylko wiadomo – wyznał – co wówczas wycierpiałem wskutek poszukiwania po omacku, w ciemnościach”⁵.

Wstrząśnięty listem ks. Desaire'a i wewnętrznie wzburzony, zasięgnął ponownie rady o. Freyda, który polecił mu, aby ostateczną decyzję odłożył do czasu wyraźniejszych znaków woli Bożej.

Dnia 3 października ks. Leon oddał się do dyspozycji swojego biskupa, ks. Doursa, ordynariusza Soissons, który wyraził uprzednio zgodę na jego wstąpienie do zakonu. Teraz jednak, 16 listopada 1871 roku, mianował go wikariu-

szem parafii Saint-Quentin. „Było to całkowite przeciwieństwo tego – twierdził ks. Dehon – do czego tęskniłem od lat; do życia w skupieniu, oddanego pracy naukowej. *Fiat* – niech się stanie!”⁶.

Działalność duszpasterska

Błogosławione *fiat*, wypowiedziane w duchu posłuszeństwa, wydało owoce w postaci działalności apostołskiej, którą rozpoczął ks. Dehon jako wikariusz parafii Saint-Quentin. Wzorowy alumn Seminarium św. Klary podjął z żarliwością pracę wyznaczoną mu przez biskupa.

7 listopada 1871 roku wyjechał do Saint-Quentin, aby przedstawić się proboszczowi, ks. L. L. Gobeille, byłemu profesorowi i rektorowi seminarium. Do pracy stawił się 17 listopada. Zamieszkał w małym pokoiku na poddaszu, z którego mógł podziwiać piękne, gotyckie wieże świątyni. Pomimo wyższego wykształcenia został ostatnim, siódmym wikariuszem i dlatego musiał wykonywać najbardziej uciążliwe prace. Odprawiał pierwszą, najwcześniejszą Mszę świętą, co wiązało się z koniecznością wstawania o godzinie 4.30, aby – oddawszy się

wpierw rozmyślaniu – zdążyć do kościoła, lub ostatnią, najpóźniejszą, z obowiązkiem zachowywania ścisłego postu aż od południa. Grzebał umarłych, celebrował nabożeństwa, uczył katechizmu w kościele i szkole, odwiedzał chorych, słuchał spowiedzi, przygotowywał i wygłaszał kazania. Był bardzo zajęty. Szczególnie nauka religii w szkole pochłaniała mu wiele czasu, przygotowując go jednak do apostołstwa wśród młodzieży, które miał niebawem rozpocząć i prowadzić przez długie lata.

Saint-Quentin rozbudowywało się szybko. Było to spowodowane wielkim rozwojem przemysłu włókienniczego. Liczyło wówczas około 35 tysięcy mieszkańców, w większości robotników. Sytuacja tych ludzi była bardzo ciężka. Jej obraz przedstawiony w dzienniku przez młodego wikariusza jest przerażający: „Płaca wzrasta lub maleje zależnie od kursu, jak cena niewolników. Żadna instytucja nie chroni robotników. Dziewięć dziesiątych przemysłowców i przedsiębiorców nie ma najmniejszego pojęcia o obowiązkach pracodawców. Starość, choroba, liczne potomstwo są powodem głodu i nędzy w rodzinie.

Niektóre lepiej sytuowane rodziny osiągają wyższy poziom, większość żyje w nędzy. Fabry-

ki nie nakazują pracy w niedzielę, ale pracodawcy nie interesują się religijnością robotników. W niedzielę rano robotnicy wypoczywają lub zajmują się ogrodnictwem, a po południu piją.

W całym przemyśle budowlanym sytuacja jest żałosna: pracuje się w niedzielę, pije w poniedziałek, wtorek, a często w środę. W przedsiębiorstwach w niedzielę czeladnicy sprzątajają warsztaty.

Można powiedzieć, że nikt z klasy robotniczej nie uczęszcza do kościoła. Ani ksiądz, ani właściciel nie pomagają tym dzielnym ludziom w budzeniu jakichś bardziej wzniosłych uczuć. (...) Ich położenie jest gorsze od stanu starożytnych niewolników, którzy należeli częściowo do rodziny właściciela. We wszystkich tych sercach panuje – nie bez ważnych powodów – nienawiść do obecnego społeczeństwa, antypatia do pracodawcy i niezadowolenie z kleru, który czyni dla nich zbyt mało...”¹.

Organizacja religijna i duszpasterska w mieście pozostawiała również wiele do życzenia. Według statystyki, miasto liczyło 34 tysiące katolików, z czego 30 tysięcy należało do bazyliki, a reszta do dwu peryferyjnych parafii. To prawda, że bazylikę obsługiwało ośmiu księży. Nie wystarczało to jednak, by choć najogólniej ogar-

nać wszystkie pałace potrzeby tego tak trudnego terenu. Ksiądz Leon zauważył: „Nie trzeba tworzyć nigdy miast chrześcijańskich z parafiami o 30 tysiącach dusz. Jest to przeciwne rozsądkowi, bo pasterz powinien znać swoje owieczki”².

Faktycznie w parafii Saint-Quentin zaledwie 60 osób przystępowało codziennie do komunii świętej, a 200 w niedzielę. Uczestnictwo w Mszach świętych niedzielnych było zastraszająco małe, a środowisko całkowicie ześwieczone. Większość wiernych żyła na wzór pogan.

Rzecz jasna, że na to wszystko należało odpowiedzieć wielką gorliwością duszpasterską i apostołskim zapalem – tych zaś ks. Dehonowi nie brakowało. W pracy swej położył nacisk na duszpasterstwo sakramentalne jako podstawowe i nie do zastąpienia; był świadom, że bez Chrystusa nic nie da się zrobić. Bardzo szybko doszedł jednak do wniosku, że w Saint-Quentin brak jest takich środków apostołstwa jak: kolegium, oratorium (dom zebrań dla robotników) i gazety katolickiej³. Był przekonany, że bez kolegium nie wychowa się po katolicku młodzieży, bez oratorium nie pozyska się klasy robotniczej dla Chrystusa, a bez gazety nie ciągnie się mas do Kościoła.

Ksiądz Leon, będąc człowiekiem praktycznym, zabrał się natychmiast do pracy. Rozpoczął od oratorium, sprawy najważniejszej i najtrudniejszej, ponieważ pozyskanie klasy robotniczej uważał za problem niecierpiący zwłoki.

Najpierw zajął się dziećmi i młodzieżą robotniczą. Początkowo zbierał ich w swoim pokoiku, później na podwórzu konwiktu, prowadzonego przez przewodniczącego Konferencji św. Wincenego – Julienu. Tak rozpoczęte dzieło niebawem zaczęło się rozwijać. Proboszcz, przekonany o słuszności prowadzonej akcji, wynajął teren przy ul. des Bouloris, resztę pozostawiając wikariuszom. Na szczęście okoliczności zdawały się sprzyjać: miasto popierało tę inicjatywę, a prasa odnosiła się do niej życzliwie.

Ksiądz Dehon zorganizował akcję zbierania podpisów na rzecz budowy domu parafialnego, a w okolicznościowych przemówieniach prosił o pomoc finansową. Z niezwykłą energią rozpoczął budowę. Już 18 marca 1873 roku odprawił pierwszą Mszę świętą w kaplicy nowo wybudowanego domu. Był to niebawem sukces.

Do swego przyjaciela Palustre'a napisał: „Czas, który zostaje po zajęciach duszpasterskich, pochłania w całości budowa domu parafialnego i ośrodka robotniczego. Trzy miesiące

temu zacząłem budowę, a już rozpoczyna się krycie konstrukcji. Praca postępuje bardzo dobrze. Mam ponad 150 młodych członków, lecz jest to wielka robota. Mam kosztorys budowy na 15 tysięcy franków, a teren będzie kosztował 20 tysięcy. Zdołałem zgromadzić tylko 6 tysięcy franków, choć uciekałem się do loterii i kazań na rzecz akcji dobroczynnej. Resztę, z pomocą Opatrzności, spłaci się stopniowo. Miasto przyjmuje dzieło bardzo przychylnie, z małymi wyjątkami tylko. Te dzieła robotnicze, powstające i organizujące się w wielu miastach, z modlitwami za Francję, są zadatkiem nadziei na przyszłość..."⁴.

Ksiądz Leon nawet wśród tak licznych zajęć i ogromu pracy znajdował czas na lekturę, studium i modlitwę. Czytał nadal wiele dzieł o tematyce ascetycznej, kaznodziejskiej, katechetycznej i społecznej. Zagłębiał się w życiorys św. Wincentego à Paulo i studiował dzieła św. Teresy Wielkiej. Pisywał listy do rodziców, o. Freyda i znajomych. Tak intensywna działalność odbiła się niekorzystnie na jego zdrowiu: „Rok ukończyłem – stwierdził – w stanie dość znacznego fizycznego przemęczenia”⁵.

Patronat dla młodzieży zwany Domem Opieki św. Józefa rósł w oczach. Znajdowały się tam różne pomieszczenia: czytelnia, sala zabaw, dziedziniec rekreacyjny, sala gimnastyczna, biblioteka, kasa oszczędności, sala dla orkiestry, kancelaria, a w centrum kaplica. Wśród współpracowników ks. Dehona byli dwaj miejscowi wikariusze.

Ksiądz Leon zajął się przede wszystkim młodzieżą, pragnąc jej dać wychowanie w pełni chrześcijańskie, zarówno pod względem religijnym, jak i moralnym. Chciał uczynić z nich dobrych chrześcijan, porządnych ludzi, przygotowanych do życia zawodowego i rodzinnego.

Praca rozwijała się pomyślnie i w krótkim czasie widać było efekty. Ksiądz Dehon poświęcał swemu dziełu cały czas, nie skąpiąc także osobistych ofiar i własnej ojcowizny. Wystarczy wspomnieć, że w pierwszych latach wydał nań ponad 50 tysięcy franków z własnej kieszeni.

Początkowo Domem Opieki św. Józefa kierował osobiście, lecz później, ze względu na nadmiar zajęć, musiał poprosić o pomoc innych, zwłaszcza ludzi świeckich. Wśród nich znalazł się właściciel miejscowej drogerii, Alfred Santerre, człowiek prawdziwie święty.

Gorliwość apostołska i urok osobisty młodego wikariusza zyskiwały coraz więcej zwolenników i sympatyków dla jego działalności. Zarówno przemysłowcy, inteligencja, jak i osobistości urzędowe darzyli go sympatią i udzielali pomocy. Należał do nich także burmistrz miasta, będący równocześnie posłem do parlamentu. „Był to – wspomina ks. Leon – złoty okres dla tego drogiego mi przedsięwzięcia. Wszyscy zachowali z tego czasu dobre wspomnienia, niektórzy z nich zostali dobrymi chrześcijanami, wielu nadal żyje duchem naszego dzieła, i tych wspominam szczególnie często”⁶.

Przychylna atmosfera, otaczająca jego poczynania, skłoniła ks. Dehona do podjęcia drugiego etapu swej działalności apostołskiej: pracy duszpasterskiej w środowisku robotniczym. Na początku pragnął za wszelką cenę stworzyć internat dla młodzieży, bezdomnych robotników i czeladników. Najpierw wyznaczył im kilka pokoi w Domu Opieki św. Józefa; wkrótce mieszkało ich tam już trzydziestu.

W pracy, którą sobie zamierzył, nie miał żadnego doświadczenia. W dniach 25-29 sierpnia 1873 roku wziął udział w VI Kongresie Katolickim Kółek Robotniczych w Nantes. Uczestniczyło w nim dziewięciuset dyrektorów różnych

zakładów robotniczych. Przewodniczył mu ks. L. G. de Ségur. Poruszono sprawę związków robotniczych, kas oszczędności, pracy kobiet i dzieci. Referat wygłosił jeden z dyrektorów – Leon Harmel. Wystąpienie to było dla ks. Dehona zaskakujące. Tak referuje jego treść: „Harmel podał historię swojej działalności w Val-des-Bois. Za pomocą tych stowarzyszeń cała ludność uległa przemianie. W Val-des-Bois w 1861 roku nikt nie brał udziału w praktykach religijnych, za wyjątkiem paru kobiet. W 1872 roku natomiast w kaplicy fabryki rozdano 6 tysięcy komunii. To sprawozdanie było rewelacją”⁷.

Harmel opowiadał szczegółowo o swojej fabryce, w której zorganizował sieć stowarzyszeń, zajmujących się warunkami socjalnymi robotników, ich rodzinami, pracą, rozrywką i potrzebami religijnymi.

Na tym kongresie ks. Dehon zawarł znajomość z Harmelem; przyjaźń z nim trwała przez wiele lat.

Ksiądz Leon udał się do Nantes, ponieważ pragnął zorientować się co do możliwości założenia w Saint-Quentin podobnego do omawianych kółka robotniczego. Dawno już o tym myślał, lecz nie wiedział od czego zacząć. Spotkał tam także Alberta de Muna, założyciela

Katolickich Kółek Robotniczych i redaktora pisma „L'Association Catholique”. Przekonanie o słuszności założenia w Saint-Quentin kółka robotniczego ugruntowało się w nim ostatecznie.

Po powrocie z kongresu powołał do życia Kółko Robotnicze dla starszych chłopców. W dniu Wszystkich Świętych 1873 roku ks. proboszcz pobłogosławił sztandar kółka.

W kazaniach ks. Leona coraz więcej miejsca zajmowały sprawy społeczne. Poruszał kwestie sprawiedliwego wynagrodzenia, przypominał obowiązki i prawa robotników i właścicieli, piętnował nadużycia pracodawców. Mówił o tym z odwagą, posługując się argumentacją podobną do tej, jaką 20 lat później posłużył się Leon XIII w encyklice *Rerum novarum*.

Do tematu tego powracał przy każdej okazji. Wyjaśniał społeczną doktrynę Kościoła w kwestii robotniczej. Tłumaczył, jak brak religijności i pobożności wśród robotników sprzyja przestępczości, pijaństwu, rozwiązłości, buntom, nienawiści i gwałtom. „Trzeba zająć się klasą robotniczą, światem pracy! – wołał. – Pozwólcie nam działać, pozwólcie walczyć! My chcemy zbawić społeczeństwo, chcemy ocalić świat pracy, prowadząc go do Chrystusa, Króla miłości i sprawiedliwości”. W tym celu organi-

zował w Domu Opieki św. Józefa dni skupienia i refleksji, serie konferencji i kursy dla dorastającej młodzieży. Często prowadził je sam, czasem zapraszał obcych prelegentów.

Ziarno rzucane w obfitości zaczęło wydawać plony nie tylko wśród podopiecznych ks. Dehona, ale w całym środowisku robotniczym. Wzrastała frekwencja na Mszach świętych i nabożeństwach. Coraz więcej ludzi przystępowało do spowiedzi i komunii świętej, korzystało z kazań i katechizacji. Święte obrazy Chrystusa i Matki Bożej, od tylu lat nieobecne, zaczęły powracać do domów, urzędów i fabryk. Zamiast dawnych przekleństw i bluźnierstw pojawiły się modlitwy i pieśni religijne.

Ksiądz Dehon nabierał coraz większego przekonania, że Dom Opieki św. Józefa, Kółka Robotnicze i inne formy działalności, choćby najlepiej zorganizowane i rozwijające się, nie przyniosą pożądanego efektu, jeżeli nie pozyska się dla nich właścicieli i pracodawców. Zdawał sobie sprawę, że próby moralnego wydzwignięcia robotników nie będą w pełni skuteczne, jeśli zabraknie, tak jak dotychczas, współpracy pracodawców i klasy robotniczej⁸. Konieczne było więc w Saint-Quentin założenie stowarzyszenia pracodawców chrześcijańskich na wzór Val-des-

-Bois, Lyonu i Marsylii. Coraz częściej ks. Leon o tym mówił i nad tym pracował. Wołał wprost: „Wy niszczyacie przez długie i ponure dni pracy to wszystko, co my tkamy z takim trudem w ciągu jednego dnia niedzielnego. Nie jesteście dość chrześcijańscy jako właściciele. Warsztat jest prześladowcą dobra. Chcielibyście mieć środowisko społeczne, gdzie panuje bezpieczeństwo, spokój, porządek i miłość. Zapewnimy je wam, jeśli chcecie, lecz musicie przyjść nam z pomocą!”⁹.

Ksiądz Dehon rozglądał się wciąż za świeżymi współpracownikami, szukał ich wśród robotników i właścicieli, a także wśród studiującej młodzieży, ponieważ z niej rekrutować się mieli przyszli pracodawcy i kierownicy. Zorganizował więc w 1875 roku Kółko Studenckie, w którym oprócz katechizacji dla dorosłych prowadził kursy społecznej nauki Kościoła. Przygotowywał grunt dla swej sprawy wśród młodzieży licealnej, prowadząc rozmowy o literaturze, filozofii, muzyce i sporcie. Wielu młodzieńców wstąpiło później do seminarium lub zakonu¹⁰.

Część tej młodzieży zachęcał do przystąpienia do Konferencji św. Wincentego à Paulo. Chciał ją uwrażliwić na troskę Maryi o proste

ludzkie sprawy bytowe, wyrażoną w słowach: „Nie mają już wina” (J 2,3). Pisał: „Ci nieszczęśliwcy nie mają tego, co jest konieczne do życia. Brak im przede wszystkim strawy dla życia duchowego. Brak im kierownictwa, wychowania: ich życie trzeba uszlachetnić przez dobry przykład, pomoc, dobre rady, dzieła. Uznajemy to, drodzy bracia, lecz jak rzadko można spotkać tych, którzy poświęcają się, aby zaradzić złu! Niesiemy pomoc w nędzy fizycznej, ale wydaje się, że brak nam odwagi, by spieszyć z pomocą w nędzy moralnej. Panuje apatia i zadziwiająca obojętność. Boimy się działać. Nie mamy odwagi powiedzieć, jak Maryja mówiła do służących w Kanie: «Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie Chrystus» (J 2,5), prawdziwy Nauczyciel. Dostrzegamy zło, lecz nie mamy odwagi, aby mu zaradzić”¹¹.

W 1876 roku ks. Leon zorganizował dla właścicieli zakładów przemysłowych spotkania raz na dwa tygodnie. Ich rezultatem było zniesienie pracy w niedziele i święta w niektórych fabrykach czy warsztatach oraz poprawa warunków bytowych robotników.

Ksiądz Dehon wierzył mocno w zwycięstwo sprawiedliwości społecznej pod warunkiem, że będzie miała coraz więcej zwolenników wśród

duchownych i świeckich. O nich zabiegał i swoją działalnością obejmował coraz to inne kręgi społeczne w Saint-Quentin, co odbijało się szerokim echem w całej diecezji.

Oczywiście starania o poprawę doli ludzi pracy były kroplą w morzu potrzeb. Jego troska o lepsze, sprawiedliwsze i szlachetniejsze społeczeństwo wyda owoce później.

W swej działalności ks. Leon nie ograniczył się do własnej parafii; podejmowanymi przez siebie inicjatywami chciał ogarnąć całą diecezję, całą Francję. Już w sierpniu 1874 roku biskup Soissons, Jean Dours, zachęcony z jednej strony przez znanego działacza ks. L. G. de Ségura, a z drugiej przez ks. Dehona, wystosował apel do duchowieństwa i działaczy katolickich o pomoc w zorganizowaniu Urzędu Diecezjalnego do Dziel Społecznych. Wkrótce podobny urząd powołany został przez biskupa w Saint-Quentin. Pod honorowym przewodnictwem biskupa, a rzeczywistym proboszcza kościoła św. Jana A. Prevota i ks. Dehona, skupiał pięciu współpracowników świeckich. O swojej pracy tak pisze ks. Dehon: „Urząd Diecezjalny prowadził dość intensywną działalność aż do 1878 roku. Podczas tych 5 lat utrzymywałem bogatą korespondencję, kazałem wydrukować i rozprowa-

dzić różne dokumenty i sprawozdania, byłem inicjatorem i organizatorem kongresów w Notre-Dame de Liesse, Saint-Quentin i Soissons”¹².

W kongresach krajowych w Nantes, Lyonie i Reims brała udział duża liczba osób. Ksiądz Dehon uczestniczył w nich aktywnie.

Kongres w Lyonie, który odbył się w 1874 roku, przypominał: „Trzeba nasze społeczeństwo otrząsnąć ze złudzeń. Bez religii cała współczesna ekonomia społeczna jest kłamstwem grożącym nowymi nieszczęściami. Nie ma dobrobytu bez pokoju ducha. Nie ma dobrobytu bez ekonomii, powściągliwości i umiaru, jak uczy religia. Nie ma rodziny, jeśli zabraknie – szacunku i dobrych obyczajów. Nie ma tego wszystkiego bez religii. Naszego społeczeństwa nie zbawią więc ani spółdzielnie, ani kasy oszczędności i pomocy, ani wyższe zarobki, jeżeli trwać się będzie uparcie przy odrzucaniu Boga”¹³.

W zaproszeniu na kongres w Liesse ks. Dehon napisał: „Fabryka chrześcijaństwa nie jest snem do niezrealizowania...”¹⁴. Akta kongresu malują sytuację w fabrykach w czarnych kolorach: „Często fabryki te są prawdziwymi szkołami demoralizacji. Niektórzy pseudonauczyciele są ateuszami, którzy nieraz szczycą się tym pu-

blicznie. W fabrykach pracuje się dniem i nocą, w niedziele i święta. Uroczystość Wszystkich Świętych, a nawet Boże Narodzenie nie różnią się od dni powszednich. Istnieje całkowita swoboda otwierania kabaretów. Parafia, mająca tysiąc dusz, posiada czternaście domów ze sprzedażą wódki. (...) Złe gazety dokańczają dzieła zniszczenia dusz, wyrywając tkwiące w nich jeszcze załączki wiary”¹⁵.

Ogólnie ponury obraz poszczególnych parafii charakteryzują proboszczowie w ankietach. Oto ich wypowiedzi: „Uprzedzenia do wszystkiego, co wiąże się pośrednio lub bezpośrednio z religią, nie pozostawiają żadnej nadziei, przynajmniej ze strony ludzi. (...) Duch rewolucyjny ma tu zbyt wielu zwolenników, a nawet propagatorów. Mamy tylko dwóch mężczyzn – prawdziwych chrześcijan, z których jeden, starzec chory i głuchy, nie może być brany w rachubę, a drugi, z racji swego stanowiska, nie może przejąć inicjatywy...

Najlepsi chrześcijanie nie spełniają wielkanocnych obowiązków...

Nie ma chrześcijan: trzech zaledwie na 700 mieszkańców.

Tylko kilku spełnia przykazanie spowiedzi i Komunii wielkanocnej, podczas gdy większość

z racji swego urodzenia nie należy do parafii”¹⁶.

Kongres w Saint-Quentin odbył się 23-25 października 1876 roku pod przewodnictwem bp. Thibaudiera, który od niedawna był w Soissons następcą bp. Doursa. Zgromadził on 250 uczestników. Wśród mówców można było usłyszeć Leona Harmela.

Nowy biskup Soissons, pragnąc podkreślić, że docenia zasługi i działalność ks. Dehona, skorzystał z okazji i mianował go kanonikiem honorowym katedry w Soissons. Pokorny wikary przeżywał dni chwały i wyniesienia. Ze wszystkich stron nadchodziły gratulacje, lecz nie brakowało także zazdrości i zawiści. Niespodziewane wywyższenie musiało robić wrażenie i mogło być odczytywane jako subtelna nagana wobec innych, mało aktywnych i niezbyt zaangażowanych kapłanów diecezji.

Nie zawróciło to w głowie pierwszemu teraz wikaremu w Saint-Quentin, a raczej stało się bodźcem do jeszcze większej gorliwości i troski o sprawę Boże parafii i diecezji oraz zachętą do podejmowania nowych inicjatyw. Nie brakowało mu nigdy pomysłów i projektów. Przy pomocy osób życzliwych, a szczególnie Juliena, zaczął wydawać nowy dziennik katolicki „Le Conservateur de l’Aisne”. Początki były bardzo trudne

z powodu ciągłego braku funduszy, pomocników i współpracowników w redakcji. Artykuły ks. Leon musiał pisać sam. Gazeta mimo to wychodziła regularnie, a z czasem nawet zdołała wyrugować z obiegu konkurencyjny dziennik „Le Journal de Saint-Quentin”, pozbawiony religijnego charakteru.

Ksiądz Dehon czynił starania, by zagadnienia społeczne zostały włączone do programu nauczania wyższych i niższych seminariów oraz kolegiów. W 1874 roku założył Oratorium Diecezjalne w Soissons. Chodziło mu o wciągnięcie kapłanów do indywidualnego i wspólnego studiowania zagadnień społecznych. Pragnął zachęcić ich do zajęcia się klasą robotniczą, zwłaszcza młodzieżą. Celem jego było również pogłębienie życia wewnętrznego i stworzenie ośrodków życia wspólnotowego. Kapłani często spotykali się w Oratorium w Soissons, czasem zaś u Ojców Jezuitów w Laon. Zebrania prowadził sam ks. Dehon, dzieląc się z nimi swoim doświadczeniem i wywierając na nich wielki wpływ. Na wiosnę 1875 roku do tego Oratorium zapisał się ks. Adrian (imię zakonne Alfons) Rasset, w przyszłości prawa ręka ks. Leona w założonym przez niego zgromadzeniu.

W tym czasie budowa centrum religijnego w nowo powstałej, rozległej dzielnicy Saint-Quentin, na peryferiach miasta, stała się duszpasterską koniecznością. Ksiądz Dehon z właściwą sobie energią rozpoczął zbiórkę koniecznych funduszy. Kościół pod wezwaniem św. Marcina postawiono w rekordowo krótkim czasie, a ks. Leona przepełniała radość, że nowa część miasta została objęta duszpasterską posługą.

Pochłonięty pracą, znany w diecezji i całej Francji jako działacz społeczny, ks. Dehon, odwiedzając klasztor w Chartreuse, napisał w notatkach: „Ukochałem życie Kartuzów z ich kromną celą, książkami i ogrodem. Życia takiego często pragnąłem, ale Opatrzność zatrzymała mnie w życiu aktywnym, gdzie jestem o wiele mniej pewny zbawienia mojej duszy”¹⁷.

Założyciel zgromadzenia zakonnego

Kanonik z Saint-Quentin, niezwykle wrażliwy na wszystkie potrzeby duchowe parafii i diecezji, wymyślał wciąż nowe wszechstronnie angażujące go inicjatywy, aby potrzebom tym zaradzić. Oddawał się sprawie bez reszty, nie szczędząc swoich sił i zdolności. Nie był jednak w zgodzie ze sobą; od dawna drzemiały w jego duszy imperatyw, skłaniający go do życia zakonnego, odzywał się z coraz większą siłą.

Rok 1877, szósty rok pobytu w Saint-Quentin na stanowisku wikariusza parafialnego, ks. Dehon tak scharakteryzował: „Był to wielki rok w moim życiu, rok rozstrzygający. Wszystko w świecie do mnie się uśmiechało. Byłem kochany przez wszystkich i wiodło mi się w pracy. Kanonikiem honorowym zostałem, mając 33 lata. Mówiono o mojej nominacji na wikariusza gene-

ralnego z chwilą najbliższego wakatu. Nie byłem jednak szczęśliwy. Wydawało mi się, że ga-
sło moje życie intelektualne i nadprzyrodzone. Nie miałem już czasu na lekturę i studia. Byłem
przeciążony pracą. Cierpiały z tego powodu moje pobożne ćwiczenia. Nie czułem się na swoim
miejscu i pragnąłem życia zakonnego. Moje pra-
gnienie wzmożło się, gdy widziałem nasze dro-
gie siostry tak spokojne, gorliwe i pełne darów
Bożych. Biskup Thibaudier traktował mnie ser-
decznie i obserwował te zmagania mojej duszy.
Ksiądz Mathieu był mi również oddany”¹.

W lutym 1877 roku bp Thibaudier w towa-
rzystwie księży: M. Mathieu, E. Mignota i L. De-
hona udał się w podróż do Rzymu *ad limina*.
Droga prowadziła przez Mediolan i Loreto.
W Loreto 14 lutego 1877 roku zrodziło się Zgro-
madzenie Oblatów Najświętszego Serca Jezu-
sowego. Chwila ta, brzemienna w następstwach
dla życia ks. Dehona, tak zapisała się w jego pa-
mięci: „Modliłem się, modliłem z głową ujętą
w ręce. Podniosłem głowę, popatrzyłem na Ma-
donnę. Zamilkłem, ponieważ z ołtarza od Ma-
donny słyhać było głos: «Dlaczego nie zakładasz
instytutu, którego na próżno szukasz gdzie in-
dziej? Taka jest wola Boża». – Jeśli Bóg tego chce,
chcę tego także i ja. *Fiat!* Zgadza się! – Matka

Boża uśmiechnęła się do mnie. Jezus wyciągnął ku mnie dłoń! Powstaliśmy w Loreto”².

Pobyt w Wiecznym Mieście odnowił u ks. Leona dawne wspomnienia i ożywił pragnienie życia zakonnego. „Ten krótki pobyt w Rzymie w Seminarium św. Klary – stwierdził ks. Dehon – obudził wszystkie moje pobożne pragnienia. Pragnąłem życia poświęconego studiom, modlitwie i skupieniu. Poprosiłem ks. biskupa o pozwolenie na pozostanie w seminarium. Odbylbym praktykę prawa kanonicznego w kancelarii. Biskup mi odmówił”³.

Powrócił więc do Saint-Quentin. Rzymską podróż zakończył stwierdzeniem: „Wróciłem do Saint-Quentin i podjąłem znów moje kajdany, które wydały mi się cięższe niż kiedykolwiek; myślałem jedynie o tym, jak się od nich uwolnić”⁴.

Odprawiając w dniach 21-27 marca 1877 roku rekolekcje pod kierunkiem o. Dorra, ks. Dehon stwierdził: „Dokonałem poważnego wyboru. Spisałem racje «za» i «przeciw». Skłonności i potrzeby duchowe kierowały mnie do życia zakonnego. Prace przeze mnie prowadzone potrzebowały mnie jeszcze i zatrzymywały. Zorganizowałem Stowarzyszenie Kapłanów w Oratorium Diecezjalnym, Kółko Robotnicze, Dom

Opieki św. Józefa, sierociniec i biura diecezjalne wszystkich akcji. Przyczyniłem się też do fundacji Franciszkanek i założenia gazety «Le Conservateur». Czy mogę się uwolnić nagle od tego wszystkiego? Podjąłem decyzję, że będę starał się uwolnić od tego i nie angażować się w nowe inicjatywy oraz poszukać specjalnego dyrektora dla Domu Opieki św. Józefa”⁵.

Ksiądz Leon rozpoczął natychmiast starania o niezbędnych zastępców. Napisał do Ojców Niepokalanego Poczęcia w Rennes, do Misjonarzy św. Wincentego à Paulo i do innych zgromadzeń, chcąc im przekazać założone przez siebie instytucje robotnicze. Ze wszystkich stron nadchodziły odmowne odpowiedzi. Poczul się uwięziony w Saint-Quentin. Cała odpowiedzialność za wszystkie te organizacje nadal spoczywała na nim.

Bóg powołał ks. Dehona ku głębszemu życiu wewnętrznemu, które zrealizować można było tylko w klasztornej odosobnieniu. W tym kontekście łatwo zrozumieć zniecierpliwienie i niedosyt, jaki wywoływało w nim dotychczasowe życie. Z jego zapisków dotyczących tego roku wynika, że zasadniczym problemem był nie tyle nadmiar pracy jako takiej, ile raczej rozproszenie i zagubienie wewnętrzne wskutek

nadmiaru zadań o charakterze zbyt materialnym i wyłącznie administracyjnym. Przeżywał więc swego rodzaju frustrację, wywołaną poczuciem niespełnienia najgłębszych swych aspiracji, dotyczących prowadzenia intensywnego życia wewnętrznego. Cierpiał, ponieważ nie był w stanie czerpać korzyści z wszechstronnego wykształcenia. Praca duszpasterska w mieście pochłaniała wszystkie jego siły i cały czas, okradając go nawet z nocy. Ciągła gonitwa i bieganina napawały go przerażeniem. Nie bał się pracy i nie zamierzał od niej uciekać. Daleki był też od zniechęcenia. Nurtowała go po prostu potrzeba głębszego zjednoczenia z Bogiem.

W umyśle i sercu ks. Dehona, ogarniętym całkowicie przez miłość, rodził się i przybierał konkretne kształty projekt nowego zgromadzenia zakonnego kapłanów. Centralną ideą tego zgromadzenia miało być podjęcie działania zmierzającego ku zadośćuczynieniu Sercu Jezusa za grzechy popełnione przez ludzkość.

Projekt ten rodził się pod działaniem łaski. Pewną rolę odegrały również Siostry Służebnice Najświętszego Serca i bp Thibaudier.

Klasztor Służebnic Najświętszego Serca, pochodzących ze Strasburga i osiadłych w Saint-Quentin od 1872 roku, był ośrodkiem intensywn-

nej duchowości i żarliwej gorliwości. Ksiądz Dehon był jego animatorem, a zarazem dłużnikiem. Był animatorem jako kapelan, kaznodzieja i spowiednik; był dłużnikiem, ponieważ jako przyszły założyciel nowego zgromadzenia obficie korzystał z modlitw, ofiar i przykładu życia tej wspólnoty.

Pierwszorzędną rolę w zrealizowaniu projektu ks. Dehona odegrał jednak bp Thibaudier, którego zrozumienie i wielkoduszność ułatwiły ks. Leonowi pierwsze kroki. Biskup spieszył mu z pomocą także w najtrudniejszym momencie. Wczuwając się w jego sytuację, przydzielił mu pomocnika, ks. Parmentie, dla ulżenia w pracy, której ciągle przybywało.

W duszy ks. Dehona, coraz bardziej bezradnego wobec beznadziejnie ciężkiej sytuacji religijno-społecznej, z każdym dniem dojrzewało osobiste powołanie zakonne. Czytamy w dzienniku: „Chciałem być zakonnikiem, ale nie mogłem porzucić moich prac w Saint-Quentin. Czułem bardzo silne pragnienie życia w zgromadzeniu, żyjącym ideałem miłości i zadośćuczynienia Najświętszemu Sercu Jezusa. Rozumiałem, że zgromadzenie takie odpowiadałoby życzeniu wyrażonemu przez Pana Jezusa w Paray-le-Monial i przez Najświętszą Pannę w La Salette oraz aspiracjom wielu świętych dusz. Nasze

Siostry modliły się o realizację tego przedsięwzięcia, a ja je do tego zachęcałem”⁶.

Skoro z jednej strony dążył do życia zakonnego jako do osiągnięcia swojego ideału, a z drugiej strony nie mógł porzucić zadań rozpoczętych z takim rozmachem w Saint-Quentin, powstała u niego myśl zaangażowania się w życie zakonne bez zrywania więzów z miejscem dotychczasowej pracy. Z tym zamiarem udał się do bp. Thibaudiera. Ordynariusz przyjął go serdecznie, nie szczędził słów zachęty, a nawet zaproponował mu zaskakujące, bardzo konkretne i interesujące rozwiązanie: założenie w Saint-Quentin kolegium prowadzonego przez księży. „Otwarłem się przed tym – wspomina ks. Dehon – który miał władzę wyjawić mi wolę Bożą, przed biskupem Thibaudierem. Nasuwało się praktyczne rozwiązanie; przedstawiłem mu je: ksiądz biskup pragnie kolegium kościelnego w Saint-Quentin. Może właśnie z takim kolegium związać początki zgromadzenia wynagradzającego; mieściłoby się ono pod dachem kolegium. Przedstawiłem jednocześnie biskupowi moje racje, przemawiające «za» i «przeciw» tej fundacji. Biskup przyjął propozycję, co uważałem za znak woli Bożej”⁷. Tak więc zgromadzenie miało powstać w cieniu kolegium.

Dnia 26 czerwca 1877 roku ks. Dehon opowiedział o tym wszystkim Marii Uhrlich, przełożonej Sióstr Służebnic. Była przejęta i wzruszona. Nazajutrz napisała do niego: „Nie potrafiłam w sposób wystarczający podziękować Panu Jezusowi ani dość podziwiać drogi, jaką obrał dla zrealizowania swoich planów, tak miłosiernych dla dusz”⁸.

Kończyły się wszelkie wahania i wątpliwości. Droga, którą miał kroczyć ks. Dehon, była pewna i wyraźna, a zgoda biskupa oczywista. Zapisał: „Decyzję powziąłem 27 czerwca 1877 roku, a śluby miałem złożyć 28 czerwca 1878 roku”⁹.

Oprócz ustnej zgody, bp Thibaudier potwierdził swoją wolę listem z datą 13 lipca 1877 roku, w którym napisał: „Projekt zgromadzenia darzę całą sympatią. Będę współpracował w jego realizacji w takiej mierze, w jakiej będzie to wolą Bożą. Pragnę, aby ksiądz kierował jego realizacją”. Ksiądz Dehon zanotował: „Ten list biskupa jest prawdziwym aktem fundacji naszego instytutu. Tak jasna decyzja biskupa była dla mnie decyzją Bożą, nie mogłem się już więc wahać”¹⁰.

Ksiądz Leon udał się na rekolekcje, które odbył 16-31 lipca 1877 roku u Sióstr Służeb-

nic w atmosferze ciszy, milczenia i modlitwy. Ułożył wówczas konstytucje nowego zgromadzenia, któremu pragnął dać nazwę: Kapłani-Oblaci Najświętszego Serca. Rekolekcjami tymi, przyjąwszy imię zakonne Jan od Najświętszego Serca, rozpoczął swój nowicjat.

Zgromadzenie miało rodzić się w cieniu nieistniejącego jeszcze kolegium, więc trzeba było pomyśleć o jego założeniu. Już w sierpniu 1877 roku ks. Dehon zakupił od pana Lecomte'a konwikt dla młodych studentów, nadając mu nazwę Kolegium św. Jana. Dnia 15 sierpnia tego roku objął nad nim zwierzchnictwo, starając się jednocześnie o odpowiednich profesorów do tworzenia programu szkolnego, rekrutacji uczniów i załatwiania wielu innych spraw związanych z jego otwarciem.

Tam właśnie, w Kolegium św. Jana, 28 czerwca 1878 roku, w Uroczystość Najświętszego Serca Jezusowego, złożył pierwsze śluby zakonne.

Obrzęd publicznego złożenia ślubów był zwyczajny, skromny i wzruszający. Przewodniczył mu ks. Mathieu, proboszcz Saint-Quentin. W uroczystości uczestniczyli: ks. Rasset, profesory kolegium, dwie siostry służebnice i kilku przyjaciół. „Oddałem się bez reszty Najświętszemu Sercu Jezusowemu – stwierdził przy tej

okazji ks. Leon – i śluby moje uważałem już za wieczyste. Byłem głęboko wzruszony. Czułem, że oddając się Panu Jezusowi jako kapłan wynagrodziciel i założyciel nowego instytutu, biorę krzyż na moje ramiona. Składając trzy śluby publiczne, złożyłem równocześnie prywatny ślub żertwy ofiarnej według wskazań o. Girauda”¹¹. Tak spełniło się wielkie pragnienie jego duszy. Został zakonnikiem, kapłanem-oblatem Najświętszego Serca, żyjącym ideą wynagrodzenia temu Sercu za grzechy ludzi i wolą krzewienia Jego królestwa we współczesnym świecie.

Ojciec Dehon przez ponad 10 lat z wielką znajomością rzeczy i rozmachem, lecz nade wszystko z ogromną miłością kierował Kolegium św. Jana, które stało się kolebką zgro madzenia. Uważał je za swoje dzieło. Włożył weń bowiem wszystko, co miał najlepszego i najdroższego, zarówno dobra materialne, jak i duchowe. Ileż pochłonęło ono jego osobistych kapitałów, jak wiele zużyło sił i zdrowia!

O kolegium tym tak wypowiedział się biskup Soissons Ch. J. Binet: „Ulubionym dziełem o. Dehona, jego lennem, własnością, dobrem osobistym w całym tego słowa znaczeniu było bezsprzecznie Kolegium św. Jana. Chciał w nim uformować i wykształcić wspaniałą młodzież,

idącą z podniesionym czołem, ze światłem żarliwej wiary, w atmosferze chrześcijańskich cnót i w uszlachetniającym środowisku pięknej tradycji kulturalnej. Młodzież garnała się do niego z entuzjazmem. (...) Z jaką czcią, wzruszeniem i szacunkiem dawni alumni o. Dehona wyrażali się o nim. Czyż nie trzeba być bardzo wielkim, zwłaszcza sercem, aby być tak kochanym?"¹².

Zakładając nowe zgromadzenie, o. Dehon potrzebował domu zakonnego dla swoich przyszłych synów. Największą w tym względzie pomoc okazały mu Siostry Służebnice, które w sierpniu 1878 roku zakupiły dom przy ul. Richelieu, znajdujący się w sąsiedztwie Kolegium św. Jana, i chętnie odstąpiły go na nowicjat o. Dehonowi. Budynek ten, nazwany Domem Najświętszego Serca, stał się pierwszą siedzibą i domem macierzystym nowego zgromadzenia. Jego otwarcie nastąpiło 14 września 1878 roku. Ojciec Dehon tak o tym pisze: „Mogliśmy wejść tam i odprawić Mszę świętą 14 września, w Uroczystość Podwyższenia Krzyża Świętego. Opatrzność Boża wiązała z tymi okolicznościami przejrzyste zamiary. Czyż nie trzeba było dzieła wynagrodzenia budować na krzyżu?"¹³. „Oddałem się Panu Jezusowi dla dzieła wynagrodzenia i miałem niezachwianą nadzieję, że skorzy-

sta On z mojej ofiary i będzie mnie odtąd darzył często swoim krzyżem. Byłby to przejaw Jego błogosławieństw”¹⁴.

Do Domu Najświętszego Serca zaczęli się zgłaszać kandydaci o podobnym powołaniu. Do pierwszych należał ks. Rasset i ks. Paris. Panowała tam atmosfera braterstwa, współpracy, radości i gorliwości. Nie brakowało oczywiście trudności i ciężkich doświadczeń. Notatki Założyciela wspominają o chorobach i śmierci, niewiernościach i „falszywych braciach”, o momentach nieporozumień między nową wspólnotą a siostrami oraz między zgromadzeniem a kurią biskupią.

Tragiczne wydarzenie miało miejsce 29 grudnia 1881 roku. Kiedy cały personel kolegium, liczni dobroczyńcy i znajomi byli obecni na przedstawieniu teatralnym, zorganizowanym z okazji imienin zakonnych o. Dehona, nagle wybuchł pożar, niszcząc doszczętnie dwa niższe piętra. Była to dramatyczna próba w początkach pracy, lecz także okazja, aby zjednoczyć mieszkańców całego miasta przy o. Dyrektorze, który w rekordowo krótkim czasie, bo już 15 stycznia 1882 roku, wprowadził uczniów do odbudowanych pięter.

W latach 1882-1883 o. Dehon przeżył dwa bolesne doświadczenia: śmierć ojca i matki.

Ojciec, Aleksander Dehon, zmarł 11 lutego 1882 roku. Syn, chociaż nie był przy jego śmierci, towarzyszył mu duchowo w ostatnich dniach życia. Z notatek syna wiemy o nim tyle: „Modlił się, był poddany woli Bożej, odznaczał się pokorną słodyczą i cierpliwością”¹⁵.

Matka o. Dehona zmarła w La Capelle 19 marca 1883 roku, w Uroczystość św. Józefa, do którego miała gorące nabożeństwo i któremu przez 30 lat służyła w założonym przez siebie Stowarzyszeniu św. Józefa. W 1880 roku w święto Serca Jezusowego złożyła ona ślub ofiarnej żertwy, który był ukoronowaniem jej świętobliwego życia. Ksiądz Louis Petit, proboszcz Buironfosse, serdeczny przyjaciel o. Dehona, towarzyszył chorej, niosąc jej kapłańską posługę. On to właśnie stwierdził, jak wspomina sam o. Leon, że miał „do czynienia z duszą z dnia na dzień piękniejszą i przez Boga oczyszczoną dla nieba”¹⁶.

Rok 1883 przyniósł próbę ciężką i bolesną, o wszelkich znamionach katastrofy. Stolica Apostolska rozwiązała zgromadzenie. Nakreślimy pokrótce, jak do tego doszło. W klimacie gorliwości i zapału, tak charakterystycznego dla początków, o. Dehon korzystał w swoich oficjalnych tekstach pisanych dla zgromadzenia także

z wypowiedzi s. Marii Ignacji, służebnicy Najświętszego Serca, która twierdziła, że obdarzona jest szczególnymi łaskami nadprzyrodzonych objawień. Biskup Thibaudier, mocno tym zaniepokojony i zakłopotany, przesłał te pisma do Rzymu, prosząc o wyjaśnienie i wskazówki co do dalszego postępowania. Dnia 28 listopada 1883 roku Święte Oficjum wysłało odpowiedź stwierdzającą, że pisma nadesłane do przestudiowania nie mogą być uważane za owoc szczególnych objawień nadprzyrodzonych, dlatego Zgromadzenie Oblatów Najświętszego Serca, założone przez kanonika Dehona, należy rozwiązać. Pismo zalecało biskupowi ostrożne postępowanie, aby uniknąć szkody i zgorszenia osób wmieszanych w tę sprawę.

O tym epizodzie, jakże bolesnym i przykrym, który stał się źródłem wielu upokorzeń, podejrzeń i zastrzeżeń pod adresem Założyciela, możemy dziś z perspektywy czasu myśleć w kategoriach większego spokoju i uzasadnionego optymizmu. Dał on siłom zła odrobinę satysfakcji w początkowej fazie, ale w końcu przysporzył siłom dobra wiele korzyści, a nawet chwały.

Korzyści te dotyczą nie tylko osoby samego o. Dehona, ale również jego dzieła. Założyciel

zajaśniał w tej próbie autentyczną wielkością i sprawdzoną świętością, a dzieło oczyściło się z niebezpiecznych i wątpliwych elementów oraz weszło na pewne i właściwe drogi życia zakonnego.

Dekret o rozwiązaniu zgromadzenia o. Dehon otrzymał w Uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. „Otrzymałem ten wyrok śmierci – napisał – w piękne święto 8 grudnia. (...) Bóg jedyny wie, ile nacierpiałem się w czasie tych dni śmierci; nie mając jakiejś wyjątkowej łaski, straciłbym rozum albo życie”¹⁷.

Mimo dotkliwego cierpienia i nieprzewidzianego bólu nie wyrzekł ani jednego słowa przenikniętego goryczą, niechęcią czy tłumaczeniem i nie uczynił ani jednego gestu oburzenia. Przeciwnie, dał przykład heroizmu i bohaterstwa, stwierdzając po prostu: „A więc zbłądziłem”.

W tych tragicznych chwilach tak napisał do bp. Thibaudiera: „Wiadomo Waszej Ekscelencji, że założyłem Instytut Oblatów Najświętszego Serca tylko w tym celu, by spełnić wolę Boga i przyczynić się do Jego chwały. Tylko pragnienie szerzenia Królestwa Pana Jezusa przez propagowanie nabożeństwa do Jego Bożego Serca i idea wynagrodzenia, której zażądał od słu-

żebnicy Małgorzaty Marii, natchnęły mnie planem założenia tego zgromadzenia. Dojrzywał on w modlitwie. (...) Pan Jezus żąda teraz, abym zburzył to, co kazał mi zbudować. Nie mogę ani przez chwilę mieć przeciwnych myśli, ponieważ byłoby to ze wszech miar rzeczą nierozumną. Mogę tylko wypowiedzieć *fiat!* Ekscelencja wie już, jak to jest bolesne. Śmierć byłaby czymś stokroć mniejszym. Wszystko jest zrujnowane i zniszczone: honor, włożone finanse, nadzieja i coś więcej, czego nie jestem w stanie wyrazić. Lecz czymże jest to wszystko? To, co mnie dręczy bardziej niż wszystko inne, to myśl, od której nie mogę się uwolnić, że Pan Jezus pragnął tego dzieła, a ja unicestwiłem je przez moje niewierności”¹⁸.

O unicestwieniu zgromadzenia nie mogło być jednak mowy. Biskup Thibaudier, przerażony tym, co się stało, wbrew intencjom ks. Dehona, wysłał do Rzymu wyjaśnienie, a nawet osobiście 20 stycznia 1884 roku udał się do Wiecznego Miasta, aby sprawę sprowadzić na właściwe tory. Audiencja u papieża Leona XIII i w urzędach Stolicy Apostolskiej wydała owoce. W nadzwyczaj krótkim czasie, po czterech miesiącach od pierwszego, Święte Oficjum wydało drugi dekret, 28 marca 1884 roku, zezwalający

na kontynuowanie dzieła pod inną wprawdzie nazwą, ale pod dalszym kierownictwem jego Założyciela.

Oblaci Najświętszego Serca przemianowani zostali na Księżę Najświętszego Serca. Zgromadzenie Księżę Najświętszego Serca było więc dziełem miłości i ducha wynagrodzenia. Towarzyszyło mu błogosławieństwo Boże znaczone krzyżem i cierpieniem. Z woli Stolicy Apostolskiej wspólnota weszła teraz na nową drogę. Miała odnowić się nie tylko w swej wewnętrznej treści, lecz także w działalności zewnętrznej. W podjętej na nowo pracy, w nowych przedsięwzięciach o. Dehonowi towarzyszyli dzielni i wartościowi współpracownicy, księża: C. B. Charcosset, A. Prevot, V. Jeanroy i M. Legrand. Grupa ich ciągle wzrastała, a trzy lata po założeniu zgromadzenia liczyła 16 księży i 30 kleryków.

Powstały następne domy zgromadzenia. Po założeniu nowicjatu w Saint-Quentin przysłała kolej na ufundowanie niższego seminarium w Fayet i podobnego w holenderskim Sittard oraz wyższego seminarium w Lille.

Część kapłanów pomagała o. Dehonowi jako wykładowcy i wychowawcy w Kolegium św. Jana, inni pracowali w seminarium i kapela-

niach. Nową i oryginalną kapelanię utworzono w fabryce Leona Harmela w Val-des-Bois. Powierzona zgromadzeniu w 1886 roku, była pierwszą tego typu placówką we Francji. Wspomagana przez dzielnego dyrektora, który pod świeckim garniturem nosił kapłańskie serce, stała się zbawiennym punktem odniesienia dla wielu robotników, starszych i młodszych, a także kapłanów i seminarzystów, pragnących wnikać w istotę problemów robotniczych i śledzić społeczną działalność Kościoła.

W tym czasie biskup ordynariusz prosił o Dehona o przeprowadzenie ogólnodiecezjalnych misji, które objęłyby swoim zasięgiem wszystkie parafie. Ośmiu księży, rezydujących w Domu Najświętszego Serca, przez 2 lata „przebiegało” miasta i wioski, głosząc słowo Boże wszystkim warstwom społecznym. Pracowali oni z entuzjazmem do granic wytrzymałości. „Życie nie jest dane, aby gnuśnieć” – powtarzał ks. Rasset, jeden z misjonarzy.

Atmosfera gorliwości, zapału i wzajemnego zrozumienia panowała w całej wspólnoty. Podczas I Kapituły Generalnej Zgromadzenia, która odbyła się pod kierownictwem bp. Thibaudiera w Saint-Quentin we wrześniu 1886

roku, o. Dehon został ogłoszony jego dożywotnim przełożonym generalnym.

Ojciec Leon tak opisywał ducha panującego wówczas we wspólnocie: „Jak żarliwa miłość do Jezusa i Maryi królowała w naszych domach Najświętszego Serca w Fayet i w Sittard! Była to miłość, która dawała o sobie świadectwo w różny sposób: w ciągłych nawiedzeniach Najświętszego Sakramentu, w śpiewach, w myślach nieustannie skierowanych do Pana Jezusa. Jakaż królowała miłość wzajemna! Jak przełożeni kochali swych podwładnych! Jak wszyscy kochali się nawzajem! Wreszcie, jak wiele było powołań i jakwielu tych, którzy się przygotowywali do wstąpienia do nas! Okres ten jest dla nas wskazówką, jak winno wyglądać Królestwo Najświętszego Serca. Miejmy więc ufność!”¹⁹.

Rozwijające się zgromadzenie miało liczne i wielostronne osiągnięcia. Jego prace dawały dobre gwarancje na przyszłość. Odbierało też coraz więcej pochwał i dowodów uznania ze strony różnych osobistości. Sam kardynał B. M. Langenieux, arcybiskup Reims, będąc w Rzymie jesienią 1887 roku, po audiencji u Leona XIII, napisał do o. Dehona: „Wszyscy tutaj księża kochają, szanują i życzą dobrze waszej ro-

dzinie zakonnej. Ojciec Święty błogosławi wam i z radością dowiaduje się o waszych postępach pod okiem i kierownictwem biskupa Soissons, któremu w pełni ufa. Przygotowujcie w pokorze wasze konstytucje; będą one dobrze przyjęte. W ten sposób urzeczywistnią się w stosunku do was słowa: Którzy we łzach sieją, żąć będą w radości”²⁰.

List ten zawiera obietnicę czasowego zatwierdzenia zgromadzenia przez Stolicę Apostolską, co wiązało się bezpośrednio z wydaniem przez nią dekretu pochwalnego. Dekret ten, postulowany przez 27 biskupów, przyjaciół zgromadzenia, wydany został w Rzymie 25 lutego 1888 roku. Oto jego fragment: „Wśród ostów i cierni pleniących się ze wszech stron w naszym wieku, jako kwiat piękny i pachnący powstało w 1878 roku pobożne Zgromadzenie Księży Najświętszego Serca Jezusowego w Saint-Quentin, w diecezji Soissons, od której bierze nazwę. Stawia ono za cel swym członkom, by wyrzekłszy się ziemskich uczuć, we wszystkim oddali się Bożemu Sercu i troszczyli się zarówno u siebie, jak i bliźnich o rozpalenie tego ognia, który Pan Jezus przyszedł rzucić na ziemię, pragnąc jedynie tego, aby zapłonął... Pobożne to zgromadzenie zaledwie powstało, wnet

zaczęło wydawać swoją miłą woń, także dzisiaj zapuściło już korzenie w czterech diecezjach Francji, licząc osiem domów i 87 członków.

Jakaż była to radość dla mnie i dla wszystkich współbraci! – stwierdził o. Dehon. We wszystkich naszych domach podziękowaliśmy Bożemu Sercu w wielkim wylewie uczuć wdzięczności. Oddamy się pracy z nowym zapalem”²¹.

We wrześniu o. Dehon udał się do Rzymu, aby osobiście podziękować Ojcu Świętemu Leonowi XIII za wyrażone w dekrete uznanie i poparcie.

Wstrząsy ostatnich lat, dające pretekst do nowych przemyśleń i poszukiwań, wydały owoce, wysoko ocenione dekretem pochwalnym z 1888 roku. Przyczyniły się do sprecyzowania i pogłębienia charakterystycznych, podstawowych cech zgromadzenia, dotyczących zarówno życia wewnętrznego, jak i apostołstwa. Jego duchowy charakter kształtował się, opierając się na inspiracji ewangelicznej oraz szczególnej łasce, charyzmacie, którym obdarzony został o. Dehon i który stał się w pewien sposób dziedzictwem jego synów, a zarazem wspólną treścią ich wewnętrznego i apostołskiego życia.

Po II Soborze Watykańskim zostały opracowane nowe konstytucje zgromadzenia. Charak-

teryzują one charyzmat o. Dehona oraz przypominają zasadnicze i specyficzne rysy duchowe założonego przezeń instytutu. W rozdziale pierwszym, zatytułowanym „Zgodnie z charyzmatem Założyciela”, czytamy:

„Zgromadzenie Księży Najświętszego Serca Jezusowego zostało założone w 1878 roku w Saint-Quentin przez Ojca Jana Leona Dehona, który otrzymał łaskę i misję wzbogacenia Kościoła zakonnym instytutem apostołskim, żyjącym jego natchnieniem ewangelicznym.

Zostało ono powołane, by wydać owoce tego charyzmatu zgodnie z wymogami Kościoła i świata (nr 1).

Zgromadzenie bierze swój początek z przeżycia wiary Ojca Dehona.

To samo doświadczenie św. Paweł wyraził w następujący sposób: «Obecne życie moje jest życiem wiary w Syna Bożego, który umiłował mnie i samego siebie wydał za nie» (Ga 2,20).

Otwarty Bok i przebite Serce Zbawiciela są dla Ojca Dehona najlepszym wyrazem miłości, której czynnej obecności doświadcza w swoim życiu (nr 2).

W miłości Chrystusa, który przyjmuje śmierć jako największy dar swego życia dla ludzi i jako wyraz synowskiego posłuszeństwa dla Ojca, Ojciec Dehon widzi jedyne źródło zbawienia.

Z Serca Chrystusa, otwartego na Krzyżu, rodzi się człowiek o nowym sercu, ożywiony przez Ducha Świętego i zjednoczony z braćmi we wspólnocie, którą jest Kościół (por. *Études sur le S. C.*, I, s. 114) (nr 3).

Ojciec Dehon jest bardzo uwrażliwiony na grzech, który osłabia Kościół, zwłaszcza ze strony dusz Bogu poświęconych.

Zna zło tkwiące w społeczeństwie; z uwagą przestudiował jego przyczyny na płaszczyźnie ludzkiej, osobistej i społecznej.

Najgłębszą jednak przyczynę tej nędzy ludzkiej widzi w odrzuceniu miłości Chrystusa.

Oczarowany tą zapoznaną miłością, chce odpowiedzieć na nią głębokim zjednoczeniem z Sercem Chrystusa i budowaniem Jego Królestwa w duszach i w społeczności (nr 4).

To przyłgnięcie do Chrystusa, płynące z głębi serca, będzie się realizować w całym jego życiu, zwłaszcza w apostołacie nacechowanym baczną uwagą na ludzi, w szczegól-

ności bezbronnych, i troską o czynne zapobieganie duszpasterskim brakom Kościoła w jego czasach.

To przyłgnięcie wyraża się i koncentruje w ofierze eucharystycznej w taki sposób, że całe jego życie staje się nieustanną mszą (por. *Couronnes d'amour*, III, s. 199) (nr 5).

Zakładając Zgromadzenie Oblatów-Księży Najświętszego Serca Jezusowego, Ojciec Dehon chciał, aby jego członkowie w sposób wyraźny łączyli swe życie zakonne i apostołskie z oblacją wynagradzającą, którą Chrystus złożył Ojcu za ludzi.

Na tym właśnie polegała jego specyficzna i pierwotna idea i charakter własny instytutu (por. KK i DZ), czyli posługa Kościołowi, do której został powołany.

Według Ojca Dehona, w słowach: *Ecce venio...*, *Ecce ancilla...* zawarte jest całe nasze powołanie, nasz cel, nasze zobowiązania i obietnice (Dyrektorium I, 3) (nr 6).

Od swoich zakonników Ojciec Dehon oczekuje, ażeby byli prorokami miłości i sługami pojednania ludzi świata w Chrystusie (por. 2 Kor 5,18).

Tak zaangażowani razem z Nim, by zapobiegać grzechowi oraz brakowi miłości w Kościele i świecie, oddawać będą całym swoim życiem, modlitwami i pracami, cierpieniami i radościami kult miłości i wynagrodzenia, którego pragnie Jego Serce (por. NQ XXV, 5) (nr 7)".

W służbie katolickiej nauki społecznej

W dziesięcioleciu, które nastąpiło po założeniu zgromadzenia (1878-1888), o. Dehon był bardzo pochłonięty prowadzeniem Kolegium św. Jana oraz kierowaniem nową rodziną zakonną. Dlatego tak znaczna wcześniej jego obecność w chrześcijańskich ruchach społecznych wyraźnie zmalała. Po zatwierdzeniu jednak zgromadzenia w 1888 roku przez dekret pochwalny Stolicy Apostolskiej wzmożła się znowu jego działalność na tym polu.

Dodatkowym do niej bodźcem stała się audiencja 6 września 1888 roku u papieża Leona XIII, który skierował do o. Dehona następujące słowa: „Wiem, że czynicie wiele dobra. Wasz cel jest bardzo piękny. Wynagrodzenie jest rzeczywiście konieczne. Głoście moje encykliki”¹.

Papież Leon XIII wielokroć poruszał problemy społeczne, wypowiadając się między innymi na temat zadań jednostki w stosunku do społeczeństwa i państwa, konieczności przestrzegania porządku naturalno-prawnego w społeczeństwach, potrzeby organizowania struktur związkowych, naśladując korporacjonizm wieków średnich, wreszcie zasad ustanowienia chrześcijańskiego ustroju państwa. Najślawniejszym jednak ze wszystkich dokumentów papieskich była encyklika *Rerum novarum*, ogłoszona 15 maja 1891 roku. Podawała ona zasady rozwiązania sprawy robotniczej na podstawie prawdy i sprawiedliwości. Władzy państwowej przyznawała prawo ochrony własności przedsiębiorstw, żądając od niej jednocześnie, by wprowadziła zakaz pracy w niedziele i święta, określiła długość dnia pracy zależnie od jej charakteru i zdrowia pracowników, ustaliła wiek pracy młodocianych, uwzględniając ich siły, chroniła pracę kobiet, biorąc pod uwagę ich obowiązki rodzinne. Żądała również od władzy ochrony życia i zdrowia robotników. Encyklika wysuwała postulat tak zwanego uwłaszczenia robotników przez słuszną płacę, zapewniającą utrzymanie im samym i ich rodzinom oraz dającą możliwość gromadzenia chociażby niewielkich oszczędno-

ści. Powierzała ona sprawę naprawy stosunków w pracy władzy państwowej. Postulowała powołanie przez związki robotnicze instytucji ubezpieczeń społecznych w razie nieszczęśliwych wypadków przy pracy i choroby.

Wpływ encykliki na chrześcijański ruch społeczny był ogromny. Dla o. Dehona była ona potwierdzeniem tych zasad, którymi kierował się od dwudziestu lat; zawierała wskazania, które od dawna usiłował realizować w pracy duszpasterskiej i społecznej. Kiedy w 1893 roku został powołany na przewodniczącego Diecezjalnej Komisji Dziel Społecznych, zaproponował jako pierwszy punkt jej programu opracowanie podręcznika z jasnym przedstawieniem społecznego nauczania Kościoła. Pod jego kierownictwem opracowano *Manuel social chrétien* (Chrześcijański podręcznik społeczny); publikacja ukazała się już w roku następnym (Paryż 1894), stanowiąc komentarz do encykliki *Rerum novarum* i popularyzując katolicką naukę społeczną. *Manuel social chrétien* został niebawem przetłumaczony na następujące języki: hiszpański, włoski, węgierski i arabski. Ojciec Dehon pisał o nim: „Mnożą się książki na temat kwestii społecznej. Jest ich wiele, wspaniałych i interesujących. Wydawało się nam, że brak było podręcznika treściwego,

który ujmowałby całą kwestię w niewielkim to-
mie. Biskup Soissons pragnie takiego podręcz-
nika dla swoich księży i dla osób zajmujących
się tą dziedziną. Prosił nas o jego opracowanie.
Rozmawiałem z Ojcem Świętym o tej książce.
Ojciec Święty wyraził słowa zachęty i przekazał
później egzemplarz do wglądu teologom domi-
nikańskim, by zapewnić mu doktrynalną pra-
wowierność².

Ojciec Dehon jest także autorem wielu in-
nych prac na tematy społeczne. Należą do nich
takie dzieła jak: *Les directions pontificale politiques
et sociales* (Papieskie wskazania polityczne i społecz-
ne) (Paryż 1897), *Catechisme social* (Katechizm
społeczny) (Paryż 1898), *L'usure au temps pré-
sent. Étude sur l'usure au double point de vue de la
morale et de l'economie sociale* (Paryż 1895). Na te-
maty społeczne o. Dehon wypowiadał się rów-
nież w konferencjach wygłoszonych w Rzymie
w latach 1897-1900, które ukazały się drukiem
w publikacji *La rénovation sociale chrétienne* (Społecz-
na odnowa chrześcijańska) (Paryż 1900).

Ojciec Dehon, pomny na życzenia Leona XIII
skierowane doń podczas audiencji: „Głoście
moje encykliki”, był niezmordowanym propa-
gatorem społecznej nauki Kościoła, sformuło-
wanej przez tego wielkiego papieża. Ujmował

ją jednak w szerszym kontekście, uwzględniając chrześcijańskie orędzie zbawienia i powszechnego wyzwolenia. Oparcia szukał w Biblii, która stanowiła dlań fundament etyki indywidualnej i społecznej. Pragnął, aby historia Adama i Ewy ukazywała zgodnie z wolą Bożą powołanie człowieka do życia rodzinnego i społecznego, by grzech pierworodny przypominał o bolesnej solidarności w winie i jej konsekwencjach, a przynależność Chrystusa do rodzaju ludzkiego i odkupienie przez Niego całej ludzkości wskazywały wszystkim drogę solidnej miłości i jedności, wspólnoty dóbr nadprzyrodzonych i przyrodzonych, prowadzącą do stworzenia jednej ludzkiej rodziny.

W pracy *Catechisme social* (*Katechizm społeczny*) przypominał trzy instytucje prawa Mojżeszowego o charakterze społecznym: szabat, rok szabatowy i jubileusz, aby udowodnić, że już w czasach starotestamentowych uznanie Izraelitów przez Jahwe za lud Boży implikowało określoną wspólnotową organizację ich życia. W nauce proroków odkrywał wyraźne odniesienia do społecznej rzeczywistości, powtarzając za nimi, że nie ma pokoju bez sprawiedliwości. Nie ma też pokoju dla jednostek bez pokoju w narodzie i między narodami. Podkreślał, że pokój

jest wprawdzie darem Bożym, lecz oddanym w ludzkie ręce. Muszą starać się o niego zwłaszcza przywódcy, między innymi wiernie wypełniając swoje zobowiązania wobec społeczności. Z kart Nowego Testamentu o. Dehon wyciągnął wniosek, że ze wszystkich rewolucji społecznych skuteczną jest jedynie rewolucja miłości. Według niego, wspólnotą, do której człowiek powinien usilnie i nieustannie dążyć, bo w niej panuje pełna miłość i sprawiedliwość, jest królestwo Najświętszego Serca Jezusowego. O nadejście więc tego królestwa modli się, poszukuje go, trudzi się dla niego i poświęca. Głosi je słowem i piórem, pragnąc dotrzeć do jak najszerszego kręgu słuchaczy i czytelników.

Na łamach pierwszego numeru, z 1898 roku, pisemka pod znamienym tytułem „Le Règne du Sacré-Coeur dans les âmes et les sociétés” („Królestwo Serca Jezusowego w duszach i społeczeństwach”) o. Dehon wyjaśnia swoją ideę, ukazując charakter królestwa Serca Jezusowego. Pisze on: „Naszym wspólnym życzeniem, codziennie odnawianym, jest przyjście błogosławionego Królestwa Bożego Serca. Chrystus powiedział: «Ja będę królował, a moje Królestwo będzie jak nowe odkupienie, którego pragną prawdziwi chrześcijanie». Niech

przyjdzie duch sprawiedliwości i miłości, duch bezinteresowności i prawości, aby odnowić prawdziwego ducha Ewangelii! Niech przyjdzie duch Najświętszego Serca, by stłumić ducha nienawiści i prześladowania wśród sekt masonskich, ducha chciwości i niesprawiedliwości wśród paskarzy i spekulantów! Niech przyjdzie duch miłości, by zjednoczyć klasy społeczne w realizacji sprawiedliwości i wzajemnej życzliwości! Niech przyjdzie na ziemię w takiej obfitości, by sprowadzić do Kościoła rzymskiego dysydenckie wspólnoty z Północy i ze Wschodu”.

Ojciec Dehon wszystkie swoje siły poświęcił budowie tego Królestwa i jemu podporządkował całą działalność polityczną. Chrystusa wyrugowanego z życia jednostek i rodzin, z polityki i ekonomii pragnął na nowo tam wprowadzić z Jego darami: łaski i miłości, sprawiedliwości i pokoju.

Świadom, że czynnikiem decydującym o szybkiej realizacji tego programu są kapłani, o. Dehon uczestniczył czynnie w spotkaniach i kongresach duchowieństwa, wygłaszał odczyty, których celem było zapoznanie kapłanów z katolicką nauką społeczną i uczynienie ich jej żarliwymi apostołami.

Na doroczne spotkania w Val-des-Bois, organizowane przez dyrektora fabryki Leona Harmela, znanego ze śmiałych rozwiązań społecznych w zakładzie, już od 1887 roku o. Dehon wysyłał w charakterze asystenta religijnego jednego ze swoich współbraci zakonnych. Sam również często się tam udawał, aby głosić konferencje i dzielić się ze słuchaczami swoim doświadczeniem na temat problemów społecznych. „Nasze spotkania w Val-des-Bois przy końcu ostatniego stulecia – wspomina jeden z uczestników – miały czar wiosennego dnia. Odbywały się one w sąsiedztwie Reims, w oazie zieleni, na błogosławionym terenie przemysłowym, gdzie fabryka, kaplica, mieszkanie właściciela i domy robotników zdawały się tworzyć jedną budowlę, tak jak wszystkie serca robotników dobrego ojca (czyli Harmela) i Dobrego Boga tworzyły jedno tylko serce.

(...) Posiłki spożywano wspólnie, przy patriarchalnym stole Leona Harmela, otoczonego licznie dziećmi; przedłużały się one w miarę najażdzu tej przybranej rodziny”³. „Tu znaleźliśmy – mówił inny uczestnik, ks. Leleu – naukę, przykład, miłość”⁴.

W Val-des-Bois kształtował on elitę młodego duchowieństwa, zdolną wprowadzić w życie nowe metody duszpasterskie, dążącą do

śmiałyh reform społecznyh oraz realizacji nowatorskih programów ekonomiczno-politycznyh. Ojciec Deon wskazywał na zgubny wpływ dotychczasowego duszpasterstwa, piętnował kapłanów, którzy, widząc szerzenie się zła i apostazję ludu, ograniczali swoją działalność do zajmowania się dziećmi, starcami, ubogimi, chorymi i cierpiącymi, powołując się przy tym na przykład Chrystusa. O duchowieństwie tym z bólem mówił: „To pokolenie bojaźliwie zmieniło nam Chrystusa. Nie był to już Chrystus robotników (*pauperes evangelisantrum*), Chrystus, który prowadził nieustannie apostolat wśród grzeszników, celników i ludzi światowych (*non veni vocare justos sed peccatores*). Lew Judy został przekształcony w bojaźliwe jagnię. Nasz Chrystus, którego skuteczny i wpływowy apostolat był inspiracją dla Pawłów, Ksawerych i wszystkich zdobywców dusz, został zmieniony w człowieka trwoźliwego i słabego, przemawiającego tylko do chorych i dzieci. Wiadomo, gdzie zaprowadziło nas pół wieku tak godnej opłakania iluzji”⁵.

Świadom tragicznego stanu duszpasterstwa francuskiego o. Dehon podjął żarliwie program papieża Leona XIII, ujęty w haśle: „Trzeba iść do ludu”. W rozdziale wstępnym drugiej części swego *Manuel social chrétien* o. Dehon wy-

jaśnił: „Trzeba iść do ludu, ponieważ jest on nieszczęśliwy, cierpi i znajduje się w stanie niezaspokojonej nędzy, ponieważ nie ma oparcia, pozabawiony swoich dawnych korporacji. Jak należy iść do ludu? Przez słowo prywatne i publiczne, przez stowarzyszenia religijne i zawodowe. Trzeba iść do jego rodzin i zakładów pracy. Trzeba wzywać go do związków, jednoczyć w stowarzyszeniach, aby go pouczać i pocieszać, pomagać mu w cierpieniach i dźwigać w przygnębieniu, aby usłyszeć jego skargi i pragnienia, kierować jego żądaniami, prowadzić do Chrystusa, który jest jego Przyjacielem, Bratem, obrońcą i Zbawcą”.

W tej samej części swej pracy o. Dehon kreśli obraz organizacji nowoczesnej parafii. Nawołuje do wyjścia naprzeciw oczekiwaniom ludu przez wydawanie prasy katolickiej, zakładanie kółek rolniczych, kas pożyczkowych, spółdzielni, grup młodzieżowych, kółek chrześcijańskich studiów społecznych.

Jak już wspomnieliśmy, o. Dehon swe poglądy szerzył podczas spotkań i zjazdów duchowieństwa. W dzienniku wymienia liczne kongresy diecezjalne, krajowe i międzynarodowe, w których brał udział. Oprócz wspomnianych już dorocznych kursów doształcających w Val-des-Bois, prowadzonych przez 10 lat, było

ich wiele. W 1896 roku uczestniczył między innymi w: Kongresie Demokracji Chrześcijańskiej w Reims, III Kongresie Trzeciego Zakonu, Narodowym Kongresie Katolickim w Reims, Kongresie Demokracji Chrześcijańskiej w Lyonie; w 1897 roku wygłosił pięć konferencji na tematy społeczne w Rzymie, wziął udział w IV Kongresie Trzeciego Zakonu w Nîmes; w 1899 roku był na Kongresie Franciszkańskim w Tuluzie; w 1900 roku zorganizował w Rzymie trzy spotkania międzynarodowe na temat korporacji oraz wygłosił prelekcję na temat nowej misji Trzeciego Zakonu według wskazań papieża Leona XIII na Międzynarodowym Kongresie Tercjarzy. We wszystkich swoich wystąpieniach z naciskiem podkreślał, że duszpasterskim zadaniem kapłana, wynikającym z obowiązku realizacji zasady sprawiedliwości i miłości, jest zaangażowanie w sprawy społeczne.

Ożywiony ruch chrześcijański we Francji w początkowym stadium ograniczał się wyłącznie do działalności społecznej, przypominając robotnikom i właścicielom o ich prawach i obowiązkach, oraz do działalności duszpasterskiej, próbującej zmienić stosunki społeczne przez krzewienie idei ewangelicznej równości, sprawiedliwości i miłości. Z czasem dojrzewając,

pod wpływem sytuacji narodowej zaczął dzielić się na dwa nurty: część katolickich działaczy społecznych o przekonaniach monarchistycznych wyrażała gotowość powrotu do hierarchicznego porządku społecznego (król, szlachta, duchowieństwo, lud), zburzonego przez rewolucję; demokratom chrześcijańskim natomiast chodziło o stworzenie rządu narodowego, zdolnego zagwarantować wszystkim obywatelom porządek, wolność i sprawiedliwość, w myśl zasad społecznej nauki Kościoła.

Ojciec Dehon, pochodzący z rodziny właścicieli ziemskich, był konserwatystą i monarchistą, o czym świadczy założony przezeń w 1874 roku dziennik pod znamienym tytułem „Le Conservateur de l’Aisne”. Zmieniony radykalnie kontekst życia politycznego i społecznego, a także listy papieża Leona XIII skierowane do Francji oraz rzucone przez niego hasło potrzeby wyjścia do ludu – wpłynęły na zmianę jego stanowiska. Z konserwatysty i monarchisty stał się republikaninem i w 1894 roku podjął aktywne uczestnictwo w ruchu demokracji chrześcijańskiej. W jego rozumieniu miała ona wykorzystać siłę świata pracy w zbudowaniu społeczeństwa według zasad Ewangelii. W myśl tej idei w dniach 12-14 maja 1894 roku wziął udział w II Krajowym

Kongresie Robotniczym w Reims, który zgromadził sześciuset delegatów robotniczych z całej Francji. W ten sposób znalazł się w centrum działania demokracji chrześcijańskiej. „To przepiękny widok – stwierdził – tu znajduje się załączek demokracji chrześcijańskiej. Ci ludzie są mało wykształceni, studiowali jednak zagadnienia społeczne i są posłuszni kapłanowi. Pragną wydzwigać klasę robotniczą, lecz nie chcą przekraczać prawa chrześcijańskiego”⁶.

We wrześniu 1895 roku o. Dehon sam zorganizował w Saint-Quentin, w Kolegium św. Jana, symposium na tematy społeczne pod znakiem demokracji chrześcijańskiej. Wzięło w nim udział 200 kapłanów z ponad 30 diecezji Francji. Stwierdziwszy, że duchowieństwo straciło kontakt z masami, postanowiono go nawiązać za pośrednictwem demokracji chrześcijańskiej, z jednej strony przez odpowiednie kształcenie kapłanów i ukierunkowanie ich na działalność społeczną, z drugiej przez wychowanie w duchu Ewangelii robotników i chłopów.

W 1896 roku odbył się Kongres Demokracji Chrześcijańskiej w Lyonie. Do komitetu kierowniczego wybrany został o. Dehon. W wygłoszonym referacie mocno podkreślił, że chociaż demokracja chrześcijańska ma działać na rzecz

klasy robotniczej, to nie wolno z kongresu wykluczać innych klas społecznych. Całe chrześcijaństwo – twierdził prelegent – winno mieć w nim swoich przedstawicieli. Ten punkt widzenia zaakceptowano.

Porwany przez wir działalności społecznej o. Dehon z Leonem Harmelem i dwoma innymi osobami został przyjęty 22 stycznia 1897 roku na prywatnej audiencji przez Leona XIII. Ojciec Święty był wdzięczny za informacje dotyczące demokracji chrześcijańskiej we Francji. Żywo interesował się również zgromadzeniem o. Dehona: „Gdy nadszedł moment rozmowy z Ojcem Świętym na temat zgromadzenia, on słuchał uważnie. Przypomniałem mu nasz cel duchowy: ofiarowanie siebie i wynagrodzenie Najświętszemu Sercu oraz działalność zewnętrzną, polegającą przede wszystkim na apostołstwie i na misjach ludowych w wielu diecezjach, jak: Soissons, Poitiers, Valence; wspomniałem też o pracy w Val-des-Bois, w Brukseli i na misjach w Brazylii. Ojciec Święty, który słuchał z życzliwością, powiedział wówczas: «Jest to konieczne. Trzeba, żebyście poświęcili się dla ludu przez przepowiadanie Ewangelii i dzieła praktyczne... Bardzo dobrze: prowadźcie apostołstwo ludowe, pouczajcie o prawach wszystkich: właścicieli

i robotników...». Ojciec Święty – rzekłem wówczas – pobłogosław wszystkie nasze dzieła, naszych zakonników, alumnów i nasze siostry. «Ach, bez wątpienia – odpowiedział Ojciec Święty – chętnie udzielam błogosławieństwa wszystkim dziełom przez was prowadzonym»⁷⁷.

Działalność społeczna o. Dehona wzmogła się, zdobywając coraz większy rozgłos. Z inicjatywy bp. Thibaudiera został zaproszony do wygłoszenia w Rzymie siedmiu konferencji na temat chrześcijańskiej odnowy społecznej. Pięć z nich wygłosił od 14 stycznia do 11 marca 1897 roku, dalsze dwie w kwietniu 1898 roku. Omawiają one kolejno: kryzys społeczno-ekonomiczny, prawdziwe przyczyny tego kryzysu i środki zaradcze, judaizm, kapitalizm i lichwę, socjalizm i anarchię, misję społeczną Kościoła, demokrację chrześcijańską i program tej demokracji.

We wstępie do publikacji *La rénovation sociale chrétienne. Conférences données à Rome 1897-1900* (Chrześcijańska odnowa społeczna. Konferencje wygłoszone w Rzymie w latach 1897-1900) autor pisał: „Idziemy w końcu ku herezji, ku pogaństwu w życiu społecznym i ekonomicznym. Błąd z jednej strony szamocze się, nie mając wyjścia, między złudzeniami socjalizmu i anarchii, z drugiej – ślepego konserwatyzmu. Chrystus został wy-

łączony z życia politycznego i ekonomicznego. On pragnie tam powrócić ze swoimi dobrodziejstwami, z królestwem sprawiedliwości i miłości. Idee przygotowują fakty. Chrześcijańska idea społeczna jest na drodze do pełnej realizacji. Obudziła się ona w połowie tego wieku, który właśnie się kończy. Leon XIII stanął na czele ruchu i zdecydował o zwycięstwie tej idei. Fakty nastąpią. Idea ma swoich gorliwych apostołów, którzy podobnie jak apostołowie pierwszych wieków się nie cofną⁸.

Alumn francuskiego Seminarium św. Klary, późniejszy ks. Prunel, obecny na tych konferencjach, tak opisuje prelegenta: „Wśród oklasków mówca wszedł do sali. Wysoki, szczupły, miał coś wojskowego w chodzie i zachowaniu. Odkryte czoło, spojrzenie badawcze, nos orli i jakaś pewność, która wskazywała na pełne panowanie nad sobą i żar przekonania... Ukazał się słuchaczom jak bojownik, który wymierza mocne ciosy swojemu przeciwnikowi, lub jak burzyciel, który uderza kilofem w mur już upadający⁹”.

Ojciec Dehon przekonywał: „Powie się jeszcze, że demokracja to wzburzone morze, na którym grozi nam pewne ryzyko. Jednak na głos Chrystusa Piotr nie wahał się wejść na wzburzone fale Jeziora Tyberiadzkiego. Chrystus go

ocalił, jego i Łódź. Jest to symbol wszystkich śmiałych poczynań, które miał podjąć Kościół, by iść na podbój społeczeństwa rzymskiego, ludów barbarzyńskich, a w końcu współczesnego proletariatu. Dziś Piotr, w osobie Leona XIII, wszedł pod natchnieniem Chrystusa na wzburzone fale demokracji. On się nie waha, i z tymi, którzy pójdą za nim, ocali Łódź Kościoła – pomimo ich bojaźliwości. Do dzieła więc!”¹⁰.

W tym czasie kard. Rampolla wyraził życzenie, aby o. Dehon napisał broszurę w obronie celowości kongresów; broszura ta ukazała się w Paryżu w marcu 1897 roku.

Pod koniec tego roku pojawiło się w Paryżu ponad dwustustronicowe dzieło o. Dehona, stanowiące syntezę nauczania papieża Leona XIII, *Directions pontificales politiques et sociales* (*Papieskie wskazania polityczne i społeczne*). Pisał w nim: „Po to, aby się przyczynić do jedności, w duchu całkowicie nadprzyrodzonym i patriotycznym, podejmujemy tę skromną pracę. Zachowamy w niej wszystkie reguły uprzejmości. Nie chcemy ani upokorzyć, ani obrazić tych, których nazywa się opornymi. Pragniemy pozyskać ich przez dyskusję i rozumowanie, przez lojalne i rzeczowe wyjaśnienie dyrektyw papieskich, zachowując wszelkie granice wyznaczone przez prawdę i mi-

łość... Kierujemy się jedynie najgorętszym pragnieniem zapanowania Królestwa Chrystusowego w społeczeństwie”.

W dziesięciu pierwszych rozdziałach książki autor przedstawia polityczną doktrynę Kościoła. W pięciu następnych dostosowuje ją do aktualnej sytuacji Francji. „Zasadniczo nic nie stoi na przeszkodzie – pisał – by katolicy francuscy opowiedzieli się za republiką. Nawet papież pragnie, byśmy to uczynili. Zrobiła to już duża część robotników i coraz ich więcej to czyni. Jeżeli katolicy pozostaną tak niezręczni, pragnąc monarchii, która już jest zamkniętym rozdziałem historii, lud pójdzie za socjalizmem. Byłoby błędem, szaleństwem katolików Francji, podnosić sztandar monarchii w najbliższych wyborach”.

W drugiej części tego dzieła o. Dehon podejmuje tematy ekonomiczne i społeczne. Na podstawie zasad wyłożonych w encyklice *Rerum novarum* proponuje pewne konkretne rozwiązania; próbuje też udowodnić, że idea demokracji chrześcijańskiej jest w polu widzenia samego Leona XIII. Książka kończy się słowami: „Nowe Królestwo Chrystusa w zjednoczonych narodach i w pokoju społecznym powinno stać się nowym wylewem miłości Serca Jezusowego. Będzie to Królestwo Najświętszego Serca”¹¹.

Całkowite oddanie się Bożemu Sercu

W życiu o. Dehona nie brakowało doświadczeń. Gdy przeminęły burze nad założonym zgromadzeniem, nadeszły inne ciosy, niespodziewane i dotkliwsze.

Wiosną 1889 roku bp Thibaudier otrzymał nominację na arcybiskupa Cambrais, a na stolicę biskupią w Soissons został powołany proboszcz parafii le Havre, ks. Jan Duval, nieco uprzedzony do o. Dehona, z pewnością z powodu oszczerstw, które rzucali na niego „fałszywi bracia”.

Na skutek ostrych zarządzeń biskupa o. Dehon zmuszony został do pobytu przez kilka miesięcy poza Saint-Quentin i do rezygnacji z kierownictwa w Kolegium św. Jana na rzecz diecezjalnego dyrektora, ks. Merciera; ograniczono również jego władzę jako przełożonego general-

nego zgromadzenia. Ojciec Dehon, porównując te sankcje z rozwiązaniem zgromadzenia, zanotował: „Próba ta była boleśnieszka od tamtej”¹.

Wielkie było cierpienie o. Dehona, lecz jeszcze większa pokorna uległość i posłuszeństwo w duchu wiary. „To całkowita ruina – napisał w dzienniku. – Staram się o znoszenie z radością tego ogromnego krzyża. Dzięki, mój Jezu, za wielką łaskę, którą mnie obdarzyłeś, że mogę cierpieć z Tobą i dla Ciebie... To są mistyczne narodziny dla dzieła. Jezus objawia nam swoje wielkie wobec nas zamiary”².

Zdarzało się często w jego życiu, że krzyże, przyjęte z wiarą i miłością, stawały się nie tylko obfitym źródłem nowych łask wewnętrznych, ale także prowadziły do osiągnięć powszechnie dostrzegalnych.

I teraz częściowe ograniczenie odpowiedzialnych zajęć, wiążących go w Saint-Quentin, pozwoliło mu w latach 1890-1900 z całą energią oddać się pracy w ruchu społeczno-chrześcijańskim. Na lata 1895-1910 przypada też okres jego wzmożonej działalności pisarskiej.

Tymczasem sytuacja polityczna Francji pogarszała się z dnia na dzień, stwarzając coraz większe zagrożenie dla Kościoła i duchowieństwa.

Na przełomie XIX i XX wieku kolejne rządy wszczywały antyklerykalne kampanie. Dekrety Waldeck-Rousseau, a później Combes'a były antykościelne. W 1901 roku parlament zatwierdził dekret o rozwiązaniu wszystkich zgromadzeń zakonnych, w trzy lata później dekret o usunięciu krzyży i wszelkich znaków religijnych ze szkół i sal sądowych, a w 1905 roku dekret o zawieszeniu wszelkich dotacji państwowych na rzecz kultu i wszystkich związanych z tym przedsięwzięć. Zakonnicy musieli opuścić szkoły i wyjechać za granicę.

Ojciec Dehon, podobnie jak wielu innych przełożonych zakonnych, robił w tych trudnych dniach wszystko, co możliwe, aby zaradzić złu i odsunąć niebezpieczeństwo. Poprosił o zalegalizowanie Kolegium św. Jana. Niestety, w marcu 1903 roku otrzymał odpowiedź negatywną z nakazem natychmiastowego opuszczenia kolegium. Inny dekret rządowy przewidywał wyrzucenie zakonników oraz konfiskatę dóbr ruchomych i nieruchomości zgromadzenia.

„Rozpoczynam rok na krzyżu – pisał na początku 1904 roku. – Jestem prześladowany przez trybunał, grożą mi wygnaniem z likwidacją. Mieszkam w Domu Najświętszego Serca prawie sam, bez książek i bez archiwum”³.

Inni księża musieli wyjechać do Brukseli, dokąd w 1903 roku indultem papieskim został przeniesiony dom macierzysty zgromadzenia. W Saint-Quentin pozostał tylko o. Dehon jako stróż własnej nieruchomości. Będąc prawnikiem, bronił się wszelkimi dostępnymi środkami. Dnia 7 stycznia 1905 roku trybunał wydał wyrok: pozostawił o. Dehonowi kaplicę, kuchnię, ogród i małe pomieszczenie, a resztę oddał likwidatorowi, który wyznaczył termin 22 grudnia na sprzedaż trzech domów: w Saint-Quentin, Fayet i Foudrai. Dom Najświętszego Serca w Saint-Quentin został wykupiony przez o. Dehona. Powstała wówczas paradoksalna sytuacja: dwukrotny właściciel nieruchomości nie mógł w żaden sposób przyjąć u siebie swoich duchownych braci, członków zgromadzenia.

Jego życie od tej chwili toczyło się w dwóch środowiskach: w Brukseli, w nowym domu macierzystym i w generalacie, oraz w Saint-Quentin, gdzie zaglądał dla dopilnowania swojej posiadłości.

Ale i tym razem sprawdziło się znane powiedzenie Tertuliana: „Krew męczenników stała się posiewem chrześcijaństwa”. Nie krew wprawdzie, ale cierpienie związane z prześladowaniami przyniosło nieprzewidziane owoce; stało

się posiewem, z którego wyrosły liczne fundacje zgromadzenia w różnych krajach. Powstały nowe placówki w Belgii, we Włoszech, w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, gdzie wyrzuceni zakonnicy szukali schronienia.

Ojciec Dehon pracował teraz nad przyspieszeniem definitywnego zatwierdzenia zgromadzenia i jego konstytucji. W następstwie dwóch audiencji u Piusa X 2 lipca 1906 roku został wydany dekret zatwierdzający zgromadzenie na zawsze, a konstytucje na 10 lat.

Przyszła jeszcze jedna próba – była to zawierucha wojenna. Dnia 18 sierpnia 1914 roku Saint-Quentin zajęły wojska niemieckie. Wojna dawała się wszystkim we znaki. Przez ponad 30 miesięcy miasto było w zasięgu działań wojennych i trzęsło się w dzień i w nocy od bomb i pocisków artyleryjskich. Ojciec Dehon był przykładem spokoju i opanowania. Podczas ponawianych wciąż bombardowań tylko raz zszedł do piwnicy-schronu, a w chwilach odpoczynku zabawiał się spokojnie jakąś grą towarzyską, mimo potężnych eksplozji, które nie pozwalały graczom nawet się słyszeć.

Z notatek wyłania się jednak obraz człowieka przepełnionego smutkiem: „Złe dni 1870 roku wracają. Jakie będą plany Opatrzności?

Moje zgromadzenie jest zdziesiątkowane: trzydziestu francuskich sercanów i tyluż niemieckich powołanych do wojska... Te kanonady, które wybuchają jak pioruny, są przerażające. Dni udręczenia fizycznego, lecz również dni utrapień duchowych na wspomnienie o rodzinie, o ojczyźnie i o zgromadzeniu. Mam tylu duchowych synów na wojnie! Zapasów brak, dobroczyńców coraz mniej, trzeba mieć ślepą ufność w Opatrzność"⁴.

Do utrapień wojny dołączyła się inna okoliczność: o. Dehon odczuwał coraz mocniejsze cierpienia fizyczne spowodowane starością – miał przecież 71 lat! Choroba zmusiła go do odmówienia propozycji poprowadzenia dwóch serii rekolekcji: „Nie mogę już więcej. Chroniczny bronchit objawiał się kaszlem i płuciem krwią. To bolesne być zmuszonym odmówić wykonywania pracy apostołskiej”.

Dnia 31 października 1915 roku miał ciężką noc: „Wydaje mi się, że mało brakowało, a byłoby po wszystkim. To był gwałtowny atak zapalenia oskrzeli i groziło mi uduszenie się. To zużyty okręt!”⁵.

Jego wojenne uwięzienie w Saint-Quentin miało trwać trzy lata. Był to czas bez podróży, bez gazet, bez korespondencji. Wielu ludzi wie

z doświadczenia, na jaką samotność i odosobnienie może skazać człowieka wojna! Jednak o. Dehon umiał dostrzec korzyści wynikające z tego nieszczęścia. Jeżeli opatrzność Boża dopuściła do wybuchu wojny, to być może po to, by stała się ona dla wielu ludzi wezwaniem do nawrócenia i do poprawy życia: „Wydaje się, że w tym samym czasie Opatrzność znajdzie dla każdej duszy sposób na oczyszczenie jej i przesunięcie na stopień łaski, do którego została powołana”⁶.

Wielką troską o. Dehona podczas tych trudnych lat był los jego zgromadzenia: ile powołań zmarnuje się na skutek wojny, ile dzieł upadnie, ile domów zakonnych obciąży się długami. Błaga, by Ojciec Niebieski oddalił od niego ten kielich goryczy, ale jednocześnie wypowiada znów swoje *fiat* – niech się stanie, i podejmuje krzyż z odwagą: „Muszę oddać się troskliwej miłości Chrystusa Pana. Tysiące razy mnie ocalał i podnosił. Uczyni to znów. On wszystko dobrze ułoży”⁷.

W kwietniu 1916 roku niemieccy członkowie zgromadzenia uzyskali dla o. Dehona u władz okupacyjnych pozwolenie na udanie się do Brukseli. On jednak zrezygnował z tej możliwości; uważał, że jest potrzebniejszy w Saint-Quentin.

Podczas tych ciężkich dni wojennych rygorów i ograniczeń, w klimacie wewnętrznego skupienia i modlitwy napisał swój duchowy testament dla zgromadzenia. Testament ten, pochodzący z 1914 roku, został dołączony do Dyrektorium Zgromadzenia, które też było dziełem o. Dehona. Tak pisze o nim:

„Moi Najdrożsi Synowie! Pozostawiam Wam skarb najcenniejszy – Najświętsze Serce Jezusa. Należy Ono do wszystkich, lecz szczególną miłością darzy Księży Jemu poświęconych, całkowicie oddanych Jego czci, miłości i wynagrodzeniu, którego żądał, jeżeli pozostaną wierni temu pięknemu powołaniu.

Pan Jezus kochał wszystkich swoich apostołów, ale czyż szczególnym uczuciem nie darzył św. Jana, któremu powierzył własną Matkę i swoje Boskie Serce?

Piękny dekret Leona XIII z 25 lutego 1888 roku mówił: Zgromadzenie to będzie dla Serca Jezusowego wiązką kwiatów, jeżeli jego członkowie będą z Nim całkowicie zjednoczeni i Jemu oddani oraz jeżeli zakręluje w nich samych i w ludach przez nich ewangelizowanych płomienna miłość Serca Jezusowego.

Objasniając słowa Dawida, i my możemy powiedzieć: Serce Jezusa jest moim udziałem. O, jakże piękna jest moja cząstka we wspólnym dziedzictwie!

Jest dla Was oczywiste, że tak piękne powołanie wymaga nadzwyczajnej żarliwości i wielkiej wspaniałomyślności.

Nie wolno nam tracić z oczu naszego celu i posłannictwa w Kościele, nakreślonego w dwu pierwszych rozdziałach naszych Konstytucji, a więc tkliwej miłości ku Sercu Jezusowemu, przygotowanej przez oderwanie się od stworzeń i zwycięstwo nad naszymi namiętnościami.

Celem naszym jest wynagrodzenie i związane z nim wszystkie praktyki pobożne, takie jak: Msza święta i Komunia wynagradzająca, akt wynagrodzenia, codzienna adoracja wynagradzająca, godzina święta i umartwienie, na które pozwala posłuszeństwo i stan naszego zdrowia.

Cel nasz i posłannictwo obejmuje także całkowite oddanie się Najświętszemu Sercu w duchu żertwy, aby znosić cierpliwie i radośnie krzyże przewidziane przez Opatrzność.

Powołanie takie wymaga nawyku do życia wewnętrznego i zjednoczenia z Panem

Jezusem. Powinniśmy również podejmować wszystkie środki, by stan ten osiągnąć i uczynić trwałym.

Życia wewnętrznego nie można zachować bez wielkiej regularności i zakonnego milczenia.

Aby w tym się utwierdzić, codziennie przeznaczycie dobre pół godziny na poranne rozmyślanie, nie włączając w to modlitw ustnych, oraz pół godziny na adorację wynagradzającą. Codziennie odprawiać będziecie czytanie duchowne, złożone częściowo z Pisma świętego, a częściowo z książki ascetycznej lub żywotu świętych. Wybierać będziecie żywoty świętych zasługujących na miano świętych Serca Jezusowego, tych, którzy najlepiej poznali i praktykowali to godne pochwały nabożeństwo.

Gorąco powierzam Was wszystkich Sercu Jezusa i polecam Jego Miłosierdziu. Do Niego kieruję modlitwę, z którą On zwracał się do Ojca za swoich uczniów: «Ojcie Świąty, zachowaj ich w Twoim imieniu, które im dałeś» (por. J 19,26).

Polecam Was również naszej Niebieskiej Matce. Pan Jezus z pewnością zechce Jej powiedzieć o Was to samo, co na Kalwarii rzekł do Niej o św. Janie: «Oto Twoi synowie».

Szczególną miłością darzymy osoby ukochane – Maryję i Józefa, trzech wielkich archaniołów, św. Jana Chrzciciela, św. Piotra, św. Jana, św. Magdalenę i wszystkich świętych Bożego Serca.

Jeśli od siebie mam Wam coś powiedzieć, to proszę, byście mi przebaczyli, że tak mało Was budowałem moim przykładem. Nie mam najmniejszych złudzeń. Stawiam siebie niżej od wszystkich ludzi z powodu nadużycia tych wielkich łask, jakie otrzymałem.

Pan Jezus, pomimo mej niezgodności, pozostawił mnie na zajmowanym stanowisku jedynie po to, aby podkreślić swoje niezgłębione miłosierdzie.

Ufam jednak w zbawienie mojej duszy, ponieważ miłosierdzie Pana Jezusa jest niewyczerpane, lecz wiele będę musiał pokutować i dlatego gorąco Was błagam o modlitwy za spokój mojej duszy.

Czyż potrzebuję Was zapewniać, że jeśli Pan Jezus raczy mnie przyjąć do siebie, będę prosił za Was wszystkich i za dzieło tak drogie Bożemu Sercu?

Przebaczcie mi przykrości, które mogłem Wam sprawić, i gorszące przykłady oziębłości, jakie Wam dawałem.

Ze św. Janem, moim mistrzem i wzorem, powiadam Wam wszystkim: «Umiłowani, jeśli Bóg tak nas umiłował, to i my winniśmy się wzajemnie miłować» (J 13,34).

Błagam Was z całego serca w imię uczuć, któreście do mnie żywili, postępujcie tak, aby zawsze miłość święta wśród Was panowała. Nie wypowiadajcie nigdy wobec siebie słów krytycznych i zgryźliwych. Z wielkim szacunkiem odnoście się zawsze do tych, którzy zastępują Wam Boga.

Posłuszeństwo, regularność i ubóstwo są tarczą ochronną zgromadzenia.

Wiadomą jest rzeczą, że kapłańskie rodziny zakonne w swoich początkach wspomagane były zazwyczaj przez Boga poświęcone dziewice, które modliły się w ich intencji jak Najświętsza Dziewica Maryja czyniła to w odniesieniu do św. Jana.

Tej właśnie pomocy i nam nie zabrakło. Udzieliły jej przede wszystkim dwie rodziny zakonne swoją modlitwą i ofiarą. Niezapomnianą wdzięczność winniśmy zachować dla Sióstr Służebnic Serca Jezusowego z Saint-Quentin. Nie jestem w stanie wysłowić tego

wszystkiego, co uczyniły dla nas, łącznie z ofiarą życia dla rozwoju naszego dzieła.

Nie łączą nas z nimi żadne kanoniczne więzy, ponieważ Stolica Święta nie zatwierdza już wspólnot tak ściśle ze sobą zespolonych, jak w dawnych zakonach. Nie przeszkadza to wszakże jedności w modlitwie i ofierze. Nigdy o tym nie zapominajmy!

Wówczas, kiedy w Saint-Quentin zakładałem nasze zgromadzenie z pomocą miejscowych sióstr, Siostry Żertwy z Namuru przygotowały kilku świątobliwych kapłanów, którzy przybyli, aby się z nami połączyć, jak śp. o. Andrzej i o. Charcosset, mój wierny asystent. I to o nich również pamiętajcie.

W ostatnich moich słowach polecam Wam raz jeszcze codzienną adorację, adorację wynagradzającą w imieniu Kościoła, by pocieszyć Pana Jezusa i przyspieszyć Królestwo Bożego Słowa w poszczególnych duszach i całych narodach.

Składałem w ofierze i jeszcze raz poświęcam Najświętszemu Sercu Jezusowemu moje życie i śmierć, dla Jego miłości i we wszystkich Jego intencjach.

Wszystko dla Twojej miłości, o Serce
Jezusa!

Napisano w Saint-Quentin, w smutnych
dniach wojny 1914 roku.
Jan od Serca Jezusowego”.

Na wiosnę 1917 roku Saint-Quentin musiało być ewakuowane. Dnia 12 marca o. Dehon udał się na wygnanie. Nie było mu łatwo po tylu latach rozstać się z miejscem, w którym otrzymał tyle łask i doświadczył tak przedziwnej opieki.

Biskup Philippe w swoich *Wspomnieniach* opowiada, że o. Dehon, mimo swoich 74 lat, z plecakiem udał się na dworzec, skąd w wagonie towarowym, stojąc podczas prawie całej podróży, przybył do Enghien. Gdy wysiadł z pociągu, już ledwie trzymał się na nogach. Była noc. W ciemności nie zauważył toru kolejowego, zahaczył nogą o szynę i przewrócił się, uderzając o nią głową i rozcinając sobie poważnie czoło. W takim stanie, z zakrwawioną twarzą, został przyjęty przez Ojców Jezuitów.

W tydzień później wziął udział w pogrzebie matki Marii od Serca Jezusa, która zgodnie ze swoim pełnym ofiar życiem zmarła na wygnaniu. „Jej i nasze dzieła – zanotował o. Dehon w swym dzienniku – będą zniszczone i zrujno-

wane w Fayet i w Saint-Quentin. To jest powołanie Hioba”⁸.

W kwietniu 1917 roku doświadczył kilku dni choroby i gorączki. Goszczony serdecznie przez Ojców Jezuitów, był też troskliwie i ofiarnie pielęgnowany. Ucieszył się, gdy uzyskał pozwolenie na wyjazd do Brukseli. Przybył tam 19 kwietnia. Niestety, czekała nań smutna wiadomość: domy w Saint-Quentin i Fayet zostały podczas działań frontowych całkowicie zniszczone!

„*Fiat!* – zapisał w dzienniku. – Bóg zabiera nam to, co nam dał: niech będzie zawsze błogosławiony! On nam da wiele domów, jeśli będzie chciał... Wszędzie ruina. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko powtórzyć za Hiobem: «Bóg może zabrać mi to, co mi dał: niech się stanie Jego święta wola»”⁹.

Dopiero po skończonej wojnie o. Dehon mógł wrócić do Saint-Quentin. Było to 7 kwietnia 1919 roku. Dom Najświętszego Serca był w opłakanym stanie, Kolegium św. Jana prawie całkowicie zniszczone. „Dwa dni spędziłem w męczeńskim mieście – napisze. – To widok opłakany. Silne wzruszenie przyprawia mnie o omdlenie. Nie widziałem w moim życiu nigdy czegoś podobnego, wyjąwszy Messynę po trzęsieniu ziemi. To jedna sterta gruzu, brudu i smut-

ku. Także piękna bazylika jest zniszczona: bez witraży, bez ołtarzy, z kolumnami podziurawionymi i otwartymi od min. Mieszkańcy zdziesiątkowani, liczący 4 czy 5 tysięcy”¹⁰.

„Gdy o. Dehon zobaczył te ruiny - pisze w swoich wspomnieniach bp Philippe - szczególnie tę część Kolegium św. Jana, która była wzniesiona przez niego, wtedy wstrząsnęło nim jakieś wzruszenie niesamowite i łzy polały mu się z oczu. Opanował się i powiedział: Odbudujemy po raz trzeci!”.

Nowe Kolegium św. Jana zostało odbudowane. W maju 1924 roku o. Dehon przybył na jego poświęcenie. Miał wtedy 81 lat.

Rozwój zgromadzenia i budowa świątyni w Rzymie

„Jest czas burzenia i czas budowania; czas wojny i czas pokoju” (Koh 3,3.8).

Ojciec Dehon był człowiekiem wykorzystującym do maksimum ten błogosławiony czas budowania, utrwalania królestwa miłości i pokoju Najświętszego Serca Jezusa. Był prawdziwym budowniczym Chrystusowego pokoju i miłości w duszach ludzkich, w domach swego zgromadzenia i w społeczeństwie, w którym dane mu było pracować i żyć.

Po Kolegium św. Jana w Saint-Quentin, pierwszej jego fundacji, przyszedł czas na Dom Najświętszego Serca, który po 1903 roku stał się domem macierzystym i kolebką zgromadzenia.

W 1882 roku zbudował niższe seminarium w Fayet, w 1883 roku w Sittard, a w 1889 założył niższe seminarium na samej granicy belgij-sko-luksemburskiej w Clairfontaine. W 1892

roku udało mu się otworzyć w Rzymie dom dla studentów, którzy mogli odtąd odbywać studia na uniwersytetach papieskich.

Pragnienie budowania na ziemi królestwa Bożego Serca rozpierało jego apostołską duszę. Chciał być misjonarzem, prorokiem, roznoszącym ogień miłości i pokoju po całym świecie. „Idealem mojego życia, ślubem, jaki składałem ze łzami w oczach w mojej młodości, było zostać misjonarzem i męczennikiem”. Nie mogąc osobiście wyjechać na misje, wysyłał innych, a czynił to bardzo chętnie i z wielkim wzruszeniem. Już w 1887 roku pierwsi dwaj misjonarze wyjechali do Quito w Ekwadorze. W 1893 roku posłał pierwszą grupę współbraci do południowej Brazylii, a w 1897 roku przeżył ogromną radość, gdy mógł pożegnać dwóch misjonarzy, księży Grisona i Luxa, zmierzających do Konga. Jeden z nich – ks. Gabriel Grison – został pierwszym biskupem zgromadzenia i wikariuszem apostołskim w Stanleyville, dziś Kisangani. Mając 81 lat, zmarł na posterunku swojej pracy misyjnej w Kongo 13 lutego 1942 roku i spoczywa na tamtejszym cmentarzu w misji Saint-Gabriele. Spoczywają tam również zwłoki męczenników, 29 misjonarzy sercanów z bp. Witebolsem, którzy w dniach 25, 26 i 27 listopada 1964 roku

oddali życie za wiarę. Cmentarz ten nawiedził papież Jan Paweł II z okazji swojej wizyty w Kongo 5 maja 1980 roku i od grobu tych męczenników skierował do wszystkich misjonarzy świata apel o jedność, cierpliwość i męstwo.

Misja kongijska pochłonęła jeszcze wiele innych ofiar w postaci przedwczesnej śmierci młodych księży i braci zakonnych w następstwie tropikalnego klimatu.

Wkrótce przysła kolej na osiedlenie zgromadzenia w innych krajach: w Finlandii w 1907 roku, w Kamerunie w 1911 roku, w Aliwalu Północnym (Republika Południowej Afryki) w 1927 roku i na Sumatrze (Indonezja) w 1923 roku. Podejmowano jeszcze inicjatywy misyjne na rzecz Indian w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i Ameryce Łacińskiej.

Ta szybka ekspansja misyjna zgromadzenia na różne kontynenty była możliwa dzięki wielu nowym powołaniom zakonnym, wywodzących się z małych seminariów prowadzonych przez Księża Sercańców, w których skutecznie rozbudzano i pielęgnowano powołania kapłańskie i misyjne.

Następował rozwój zgromadzenia. Ojciec Założyciel mógł poinformować papieża Piusa X na audyencji w 1912 roku, że rodzina sercańska

posiada już 3 prowincje: francuską, niemiecką i holenderską, 450 zakonników, 400 alumnów w niższych seminariach i 20 tysięcy członków Stowarzyszenia Wynagradzającego „Adveniat Regnum”, a pismo „Le Régne du Coeur de Sus” („Królestwo Serca Jezusowego”) wychodzi w pięciu językach i ma 40 tysięcy czytelników.

W 1925 roku, w momencie śmierci Założyciela, zgromadzenie liczyło około tysiąca członków.

Obecnie liczy ono 2 300 zakonników w 38 krajach na pięciu kontynentach*. Sercanie przebywają i prowadzą swoją działalność w: Albanii, Argentynie, Austrii, Belgii, Brazylii, na Białorusi, Madagaskarze, w Kamerunie, Kanadzie, Hiszpanii, Chile, Chorwacji, Kongu, Ekwadorze, Anglii, Finlandii, we Francji, Niemczech, Indiach, Indonezji, Irlandii, Włoszech, Luksemburgu, Mozambiku, Meksyku, Mołdawii, Niderlandach, na Filipinach, w Polsce, Portugalii, Szkocji, Szwajcarii, Południowej Afryce, na Słowacji, w USA, na Ukrainie, w Urugwaju i Wenezueli.

Wracając do Założyciela, można z całą pewnością stwierdzić, że mimo sukcesów, będących następstwem jego gigantycznej pracy, mimo

* Patrz: *Nota od Wydawcy*, s. 257.

wzniesienia tyłu domów, kaplic i kościołów na cześć Bożego Serca, nie spoczął on na laurach. Do pełnego szczęścia brakowało mu jeszcze jednego – świątyni wzniesionej Chrystusowi, Królowi pokoju i miłości, w centrum chrześcijaństwa – w Rzymie.

Wzniesienie świątyni-pomnika miało być dla niego ukoronowaniem krucjaty, jaką prowadził przez całe życie na rzecz królowania Bożego Serca. „Wszędzie intronizuje się Boże Serce – pisał wtedy. – Mogłem Je intronizować w bazylice św. Piotra nowym ołtarzem z mozaiką Serca Jezusowego. Spędzę resztę mojego życia, przygotowując intronizację w Jego bazylice królewskiej w Rzymie. Stanie ona w pobliżu mostu Milvio: zatrzepocze nowy sztandar tam, gdzie stary się objawił”¹. Tym starym sztandarem był krzyż. Objawił się cesarzowi Konstantynowi przy moście milwijskim; cesarz usłyszał wówczas słowa: *In hoc signo vinces* (W tym znaku zwyciężysz). Nowym sztandarem będzie Najświętsze Serce Zbawiciela, Króla miłości i pokoju.

Ale od chęci do działania jakże często daleka jest droga. Włoskie porzekadło wyraża to przepięknie: *Tra il dire ed il fare c'è di mezzo il mare* (Między mową a czynem jest w środku morze). Szlachetnym wyjątkiem był o. Dehon, który

natychmiast zabrał się do pracy. Wiedział, że najważniejsze jest uzyskanie pozwolenia i błogosławieństwa dla tej inicjatywy od Ojca Świętego.

Po audiencji, która odbyła się 28 lutego 1919 roku, napisał w swych notatkach: „Rozmawiałem z Benedyktem XV o domu zakonnym w Rzymie... Fundacja w nowej dzielnicy byłaby jego życzeniem”². Ale czy chodziło papieżowi również o kościół? Wątpliwości wyjaśnia sam o. Dehon w liście napisanym z Cannes do bp. Grisona 7 marca 1920 roku: „Papież chce, byśmy postawili bazylikę Najświętszego Serca z seminarium misyjnym”³. Zapewnia też o tym list z 9 lutego 1920 roku, w którym papież przez kard. Gaspariego zatwierdza formalnie projekt budowy przy Piazza d’Armi kościoła i seminarium oraz dołącza na ten cel pewną sumę pieniędzy. Nadmieniamy o tym również wyraźnie kard. Gasparri, twierdząc w liście z 18 marca, że Benedykt XV udzielił potrzebnego pozwolenia na budowę kościoła przy Piazza d’Armi, a dokładniej przy Viale Mazzini, na którego budowę wyłożył wspaniałomyślnie jako pierwszy 200 tysięcy lirów.

Ostatecznie już w grudniu 1919 roku o. Dehon uważał, że jego projekt wzniesienia kościoła Najświętszego Serca Króla Pokoju w Rzymie

przybiera realne kształty, „mimo przeszkód stwarzanych przez diabła”.

Trudności nie brakowało: wśród nich była i taka, że ludzie wpływowi usiłowali zamknąć te nowe dzielnice, zwane Mazzini i Vittorie, dla wszelkiej działalności religijnej i dla budowy obiektów sakralnych. Ojciec Święty natomiast był przychylny o. Dehonowi i bardzo liczył na powodzenie jego planu. Już wcześniej, jako ordynariusz Bolonii, powierzył mu kościół w starej dzielnicy przy ul. Nosadella. Świątynia ta, sanktuarium Matki Bożej Królowej Nieba, zwana kościołem Madonny Biednych (*Madonna dei Poveri*), była wtedy, w 1912 roku, w tak opłakanym stanie, że miała być przekazana do użytku świeckiego. Tymczasem oddana w ręce włoskich sercanów, zwanych *dehoniani*, i przez nich odnowiona stała się dla Bolonii centralnym ośrodkiem ożywionego nabożeństwa do Matki Bożej Królowej Nieba oraz ośrodkiem pracy i apostołstwa wynagradzającego. Ojciec Dehon nie tracił czasu. Załatwił wiele wstępnych formalności związanych z rozpoczęciem budowy nowego kościoła. Data położenia kamienia węgielnego została wyznaczona. Dnia 18 maja 1920 roku kardynał wikariusz Bazyli Pompili poświęcił kamień węgielny pod świątynię Najświętszego

Serca Króla Pokoju w obecności kard. Ludwika Begina, arcybiskupa Grenoble, oraz wielu innych biskupów i gości. Jak bazylika na Montmartre była symbolem poświęcenia Francji Najświętszemu Sercu, podobnie rzymski kościół, zgodnie z życzeniem o. Dehona, miał stać się symbolem ofiarowania całego świata Bożemu Sercu.

W okolicznościowym przemówieniu, wygłoszonym przez o. Dehona na tej uroczystości, kaznodzieja oświadczył: „Na początku XX wieku Jego Świątobliwość Papież Leon XIII ogłosił Królestwo Bożego Serca i nawoływał ludzi do niego; nasz zaś ukochany, chwalebnie nam panujący Papież zobaczył jego początkową realizację”⁴.

Przeszło 20 lat temu świątynia Chrystusa Króla przy Viale Mazzini, która otrzymała tytuł bazyliki mniejszej, przeżyła niezwykłą uroczystość. Dnia 18 maja 1980 roku papież Jan Paweł II obchodził w niej sześćdziesiątą rocznicę urodzin. Był to podwójny jubileusz zaszczycony obecnością polskiego papieża: urodził się on bowiem w tym samym dniu, w którym w Rzymie odbywało się uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego pod ten kościół. Z tej okazji w wygłoszonej homilii Ojciec Święty powiedział: „Dziś przypada sześćdziesiąta rocznica

położenia kamienia węgielnego pod tę świątynię. W tym odległym dniu 18 maja 1920 roku był także obecny sługa Boży o. Leon Dehon, Założyciel Zgromadzenia Księży Najświętszego Serca Jezusowego, które przez te sześćdziesiąt lat spełniało z wielkim zaangażowaniem i dobrym skutkiem swe apostołstwo w tej parafii, której kościół o współczesnym wystroju architektonicznym jest poświęcony Najświętszemu Sercu Chrystusa, Króla Pokoju”⁵.

„Dla Niego żyję i dla Niego umieram”

Wielkie marzenie o. Dehona się ziściło: kamień węgielny pod wotywną świątynię Chrystusa Króla Pokoju został położony przy Viale Mazzini. Cieszyłby się bardzo i byłoby to ukoronowaniem jego całego życia, gdyby na własne oczy mógł zobaczyć ukończoną budowlę i być na jej poświęceniu. Ale sen ten nie miał się urzeczywistnić.

Napisał o tym jego następca na urządzie generała zgromadzenia ks. Philippe: „Ojciec Dehon zdawał sobie dobrze sprawę z wszystkich trudności, jakie piętrzyły się na jego drodze. W każdym razie ufność względem Bożej opatrności nigdy go nie opuszczała i dla wszystkich tych, u których jego odwaga wzbudzała bojaźń i którzy za obowiązek uważali hamować jego zapędy, miał tylko jedną odpowiedź i to tę, którą powtarzał swemu bratu Henrykowi: Trzeba mieć ufność”¹.

Ufność i odwaga połączone z wielką pracowitością nie opuszczały go nigdy. Działał do ostatnich chwil na rzecz tego wielkiego przedsięwzięcia, ale zdawał sobie coraz bardziej sprawę z faktu, że siła i zdrowia ubywało mu z każdym dniem. Daje temu świadectwo ks. Philippe: „Ojciec Dehon zmarł na posterunku i w całkowitym spokoju. Do końca był dzielny. Na stoliku, przy którym pracował, w dzień śmierci znaleziono jeszcze listy dotyczące kwesty, które przygotowywał codziennie bardzo systematycznie w czasie między rozmyślaniami a Mszą, którą od lat celebrował o godzinie 7.00 w kaplicy w Brukseli”². Można powiedzieć, że do końca pełnił wszystkie swoje obowiązki kapłana, zakonnika i przełożonego zgromadzenia.

Jego starość, przeżywana w domu generalnym w Brukseli, nie była z pewnością tym, co można by nazwać *otium cum dignitate* (dostojnym leniństwem) czy *dolce far niente* (słodkim próżnowaniem). Niezmordowany staruszek nigdy nie zaznał beztróskiego odpoczynku. Był ciągle zajęty i zapracowany. Zaświadczyć o tym może choćby szkicowe kalendarium ostatnich lat jego życia.

W latach 1919-1920 przygotował i wydał życiorys swojego pierwszego współbrata zakonnego ks. Rassetta *Un prêtre de Sacré-Coeur. Vie*

édifiante du R. P. Alfonse M. Rasset, assistant général des Prêtres du S. C., d'après ses lettres et notes (1843-1905). W czerwcu 1921 roku, w Uroczystość Najświętszego Serca Jezusowego, wygłosił kazanie w bazylice w Saint-Quentin z tej samej ambony, z której rozpoczął swoją pracę kapłańską i duszpasterską jako siódmy wikariusz parafii. W następnych miesiącach pracował intensywnie nad rewizją konstytucji, przewidzianą i nakazaną przez nowy Kodeks Prawa Kanonicznego. Czynił też starania o trzecie i ostateczne zatwierdzenie zgromadzenia przez Stolicę Apostolską.

W 1922 roku, na progu swoich osiemdziesiątych urodzin wydał dwutomowe dzieło *Études sur le Sacré-Coeur (Studium o Najświętszym Sercu Jezusowym)*, które miało być krokiem wstępnym do przygotowania prawdziwej summy doktrynalnej o Sercu Bożym.

Dnia 18 lipca tego samego roku na mocy indultu Stolicy Apostolskiej zatwierdzony został na dożywotnim urzędzie przełożonego generalnego zgromadzenia. Napisał wówczas: „Chciałbym zakończyć moje życie w skupieniu, modlitwie i pokucie. Wolę jednak powtórzyć za św. Marcinem: *Non recuso laborem* (Nie odmawiam pracy)”³.

Dnia 5 grudnia przeżył wielką radość: nadzedł upragniony dekret, zatwierdzający zgromadzenie. Wzruszony wyznał: „Jest to rezultat 45 lat wysiłków i pracy, pokonującej tysiące trudności i przeciwności... Mamy więc iść z zapalem naszą stałą ścieżką w imię Kościoła i w imię Pana Jezusa”⁴.

Do końca pracował niestrudzenie nad budową świątyni wotywniej w Rzymie. Ślęczał godzinami nad korespondencją, przygotowywał tysiące listów, które codziennie osobiście zanosił na pocztę. Wierny złożonemu ślubowi całkowitej ofiary, spalał się do końca na ołtarzu pracy i oddania dla dzieła i ideału swego życia. Troszczył się o przygotowanie IX Kapituły Generalnej, mającej się odbyć jesienią 1925 roku w Lowanium. Robił dokładne i sumienne notatki. W styczniu 1925 roku rozpoczął sześćdziesiąty zeszyt swojego dziennika: „To ostatni zeszyt i może ostatni rok życia. *Fiat!* Pragnę być uwolniony i być z Chrystusem”⁵.

Dziennik o. Dehona ujawnia, że coraz częściej myślał o zbliżającej się śmierci: „Jestem przy ostatnich rozdziałach mojego życia i w przedśmionku nieba... Myślę o wszystkich tych, których pójdę wkrótce zobaczyć: o Jezusie, o Maryi, o św. Józefie, o św. Michale, o św. Janie Chrzycie-

lu, o św. Janie Ewangelście, o wszystkich aniołach, o wszystkich świętych i tylu krewnych, przyjaciółach, kierownikach duchowych, współbraciach... W moich wspomnieniach jest więcej umarłych niż żywych i ufam, że moi zmarli zainteresują się mną i będą mi pomagać”.

Rok 1925 rozpoczął serię cierpień o. Dehona upadkiem zakończonym zwichnięciem nogi. Trapiło go też ogólne osłabienie i nużąca ospałość. Dnia 14 marca skończył osiemdziesiąty drugi rok życia: „Oto kończę 82 lata. Ile razy moja dobra Matka w niebie i mój dobry Anioł musieli interweniować, abym uniknął podczas tak długiego czasu wszystkich niebezpieczeństw i wypadków oraz wszystkich chorób, zagrażających ludzkiemu życiu! Dzięki, moja Matko Boża! Dzięki, mój dobry Aniele! Nie wiem wszystkiego, co wam zawdzięczam. Dowiem się o tym w niebie. Dziękuję wam z góry i będę wam wdzięczny przez całą wieczność. (...) Co zdziałałem w ciągu tych 82 lat? Niewiele dobrego. Mnożę akty wynagrodzenia, powtarzam moje pokuty i ufam bezgranicznie miłosierdziu Zbawiciela”⁷.

W lipcu i sierpniu 1925 roku Bruksela została nawiedzona przez epidemię gastroenteritalną, atakującą przewód pokarmowy. Zaatakowała ona również o. Dehona. We wtorek 4 sierpnia,

po odprawieniu Mszy świętej o godzinie 7.00, poczuł się źle i musiał się położyć. Stan jego nie budził niepokoju: organizm był na tyle silny, że lekarz nie przewidywał pogorszenia, a przeciwnie, rychły powrót do zdrowia. Ojciec Dehon nie rozstawał się z brewiarzem; odmawiał go z przerwami. Jego asystent, ks. Wawrzyniec Philippe, składał mu sprawozdania z bieżącego administrowania i przychodził po dyspozycje odnośnie do kapituły generalnej, którą się chory bardzo interesował. Miała się ona rozpocząć 15 września i załatwić wiele ważnych spraw. Cieszył się, że będzie mógł w niej uczestniczyć. Niestety, choroba i starość dawały coraz bardziej znać o sobie.

Ksiądz asystent, który do ostatnich chwil opiekował się chorym, przekazał potomnym wszystkie szczegóły dotyczące ostatnich dni Założyciela w swoich *Wspomnieniach*⁸.

Mimo optymistycznych prognoz lekarzy, w nocy z 9 na 10 sierpnia, z niedzieli na poniedziałek, nastąpiło pogorszenie: miał miejsce nowy atak, któremu towarzyszyło poważne osłabienie serca. Pomimo choroby i niedomagań, chory pamiętał o imieninach asystenta, ks. Wawrzyńca, i kazał jednemu z braci przygotować na poniedziałek bukiet kwiatów, który osobiście

wręczył solenizantowi, składając mu najlepsze życzenia.

Przed przyjęciem wiatyku pragnął odnowić swoje śluby zakonne, lecz nade wszystko swój ślub ofiarnej żertwy. Poprosił więc, by mu podano krzyż, ten sam, który trzymał w ręce w dniu pierwszych ślubów zakonnych. Wziął go do ręki i odnowił śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, dodając: „... i ślub żertwy”. Kilka razy powtórzył te ostatnie słowa, a potem dodał: „Oddaję się cały!”.

Po wiatyku przyjął sakrament chorych. Następnie zapragnął zjednoczyć się z wszystkimi, których znał. Wspominał na głos członków zgromadzenia, Siostry Służebnice i Siostry Oblatki, swoją bratanicę, bratanków oraz wszystkich przyjaciół i dobroczyńców. „Powiedzcie im, że myślę o wszystkich w tym momencie” – powtórzył. Potem wymienił po imieniu członków miejscowej wspólnoty i zapytał, czy są obecni. Podziękował im za usługi, jakie mu oddali.

Wreszcie poprosił Boga o przebaczenie, a ludzi o darowanie mu wszystkich win i niedoskonałości: „Założyłem zgromadzenie bardzo niedoskonałe. Proście o miłosierdzie dla mnie, by moja dusza osiągnęła zbawienie. Bóg wybrał mnie, by dokonać dzieła założenia zgromadze-

nia, a ja okazałem się tego niegodny przez tyle moich grzechów, błędów i niedoskonałości; ale wiem, że Bóg mi przebaczy”.

Ksiądz Philippe poprosił go z kolei w imieniu wszystkich członków zgromadzenia o wybaczenie cierpień i przykrości, jakie mogli mu wyrządzić, i by wszystkim obecnym i całemu zgromadzeniu udzielił swego ojcowskiego błogosławieństwa. Chory wyciągnął zaraz ręce i wypowiedział wyraźnym głosem po łacinie słowa błogosławieństwa: *Benedictio Dei omnipotentis, Patris, et Filii, et Spiritus Sancti, descendat super vos et maneat semper, maneat semper, maneat semper* (Błogosławieństwo Boga Wszechmogącego: Ojca, Syna i Ducha Świętego niech zstąpi na was i pozostanie na zawsze). Ostatnie wyrażenie powtórzył trzy razy i wykonał potrójny znak krzyża, uczyniony omdlewającą ze słabości i wzruszenia ręką.

Podczas całego życia miał zwyczaj przyjmowania cierpień jako odpowiedzi udzielonej przez Boga na jego ślub żertwy. Na łożu śmierci miał znieść wiele cierpień fizycznych i utrapień moralnych. „Cierpiał od rana do wieczora i od wieczora do rana”. Szczególnie cierpienia moralne trapiły go wielce. Z bólem serca myślał o niewiernościach i ludzkich nędzach, które przyciem-

niały niebo zgromadzenia. To wszystko stwarzało stosowną okazję do wzbudzenia intencji wynagradzającej i dlatego można było często usłyszeć, jak szeptał: „To wszystko jako ekspiacja za dzieło!”.

Zachował jasność umysłu aż do końca. W dniu, w którym przyjął sakrament chorych, poprosił ks. asystenta, by napisał do pewnej osoby, której niegdyś ks. Andrzej Prevot, długoletni magister nowicjatu, był duchowym kierownikiem, a która w dniu następnym obchodziła imieniny.

Podobny był też gest pamięci i wdzięczności, uczyniony pod adresem brata infirmiarza: w nocy, poprzedzającej dzień agonii, powiedział braciszкови, by sobie wziął z szuflady w biurku przygotowany dla niego różaniec – była to piękna koronka ze srebrnymi paciorkami. Chory poświęcił ją i podając braciszкови, powiedział: „Nie mówcie nikomu o tym! Wnet pozdrowię w niebie waszego ojca”.

W środę rano od godziny 10.00 ataki serca były częstsze i zwiastowały rychły koniec. „Cierpię” – powiedział chory i ręką wskazał na serce. Ksiądz Philippe poddał mu wtedy myśl, by zjednoczył się z Sercem Jezusa w duchu całkowitej ofiary. Jego wzrok zajaśniał i ze spokojem na twarzy odpowiedział: „Tak! Tak!”.

Przed południem zaczęła się agonia. Kilka minut przed zgonem ks. Philippe poprosił umierającego o ostatnie błogosławieństwo, zwłaszcza w intencji pomnożenia powołań, po czym zasugerował, by ofiarował Bogu swoje życie i cierpienia. Umierający, wyraźnie odpowiedział: „Tak! Tak! Tak!”, kilkakrotnie to powtarzając i robiąc po raz ostatni znak krzyża ojcowską ręką ponad obecnymi.

„Tuż przed śmiercią – dodaje ks. Kanters, który też był przy zgonie – o. Założyciel wyciągnął rękę ku obrazkowi Najświętszego Serca i podnosząc głos, wypowiedział ostatnie słowa na tej ziemi: «Dla Niego żyję i dla Niego umieram!»”.

O godzinie 12.10 przestało bić serce, które tak bardzo ukochało Jezusa i Jego wyznawców; zakończył życie o. Leon Jan Dehon, założyciel Zgromadzenia Księży Najświętszego Serca Jezusowego. Była środa, 12 sierpnia 1925 roku.

W poniedziałek, 17 sierpnia, została odprawiona Msza święta w kaplicy domu macierzystego w Brukseli, a po nabożeństwie żałobnym zwłoki przewieziono do Saint-Quentin, do Kolegium św. Jana. W środę, 19 sierpnia, odbył się uroczysty pogrzeb w tamtejszej bazylice. Po Mszy świętej ks. bp Binet, ordynariusz Soissons, wygłosił mowę pogrzebową, w której nakreślił

sylwetkę zmarłego jako adwokata, kapłana i obywatela.

Kaznodzieja zakończył słowami: „Odszedł wielki starzec o sercu zawsze młodym, zawsze ufnym, zawsze pełnym optymizmu, ku wiecznej młodości z Chrystusem, z Sercem, któremu się poświęcił. Był tak intymnie związany z Jezusem Chrystusem w najwyższych przejawach Jego miłości, że nie znał tych lęków ani tego przeżycia, jakie się spotyka czasami nawet u wielkich świętych. A ta pogoda w obliczu śmierci to prawdziwy przykład godny naszych rozmyślań. Widziano o. Dehona umierającego bez drżenia i strachu, zapewniającego jednego ze swoich przyjaciół kilka godzin przed oddaniem ostatniego tchnienia: «Jezus jest tak dobry, że przyjmie mnie zaraz do swego nieba». Odmówiliśmy ostatnie modlitwy świętej liturgii, by żywe pragnienie tej wielkiej kapłańskiej duszy, pełnej ufności, zostało spełnione”⁹.

Ojciec Dehon został pochowany w grobowcu zgromadzenia na cmentarzu św. Jana w Saint-Quentin. Ekshumacja zwłok nastąpiła w październiku 1963 roku. Obecnie ciało znajduje się w kościele św. Marcina, wzniesionym przez o. Dehona w 1890 roku, na przedmieściach Saint-Quentin. Rozważa się przeniesienie pro-

chów sługi Bożego do Bazyliki Chrystusa Króla w Rzymie, gdzie grób mógłby być liczniej nawiedzany przez jego czcicieli i gdzie współbracia mogliby rozważać wspaniałe życie o. Dehona i czerpać obficie z charyzmatu jego ducha. Tak spełniłoby się też pragnienie jego serca, zaznaczone w dzienniku: „Jeżeli ziemia byłaby miejscem naszego przeznaczenia, ja chciałbym pozostać w Rzymie”. Nie mógł tego pragnienia zrealizować za życia, może będzie mu dane spocząć tam po śmierci.

Wspomnienia naocznych świadców

Kto zapoznał się z życiem o. Leona Jana Dehona, stwierdzić musi, że był on człowiekiem niezwykle, oraz reprezentował wybitną formację duchową i intelektualną. Był kapłanem oddanym wielorakiej i nieustrudzonej działalności, odznaczał się niespożytą wprost energią ducha – mimo słabego zdrowia i piętrzących się na jego drodze trudności. Ci, którzy mieli możliwość spotkania się z nim osobiście, pełni są zachwytem dla jego osobowości i podziwu dla działania.

Ksiądz G. Kanters, który mając 12 lat, w 1886 roku, zobaczył go po raz pierwszy, pisze o tym 44 lata później: „Zebrani na łące przed domem w Watersleyde alumni niższego seminarium zobaczyli w pewnej odległości zbliżającą się ku nim sylwetkę o. Dehona. Był wysoki, smu-

kły i wyprostowany jak świeca paschalna. Ręce spoczywały jedna na drugiej. Jego szlachetny i dystyngowany chód, oczy żywe i przenikliwe spojrzenie robiły zrazu wielkie wrażenie. Lecz kiedy zobaczyli go bardziej z bliska, w krasie urzekającego uśmiechu, gdy każdy doznał jakiejś małej serdeczności i usłyszał jego ojcowski głos, natychmiast pękały lody. Następnego dnia alumni, jeden po drugim, prosili, by mogli się z nim zobaczyć i spotkać osobiście. A o. Dehon przystawał na to z największą w świecie łaaskawością¹.

Ksiądz G. Jacquin, kreśląc sylwetkę Założyciela, zatrzymuje się szczególnie na jego twarzy: „Była ściągnięta i ascetyczna, zdradzała zdrowie raczej kapryśne, mogła wprowadzić w błąd, ale świadczyła o finezji męznego ducha. Wargi raczej cienkie, o męskich i wyraźnie zarysowanych liniach. Miał spojrzenie żywe, śmiałe i przenikliwe, które zdawało się przychodzić z daleka i sięgało aż do głębi duszy. Oczy były jasne i przejrzyste, oczy człowieka dobrego; czasem jaśniały radością lub przebiegłością, czasem – jak mówili niektórzy – mogły stać się jak błyskawica. (...) Jeśli ostatnie fotografie ukazują pewną sztywność, to powodem tego jest zaawansowany wiek, a praca, zdecydowana wola i dyscypli-

na wycisnęły też z czasem swoje piętno na ry-
sach jego twarzy. (...) Był tak wysokiego wzro-
stu, że wszyscy przy nim zdawali się mali”².

Ksiądz Henri Dorrestejn w doskonale na-
kreślonym życiorysie o. Dehona czyni takie zwię-
zienie: „W latach 1913 i 1914 miałem przyjemność
zobaczyć ojca Dehona dwa razy w niższym se-
minarium w Bergen op Zoom. Odwiedziny Ojca
Generała były jednym z największych świąt
roku... Założyciel pozostawił wrażenie człowieka
wysokiego i wielce czcigodnego. Pamiętam do-
brze, jak podczas toastu sam się nazwał kapita-
nem, naszych profesorów oficerami, a alumnów
małymi chłopcami na wielkim okręcie, którym
było dla niego małe seminarium i zgromadzenie.
Zrozumieliśmy dobrze i pojęliśmy różnicę mię-
dzy wyrażeniem *le mousse* (chłopiec okrętowy)
a la mousse (szumowiny). Muszę wyznać, że
mniej byliśmy zainteresowani przemówieniem
niż końcem języka bez przerwy poruszającym
się między wargami”³.

Jakże trafne jest oświadczenie ks. Henryka
Christena, Alzarczyka, który zajmował w zgro-
madzeniu bardzo odpowiedzialne stanowisko:
„Im więcej rozczytuję się w dziejach naszego
«bardzo dobrego ojca» [o. Dehona], im bardziej
zaznajamiam się z jego nauką, tym bardziej

przekonuję się osobiście, że żył on tym, co pisał. Był świętym. Nie mam żadnych dowodów, by twierdzić inaczej. Ojciec Dehon był świętym odmiennym od o. Andrzeja Prevota. Ten ostatni praktykował umartwienia, pokuty, które robiły wrażenie, o. Dehon natomiast przeżył męczeństwo serca, choć nikt nie mógł tego zauważyć, ponieważ zawsze był wesoły, miły i uśmiechnięty”⁴.

Zgodnie z wypowiedziami naocznych świadków, jest niewątpliwe, że o. Dehon był indywidualnością wybitną i wyjątkową. Jego wygląd zewnętrzny, walory moralne i intelektualne zdradzają wzajemne i głębokie przenikanie się zalet ludzkich z darami nadprzyrodzonymi. Wysoki, smukły, wytworny, wszechstronnie wykształcony, inteligentny, bystry, szlachetny i prosty, wrażliwy i otwarty, wyrozumiały dla wszystkich, chłonny na piękno natury i humanistyczne bogactwa historii i sztuki – był człowiekiem wielkiego formatu.

Jego działalność w całkowitym zdaniu się na miłość Bożą, szczególnie w trudnych okolicznościach życia, sprawiała, że cechowało go niczym nieograniczone otwarcie się na pomoc i łaskę z góry, a jego codzienna postawa odznaczała się wyjątkową równowagą ducha.

Wszyscy, którzy poznali czy nawet spotkali o. Dehona, byli uderzeni jego wyjątkowym zrównoważeniem i przedziwną harmonią darów nadprzyrodzonych i cnót naturalnych. Niektóre z jego cech były równocześnie darem i zdobyczą. Umiał zachować umiar we wszystkim. Choć miał gwałtowny i wybuchowy temperament, który ujawnił się na przykład w ostrych reakcjach podczas żywych dyskusji, nigdy nie wpadał w złość ani nie upierał się ślepo przy swoim zdaniu, w czym pomagał mu wrodzony optymizm, poczucie humoru i nabyta umiejętność posługiwania się dowcipem, wesołymi żartami czy grą słów, tak charakterystyczną dla języka francuskiego. Bawił i rozweselał wszystkich, nikogo nie raniąc.

Oddany Najświętszemu Sercu Jezusa poprzez czystą miłość, nie miał nic wspólnego z jałowym kwietyzmem czy niezdrową pobożnością. Mocno zaangażowany, współdziałał z darami łaski wszelkimi dostępnymi środkami i darami bogatej osobowości.

Choć ta równowaga duchowa rzucała się w oczy, wszystkich zachwycała jednak najbardziej jego dobroć. Nazywali go zazwyczaj i najczęściej bardzo dobrym ojcem (*très bon père*), w odróżnieniu od Leona Harmela, którego okre-

ślano jako dobrego ojca (*bon père*). Dobroć o. Dehona pełna była delikatności, wyrozumiałości, oddania, gotowa zawsze zrozumieć drugiego i mu służyć. Tak było w stosunku do wszystkich, zarówno młodzieńca, jak i dorosłego, biednego i bogatego, życzliwego i przeciwnika. Dobroć jego ujawniała się szczególnie względem tych, którzy byli źle lub nawet wrogo do niego nastawieni. Nigdy nie skorzystał z najmniejszej okazji do gniewu czy zemsty wobec swoich adwersarzy, wręcz odwrotnie, okazywał im wspaniałomyślną wyrozumiałość, życzliwość, a nawet przyjaźń, zarówno w słowach, jak i czynach.

W archiwum zgromadzenia w Rzymie znajduje się wiele wypowiedzi i wspomnień naocznych świadków – księży, współbraci i byłych wychowanków. Warto tu przytoczyć niektóre, by jeszcze lepiej poznać i pokochać tego niezwykłego człowieka. Cytując je, podawać będziemy dokładnie, skąd pochodzą.

Do ekonomy generalnego, ks. S. Falleura, znanego z gwałtownego usposobienia, o. Dehon pisał: „Gdy ksiądz jest twardy, wyrządza krzywdę mnie i dziełu, wszak ksiądz mnie reprezentuje. Proszę się starać o to, by księdza kochano”⁵.

Leon Harmel, podziwiając stałą pogodę ducha o. Dehona, oświadczył: „Jego osoba pro-

mieniowała swego rodzaju odprężeniem i spokojem. Jego słowo wlewało spokój w duszę. Napawał tym większą ufnością w Opatrzność, im poważniejsze były trudności. «Wszystko się ułoży» – powtarzał zazwyczaj. Promieniował rzeczywistością Bożą dobrocią, zdobywając zaufanie pogodą, okraszoną zwyczajowym uśmiechem”⁶.

Jego bratanek, Henryk Malézieux-Dehon, wspomina, że świątobliwy wujek nigdy nie tracił pogody ducha, a największe nawet trudności pokonywał jakże często powtarzanym powiedzeniem: „Pan Bóg wszystko dobrze ułoży!”⁷.

„Cechą charakterystyczną, rzucającą się w oczy, była jego bezgraniczna ufność w opatrzność Bożą, jak u ks. Cottelengo – wspomina ks. Bartłomiej Dessons, pierwszy prokurator generalny zgromadzenia przy Stolicy Apostolskiej. – Któregoś dnia zabrakło mu dużej sumy pieniędzy, koniecznej do przeprowadzenia remontu w Kolegium św. Jana, a termin płatności się zbliżał. Ja byłem bardzo zdenerwowany. Ojciec Dehon przeciwnie – spokojny, pewny, że Boża opatrzność zaradzi nawet w ostatnim momencie. I tak się stało. Dzień przed terminem wyrównania należności, późnym wieczorem, ktoś zadzwonił na furtę do kolegium. Jakaś osoba

przyniosła ofiarę dokładnie odpowiadającą należytą płacności”⁸.

„Był dobry i wyrozumiały dla współbraci, którzy nawet jako kapłani opuszczali zgromadzenie. Nigdy nie posługiwał się wobec nich słowami cierpkimi i surowymi; umiał ich wytłumaczyć, próbował zrozumieć. W dniu święceń kapłańskich ks. Piotra Orsi (8 sierpnia 1909 roku), który opuścił zgromadzenie, przesłał mu nie tylko gratulacje, ale również czek z ofiarą 100 franków. Ksiądz Piotr Orsi został później proboszczem w parafii Capranica Prenestina”⁹.

„Podczas rekreacji był wesoły, rozpogadzał wszystkich, używał gry słów, łatwej w języku francuskim, posługiwał się dowcipami, wnosił wszędzie radość i pogodę, a bawiąc współbraci wesołymi opowiastkami, nie obrażał nikogo. Chętnie grał w domino, by tym sprawić radość innym. Pozwalał zabierać głos innym, szczególnie młodemu, by czuli się dobrze i swobodnie. (...) Nalegał bardzo na zgodę we wspólnocie. Widząc kiedyś dwóch zwaśnionych współbraci, zaprowadził ich razem do kaplicy, by się pomodlili. Rezultatem była zgoda. (...) Interesował się sportem. Był kibicem piłki nożnej i baseballu”¹⁰.

„Miał serce delikatne, był bardzo czuły. Przeżywał głęboko smutne czy wręcz tragiczne mo-

menty. Po śmierci matki (19 marca 1883 roku) wypowiedział wstrząśnięty dogłębnie te słowa: «Mój Boże, to za dużo!»). Po śmierci ks. J. A. Guillaume'a (28 lipca 1915 roku), z którym łączył tak wielkie nadzieje dla zgromadzenia, a który zmarł w 29. roku życia, przez dwa dni nie wypowiedział ani jednego słowa, tak był wstrząśnięty tą stratą¹¹.

„Jeśli wydawało mu się, że wskutek żywego i nerwowego usposobienia kogoś zasmucił lub uraził, śpieszył z przeprosinami, obiecywał modlitwy i udzielał błogosławieństwa. Tą metodą naprawiał i wynagradzał, usuwając z dusz innych wszelkie ślady niezadowolenia czy goryczy¹².

„Swoje cierpienie ukrywał przed otoczeniem, wielkie przykrości znosił cierpliwie i mężnie. Nie składał swego krzyża na ramiona innych. Chociaż zazwyczaj był bardzo pochłonięty przeróżnymi zajęciami, mimo to nie dawał odwiedzającym i interesantom do zrozumienia, że nie ma czasu. Był do ich dyspozycji, traktował ich z miłą uprzejmością zarówno podczas rozmowy, jak i przy pożegnaniu¹³.

„Kapłani diecezjalni z chęcią korzystali ze spowiedzi u o. Dehona. Był dobry i wyrozumiały, mądry i zrównoważony, wywierał wielki wpływ

na nich, wielu odwiódł od zamiaru porzucenia kapłaństwa. Nawet kuria diecezjalna odsyłała do niego takich kapłanów, darząc go wyjątkowym zaufaniem. Marzył razem z ks. kanonikiem Buchatem z Namur o założeniu ośrodka moralnej rehabilitacji kapłanów. Trudności i przeszkody były tak wielkie, że projektu nie udało się zrealizować¹⁴.

„Nie chował urazy, nie kierował się nigdy chęcią zemsty i nie okazywał niechęci tym, którzy go znieważali czy zasmucali. Przeciwnie, okazywał im wspianałomyślną dobroć. Na przykład ks. Piotra Bertranda mianował prowincjałem nowo powstałej prowincji francusko-belgijskiej, mimo że tyle doznał od niego przykrości. Księżdz Pawła Delgoffe’a powołał na stanowisko rektora nowicjatu w Brugelette. Ksiądz Delgoffe, po ewakuacji do Neussagnesse w 1940 roku, tak się wyraził o tym, zwierając się ks. L. Gobinowi: «Ksiądz wie, że w przeszłości sprzeciwiałem się o. Dehonowi i to ciężko. Bardzo mi jest przykro i będę żałował tego przez całe życie». Ksiądz Gobin był wstrząśnięty szczerym tonem żalu ks. Delgoffe’a. Taką to zemstę stosują święci – dobrym odpłacają za zło... Był wspianałomyślny, cierpliwy, po zrobieniu w miarę możliwości wszystkiego ze swej strony, oddawał wszystko

pod opiekę opatrności Bożej. Zachował w ten sposób zgromadzenie od rozbicia za czasów ks. Blancała. Był człowiekiem zdolnym łagodzić konflikty. Ksiądz Gablot, misjonarz-weteran, oświadczył: «Czułem dla niego wielki szacunek i wielkie zaufanie, ponieważ znajdowałem w nim wielkie serce»¹⁵.

„Mszę świętą odprawiał z powagą, bez pośpiechu, w wielkim skupieniu. Wydawał się utożsamiać z ofiarą Chrystusa. Ton jego głosu w modlitwach mszalnych był trochę śpiewny: tak wyrażał swą radość i gorliwość. Wielką radość sprawiała nam możliwość służenia do Mszy świętej o. Dehonowi. Czuliśmy się jakby w innym świecie. W starszym wieku o. Dehon wydawał się wychowankom instytutu jakby biblijnym patriarchą przy ołtarzu. Dziękczynienie po Mszy świętej trwało 10 minut, czasem 15. Był skupiony i nie widział, co działo się koło niego”¹⁶.

„Adoracja eucharystyczna pochłaniała go całkowicie. Był wpatrzony w Hostię i nic go nie rozpraszało. Zdawał się jakby w zachwycie. Codziennie odprawiał półgodzinną adorację z rękami wyciągniętymi jak Pan Jezus na krzyżu. W każdy czwartek odprawiał Godzinę świętą. Otwierał tabernakulum i pozostawał na kolanach całą godzinę, nawet gdy był już w podeszłym

wieku i osłabiony czy chory. Adoracja eucharystyczna pociągała go bardzo. Z bratem Achillesem Jossa, sekretarzem w Brukseli, wychodził do miasta na przechadzkę i pół godziny, a czasem nawet całą godzinę spędzał na adoracji w odwiedzanych kościołach, gdzie było wystawienie. Promieniował Chrystusem, którego tak bardzo kochał i którego adorował w Eucharystii¹⁷.

„Rano przychodził do kaplicy i kładł się twarzą do ziemi: przez dłuższy czas ofiarowywał swoją osobę Bogu. Czynił to codziennie. Kto przychodził do kaplicy, widział o. Dehona na kolanach, z twarzą w dłoniach, pogrążonego w modlitwie, jakby był poza światem. Swoją pobożnością promieniował, wywierając tym zbawienny wpływ na wychowawców i kleryków¹⁸.

„Ojciec Dehon rozwinął we mnie miłość do Boga i Najświętszej Dziewicy. Najświętsze Serce – to było jego życie. Wszystko czynił dla Niego. Bez całkowitej ufności do Bożego Serca nie zdołałby przewyciężyć tylu trudności. Żył w zjednoczeniu z Bożym Sercem, ożywiony duchem miłości i wynagrodzenia. Zależało mu bardzo na Mszach świętych i adoracjach wynagradzających. Taka postawa ma nie tylko pocie-

szać Boże Serce, ale ma mieć wymiary społeczne, ma wynagradzać i zadość czynić za grzechy klasy robotniczej i za grzechy innych ludzi”¹⁹.

„Śmiało i odważnie dzielił się swoimi doświadczeniami i trudnymi przeżyciami z młodszymi współbraćmi, których w ten sposób zamierzał zaangażować w kierowanie zgromadzeniem, rzecz jasna nie po to, by sobie ulżyć w cierpieniu, lecz by ich przygotować do twardej rzeczywistości życia i wzbudzić w nich większe poczucie odpowiedzialności”²⁰.

„Ojciec Dehon odznaczył się wielką odwagą. W trakcie jakże licznych bombardowań w Saint-Quentin podczas pierwszej wojny światowej zachowywał wielki i zadziwiający spokój... Wystarczyło jego spojrzenie, by przywołać wszystkich do porządku. Nie znosił szowinizmu i nie robił różnicy z powodu odmiennej narodowości któregoś ze współbraci. Podczas wojny 1914-1918 roku powiedział do swoich zakonników, którzy z uporem manifestowali germanofilskie uczucia: «Jeżeli nie możecie pozwolić nam na spokojne spożycie posiłku bez waszych waśni, to idźcie zjeść go do kuchni»”²¹.

„Jako przykładowy zakonnik dbał o regularność. Jego punktualność w udawaniu się na wspólne ćwiczenia była ciągłą lekcją dla wszystkich.

Mając 80 lat, schodził do kaplicy o 5.20, całował podłogę w kaplicy jak nowicjusz. Był tam zawsze pierwszy, mimo słabości i chorób podeszłego wieku²².

„Był surowy, gdy chodziło o uchybienia współbraci przeciwko posłuszeństwu. Dwóch z nich, którzy podczas wojny odbyli podróż bez pozwolenia przełożonych, ukarał, nakazując im odprawienie w nowicjacie tygodniowych rekolekcji. Karami jednak nie szafował zbyt często... Podczas miesiąca odnowy, ogłoszonego w Lowanium w styczniu 1909 roku, dzielił się swoim bólem, mówiąc o tych współbraciach, którzy usprawiedliwiali własne uchybienia przeciw regułom tym, że nie obowiązują ich one w sumieniu; wykrzyknął wtedy: «Nigdy nie zamierzałem zakładać zgromadzenia dla ludzi połowicznych». (...) Pod koniec życia zwykł powtarzać: «Choć u Sercanów nie żyje się za dobrze, to jednak umiera się pobożnie i w gorliwości»²³.

„W Kolegium św. Jana miał wielu penitentów, bo był bardzo dobry. Spowiadał w każdą sobotę i pragnęliśmy się spowiadać u niego. Był łagodny i wyrozumiały. Dostosowywał się do naszych chłopców możliwości. Zarówno pod-

czas Mszy świętej, jak i w konfesjonale czuł się mężem Bożym. Często spowiadałem się u niego. Przyjmował wszystkich z dobrocią. Dawał praktyczne rady, bez niepotrzebnych słów, zatrzymując się jedynie na życiu duchowym penitenta”²⁴.

„Wykazywał wielką troskę o uformowanie scholastyków. Głosił nam konferencje, upominał i kierował nasze myśli ku trosce o ukształtowanie dobrego charakteru. «Uwijajcie się – powtarzał. – Szybko staniecie się kapłanami! Nie mam tytułu zakonników, o ilu proszą ze wszystkich stron. Nie mam przecież możliwości tworzenia ich z ceramiki». To był człowiek nadzwyczajny, człowiek święty. Był równowagą wszystkich cnót. Zachowuje się o nim wspomnienie jako o osobie nadzwyczajnej pod każdym względem. W moich oczach to święty. Robił wielkie wrażenie i urzekał swoim spojrzeniem. Promieniował głębokim życiem wewnętrznym. Przyciągało właśnie to jego życie wewnętrzne. Sam jego widok przyciągał do Boga. Moje życie jest głęboko naznaczone promieniowaniem jego świętości. Gdy mówił, czuło się, że był przeniknięty miłością Bożą. Świętość promieniowała z całej jego osoby, choć nie przybierał pozy świętego.

Ludzie nie mówili: «poślemy syna do Kolegium św. Jana», ale: «poślemy syna do o. Dehona». Tak mu ufali i taki zdobył sobie autorytet”²⁵.

„Był zawsze wśród nas. Wystarczyło jego zachowanie, by nam powiedzieć, czego chciał i jak mieliśmy się zachować. W kolegium zdarzyło się, że obmawiano tego czy innego profesora, nigdy jednak ojca Założyciela i Dyrektora. Tylko on pozostał jako wielki w mojej pamięci. W ciągu 81 lat mojego życia nie poznałem godniejszej od niego osobowości. Był energiczny, lecz nie był autorytatywny. Był przełożonym bez surowości, z dużą dozą ojcowskiej serdeczności i troskliwości. Jego decyzje były wyważone, ale raz podjęte realizował *fortiter et suaviter* (konsekwentnie, choć jednocześnie w sposób łagodny). Z bólem wydalał alumnów za poważne przestępstwa. Wyprosił za drzwi profesora, który się upijał. Rządził żelazną ręką, ręką nauczyciela, lecz w aksamitnej rękawiczce. Był wielkim dyrektorem, ale jakże dobrym! Dał się kochać i szanować, wzbudzał sympatię i podziw. Alumni zwierzali mu się jak ojcu. Nie uciekając się do kar, apelował do rozsądku i mądrości: kto go ma, niech się nim posługuje”²⁶.

„Nie znosił pochwał i ceremonii. Choć często uśmiechnięty, nigdy nie oddawał się prze-

sadnej i bezmyślnej wesołości, upominał z dobrocią i mocą. Swoją obecnością utrzymywał wszędzie porządek, umacniał pokój i wzbudzał szacunek. (...) Był surowy wobec siebie, lecz nie rzucało się to w oczy. Jego surowość nie miała nic ostentacyjnego. Jego styl świętego życia, naznaczony umartwieniem, był realizowany przez skromne codzienne czyny, przez sposób ich przeżywania, na przykład przez postawę w modlitwie. Podczas adoracji eucharystycznej i Godziny świętej trwał na kolanach ze złożonymi rękami, bez opierania się o klęczniki, choć był wysokiego wzrostu. Był nadzwyczajny w zwykłych zajęciach. Umiał przyjmować z wiarą trudne doświadczenia Boże; przyjmować bez narzekań słaby i zły stan zdrowia. Wiele razy stara służąca, która sprzątała pokój o. Dehona, widziała w wiadrze krew i krwawe płwociny ojca. Nie pozwalał jej o tym mówić nikomu pod groźbą zwolnienia z pracy. Nosił wiele lat pasek, dokuczliwy jak włosienica, z racji przepukliny. Cierpiał na chroniczne migrenowe bóle głowy, pozostałość po zapaleniu opon mózgowych i po kopnięciu go przez konia w latach dziecięcych. Gruźlica i jej skutki dawały mu się we znaki. Wiele razy z powodu choroby było zagrożone jego życie²⁷.

„Jadł bardzo mało, połowę, a nawet mniej z tego, co nam podawano do stołu. Na śniadanie brał kawałek chleba bez masła lub coś innego z filiżanką kawy. Pił bardzo mało wina. Jeden ze współbraci podaje: «Jadałem z nim razem przy stole i zadawałem sobie pytanie, jak człowiek o tak wysokim wzroście, tak zawsze zajęty pracą, który cierpiał na bezsenność, mógł żyć, jedząc tak mało...». Zazwyczaj pościł, zwłaszcza w podróży. Twardo i stanowczo przestrzegał zasady, by unikać nieumiarkowania przy stole, co zwalczał u współbraci. Tym sposobem wyrażał sprzeciw zwyczajom dogadzania podniebieniu, jaki panował w okolicach Thierache, skąd pochodził. Ze względu na wstrzemięźliwość nazywano go pater optime (*père au petit mets* – ojciec małych kęsów). Nie grymasił, nie przebierał, nie narzekał nigdy na jedzenie”²⁸.

„Zalecał reguły dobrego wychowania przy stole, grzeczności w słowach i gestach, czystości i higieny w ubiorze i myciu. Wszczepiał zasadę: *Ni tache, ni trou* (Ani plam, ani dziur). W latach 1914-1918 cierpiał z powodu braku możliwości prania bielizny i czyszczenia odzieży. Był nawet zmuszony chodzić wtedy w brudnej sutannie”²⁹.

„W ubiorze był prosty, ubogi i skromny. Porządek i czystość były jego bogactwem. W Rzymie w lecie i zimą ubierał zawsze ten sam płaszcz. Umieblowanie jego pokoju było bardzo skromne: wydawało się nieodpowiednie do stanowiska generała zgromadzenia. Również jego kancelaria była skromna, ale bardzo czysta. Nawet przeciwnicy podziwiali go z powodu prostoty i ubóstwa. Dzięki temu z łatwością można go było uznać za przyjaciela ludzi ubogich i klasy robotniczej, za autentycznego apostoła społecznego. W Brukseli w pokoju miał żelazne łóżko tak małe, że musiał spać skulony, nie mogąc nigdy wyprostować nóg. Mimo że był przełożonym generalnym, nie sprawił sobie innego łóżka i na nim też zakończył życie. (...) Jeden ze współbraci wyznaje: «Moja cela była blisko jego celi i słyszałem, jak kaszlał całą noc». Według mojego rozeznania, nie powinien był dodawać umartwień do swego słabego życia”³⁰.

„Spał tak mało, że często robił wrażenie człowieka zmęczonego, o obliczu bladym, śpiącym i z podkrążonymi oczami. Bardzo cierpiał z powodu zimna i nie mógł rozgrzać nóg. (...) W umartwieniu jednak był bardzo zrównoważony, co stanowiło jego cechę charakterystyczną.

Również ślub ofiarnej żertwy, który złożył wraz z profesją zakonną 28 czerwca 1878 roku, był syntezą jego życia i świętości, unikając spektakularnych scen i niezdrowej pozy. Ojciec Dehon złożył siebie w ofierze jako żertwa miłości, a nie sprawiedliwości. Wolał uchwyt różgi oddać w ręce Boga i raczej zdać się całkowicie na Jego miłość, niż trzymać ją w swoich dłoniach. Taka postawa cechowała jego obłację z miłości, ducha oddania i żertwy, jego *Fiat!* – niech się stanie, które powtarzał tyle razy nie tylko w swoim dzienniku, ale nade wszystko w swoim życiu, naznaczonym wielkim cierpieniem i bolesnymi upokorzeniami. Naśladował w tym św. Teresę z Lisieux. Słusznie zaznaczył papież Pius X po audiencji udzielonej o. Dehonowi, zwracając się do swego otoczenia: «Poszukujemy świętych? Oto jednym z nich jest ten, który dopiero co wyszedł...». Wielu współbraci powtarzało: «Pozostawił po sobie wspomnienie świętości». Tutaj [tj. w parafii św. Marcina w Saint-Quentin] wszyscy uważają o. Dehona za świętego”³¹.

Na koniec tych bezcennych świadectw warto zacytować treść listu, który otrzymał 14 listopada 1911 roku ks. A. Guillaume od o. Dehona: „By zostać świętym, potrzeba dwóch rzeczy: po pierwsze, oderwać się od stworzeń i od samego

siebie; po drugie, miłowania Boga i miłowania dusz w Bogu. (...) Zostańmy świętymi! Ale świętymi ukrytymi, którzy spełnialiby wszelkie sprawy dobrze, bez hałasu i bez ostentacji”.

Czy o. Dehon zostanie przez Kościół wyniesiony na ołtarze? Bardzo tego pragniemy. Proces beatyfikacyjny sługi Bożego o. Leona Jana Dehona jest w toku. Módlmy się jeszcze goręcej w tej intencji, zanosząc do tronu Bożego nasze korne błagania: „Abyś sługę Bożego o. Leona Jana Dehona na ołtarze wynieść raczył – Ciebie prosimy, wysłuchaj nas, Panie”.

Sercanie w Polsce

Ojca Dehona nazywano bardzo dobrym ojcem (*très bon père*). Był dobry wszędzie, był dobry dla wszystkich. Dobroci jego serca doznało wielu ludzi. Było łaską spotkać się w życiu z tak zacnym i świętym człowiekiem.

Doświadczyli tej łaski także dwaj polscy klerycy, którzy mieszkali z nim pod jednym dachem w domu generalnym w Brukseli. Byli oni obecni również przy jego śmierci.

Dnia 10 sierpnia 1925 roku umierający o. Dehon zauważył wśród obecnych współbraci dwóch polskich kleryków: Ignacego Stoszkę i Władysława Majkę. Uśmiechnął się do nich i wzruszony, podnosząc głos, powiedział: „Ach, oto dwaj mali Polacy!”.

To ojcowskie błogosławieństwo umierającego przyniosło w późniejszym czasie obfite owoce. Zgromadzenie zdołało osiedlić się w Polsce

i rozwinąć na jej terenach różnorodną działalność, zgodną z charyzmatem Założyciela i wyznaczoną misją w Kościele.

Ojciec Założyciel marzył od dawna o osiedleniu się Sercanów w Polsce. Wracając z podróży do Rosji i Finlandii, zatrzymał się w pierwszej połowie sierpnia 1907 roku w Warszawie. Tam był świadkiem wizytacji biskupiej w jednej z parafii stolicy. Zdziwiły go nie tylko piękne stroje regionalne ludu witającego biskupa, ale nade wszystko jego głęboka religijność.

W listopadzie 1908 roku, niedługo po tej podróży, wysłał do Krakowa holenderskiego kleryka, Henryka Mayerinka, który pozostał tam do lipca 1909 roku. Po święceniach diakonatu, które otrzymał w Holandii, wrócił znów do Polski w styczniu 1910 roku, by uczyć się języka polskiego i zająć się poszukiwaniem kandydatów do zgromadzenia. Język polski był mu potrzebny w pracy wśród Polaków w Finlandii i w znalezieniu polskich kandydatów, których miał wysłać do niższego seminarium w Tervuren, w Belgii. Pierwszym z nich był czternastoletni Kazimierz Wiecheć, pochodzący z podkrakowskich Pychowic, który został w późniejszym czasie założycielem wspólnoty sercańskiej w Polsce. Kazimierz

Wiecheć po siedmiu latach studiów w Brugelette i w Tervuren wrócił do Polski.

Po powrocie uczęszczał w Krakowie na studia na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, a po ponownym uzyskaniu paszportu wyjechał do Belgii, gdzie w Lowanium kontynuował naukę. W październiku 1919 roku udał się do Włoch, by 25 lipca 1920 roku, po ukończeniu studiów teologicznych w Bolonii, otrzymać święcenia kapłańskie. Następnie wrócił do Polski, gdzie odbyły się jego prymicje. Jako kapłan przez jakiś czas pracował, szukając nowych powołań do zgromadzenia. Pomagał mu w tym ks. prałat Mateusz Jez, jego katecheta z lat dziecięcych, kapłan mający bardzo gorące nabożeństwo do Bożego Serca.

Podróżując po Małopolsce, ks. Wiecheć znalazł wielu dobrych i wartościowych młodzieńców, wśród których wyróżniali się dwaj kandydaci z Myślenic: Władysław Majka i Julian Lubowiecki. Trzecim był Ignacy Stoszko, kandydat z Dołów w diecezji tarnowskiej. Udali się oni z ks. Wiecheciem do Włoch, aby odbyć nowicjat w Albisoli Superiore.

W latach 1921 i 1922 ks. Wiecheć znów przebywał w Polsce w poszukiwaniu nowych powołań.

Za pierwszym razem znalazł pięciu chętnych młodzieńców, z których pozostał w zgromadzeniu jedynie Paschalis Świder, pochodzący z Przybyszówki koło Rzeszowa, późniejszy brat zakonny.

W rok potem wyjechał z nim, by odbyć nowicjat, Marian Cichoń, znany i szanowany później kapłan w zgromadzeniu, który przez długie lata chorował, a swym cierpieniem w duchu wynagrodzenia stał się budującym przykładem zakonnika zdanego całkowicie na Boga.

Następnymi byli: Józef Wielgus, Franciszek Nagy, Franciszek Solak, Michał Wietecha i Franciszek Zawadziński - przyszli księża zgromadzenia.

Rok 1928 stał się historyczną datą osiedlenia się zgromadzenia w Polsce. Ksiądz Kazimierz Wiecheć przybył do Krakowa 1 kwietnia i zamieszkał w Domu Księży Emerytów przy ul. św. Marka 10, gdzie rektorem był ks. Mateusz Jeż, jego były katecheta i serdeczny przyjaciel. W kilka dni później jako kandydaci do nowicjatu zgłosili się: Stanisław Michalik ze Stadnik i Wincenty Turek z Izdebnika, który został pierwszym w Polsce misjonarzem ludowym ze zgromadzenia. W Stadnikach, na dobrach rodzinnych ks. Stanisława Michalika, zgromadze-

nie wybudowało później swój dom nowicjacki i kościół parafialny.

Ksiądz Wieheć odesłał kandydatów do nowicjatu w Albisoli, gdzie w latach 1920-1928 aż 23 kandydatów Polaków odprawiło nowicjat; 11 z nich pozostało w zgromadzeniu.

Lata spędzone we Włoszech przez ks. Kazimierza Wiehecia, od 1919 do 1928 roku, były okresem wielce udanym i szczęśliwym w jego życiu – spełniły się bowiem ukryte marzenia jego serca, dotyczące założenia fundamentów pod budowę prowincji Księży Sercanów w Polsce.

Ksiądz Wieheć skoncentrował wszystkie swoje wysiłki na znalezieniu rezydencji dla zgromadzenia. Po wielu kontaktach i rozmowach otrzymał wreszcie ofertę od metropolity krakowskiego, bp. Adama Sapiehy, który mu zaproponował osiedlenie się w Krakowie, w dzielnicy bez świątyni, w Płaszowie. Cała ta dzielnica należała do ogromnej parafii św. Józefa w Podgórzu, liczącej 36 tysięcy wiernych, i między innymi na skutek dużej odległości od kościoła parafialnego była bardzo zaniedbana religijnie i moralnie.

Dnia 22 września 1928 roku, w następstwie usilnych starań, w Płaszowie przy ul. Koszykarskiej 7 zamieszkali: ks. Wieheć, ks. Majka, który

wrócił z Francji, i br. Paschalis Świder, który przybył z Bolonii. Ponieważ w domu nie było kaplicy, księża odprawiali Mszę świętą w kaplicy domowej ochronki Sióstr Służebniczek, mieszkających w sąsiedztwie. Przy tej kaplicy rozpoczęto też pracę duszpasterską dla miejscowej ludności, zaniedbanej religijnie, obojętnej wobec Kościoła, a nawet wrogo nastawionej do duchowieństwa. Nauka religii prowadzona w miejscowej szkole i wizyta duszpasterska z okazji kolędy świątecznej zmieniły nieco nastroje wśród wiernych. Z czasem praca księży przyniosła błogosławione owoce.

W lipcu 1929 roku do kraju wrócił ks. Julian Lubowiecki, który objął etat katechety w miejscowej szkole. On to jako pierwszy sercanin mógł odprawić Mszę świętą prymicyjną w kraju. W styczniu 1930 roku wrócili z zagranicy dwaj neoprofesi: Stanisław Michalik i Wincenty Turek, a w lipcu kleryk Michał Wietecha. Z Francji przyjechał też ks. Ignacy Stoszko, który niebawem pojechał do Strasburga w celu ukończenia studiów, uwieńczonych doktoratem z teologii.

Księża sercanie mieszkali przy ul. Koszykarskiej dwa lata, aż do kwietnia 1931 roku.

W 1929 roku władze miejskie Krakowa ofiarowały zgromadzeniu teren w Płaszowie pod

budowę nowego kościoła i domu zakonnego. Miejscowa ludność, zachęcona przykładem księży, którzy pracowali przy budowie, ofiarnie włączyła się w to dzieło. Praca mimo trudności finansowych postępowała naprzód, tak że już w kwietniu 1931 roku księża mogli przenieść się do nowo wybudowanego domu przy ul. Saskiej. Ukończono również budowę kościoła. Poświęcenie świątyni nastąpiło po misji, przeprowadzonej przez Ojców Redemptorystów 4 października 1931 roku. W przeddzień zakończenia misji nastąpiło uroczyste wprowadzenie do świątyni obrazu Matki Bożej Płaszowskiej z XV wieku; był to dar Stanisława Cichonia, ojca ks. Mariana.

Na wiosnę 1931 roku odbyła się pierwsza wizytacja kanoniczna przełożonego generalnego, ks. Wawrzyńca Philippe'a, który przywiózł ks. Wiecheciowi dar od prowincji holenderskiej w postaci 10 tysięcy florenów na otwarcie seminarium. W następnym roku o. generał znów odwiedził Polskę, zabierając w drogę powrotną czterech kleryków na studia do Francji.

Drugą wizytację kanoniczną przeprowadził, od 30 maja do 4 czerwca 1936 roku, nowy generał zgromadzenia ks. Wilhelm Govaart. Trzecią, w sierpniu 1939 roku, natomiast ks. Alojzy Duborgel, asystent generalny.

W 1932 roku ks. Wiecheć zdołał otworzyć niższe seminarium w Płaszowie. W pierwszym roku działalności seminarium liczyło 40 chłopców w trzech klasach. Pierwsi alumni, którzy zostali kapłanami, to księża: Adam Gąsiorek, Stefan Rychlicki i Stefan Kierpiec.

W sierpniu 1935 roku siedmiu kandydatów do nowicjatu, wychowanków seminarium, odjechało z Krakowa do Brugelette w Belgii. Rok później następnii dwaj kandydaci udali się do Amiens we Francji.

Zaistniała konieczność posiadania własnego nowicjatu w kraju, ponieważ kandydatów było coraz więcej i nie można było posyłać ich za granicę. W końcu, po różnych poszukiwaniach, w czerwcu 1937 roku został otwarty nowicjat w Felsztynie koło Sambora, w diecezji przemyskiej. Pierwszym magistrem nowicjatu dla 14 kandydatów był od 24 czerwca ks. Władysław Majka. Obłóczyny odbyły się w Płaszowie; dokonał ich ks. bp Wilhelm Cobben, wikariusz apostolski Helsinek w Finlandii.

W styczniu 1939 roku ks. Ignacy Stoszko został pierwszym proboszczem w Płaszowie, parafii powierzonej zgromadzeniu, a w lipcu przełożonym regionalnym. Radnymi regionalnymi mianowano ks. Majkę i ks. Wiechecia.

1 września 1939 roku, w dniu wybuchu drugiej wojny światowej, Zgromadzenie Księży Sercanów w Polsce liczyło: 19 kapłanów, 18 scholastyków, 2 braci zakonnych, 8 nowicjuszy, 4 postulantów, czyli kandydatów do zgromadzenia. Wojna dała się we znaki wszystkim sercanom polskiego regionu: przebywającym w kraju i znajdującym się na studiach za granicą. Zmusiła do ucieczki mieszkańców nowicjatu w Felsztynie; 9 września 23 uciekinierów opuściło dom, udając się wśród powszechnego chaosu, panującego wtedy w Polsce, na południowy wschód kraju. Podzieleni na dwie grupy dotarli do Włoch: jedni przez Rumunię, drudzy przez Węgry. Przyjęci serdecznie przez ks. generała Wilhelma Govaarta w Rzymie zostali oddani prowincji włoskiej pod opiekę. Dzięki braterskiej trosce włoskich współbraci mogli ukończyć studia i otrzymać święcenia kapłańskie, a wreszcie po zakończeniu wojny wrócić do Polski.

Inny los spotkał współbraci przebywających na studiach we Francji i Belgii: zostali oni powołani do wojska. Po nieudanej ucieczce do Anglii dostali się do Lourdes, gdzie spędzili 10 dni pod opieką prymasa Polski, kardynała Augusta Hlonda, będącego gościem miejscowego biskupa. Stamtąd udali się do Neussages i później do

Saint-Cirgues, gdzie mogli kontynuować studia teologiczne i otrzymać święcenia kapłańskie. Po wojnie wrócili do Polski.

Czasy okupacji niemieckiej były także bardzo ciężkie dla współbraci, którzy pozostali w ojczyźnie. Po początkowym zamieszkaniu w ukryciu przed władzami okupacyjnymi zostało uruchomione niższe seminarium, w którym uczyło się 40 chłopców. Gdy na wiosnę 1940 roku rozpoczęto wywóz młodzieży do Niemiec, ks. Michał Wietecha podjął odważną decyzję: młodych wychowanków odesłał do domu, starszych ubrał w sutanny i zostawił w domu jako zakonników. Mimo wielu trudności i niebezpieczeństw wychowankowie zdołali ukończyć gimnazjum i w 1943 roku złożyć maturę.

Na wiosnę 1941 roku dom płażowski został zajęty przez policję niemiecką i przez rodziny wysiedlone z terenów włączonych do Rzeszy.

Dnia 8 grudnia 1943 roku maturzyści rozpoczęli postulat, w marcu zaś nowicjat. Jednak niebawem płażowski dom został zamieniony na koszary niemieckie. Nowicjat więc przeniesiono do Stadnik, do rodzinnego domu ks. Stanisława Michalika. Z nowicjuszami pojechał również ks. Michał Wietecha, ówczesny rektor domu płażowskiego.

Podczas okupacji nie brakowało kłopotów, zagrożeń i niebezpieczeństw. Jednak żaden z sercanów nie został aresztowany ani wywieziony do obozu koncentracyjnego.

W styczniu 1945 roku działalność zgromadzenia w Polsce rozpoczęła się jakby na nowo.

Pierwszym radosnym wydarzeniem były święcenia kapłańskie dwóch diakonów: Stanisława Nagyego i Dionizego Buckiego, które odbyły się w Krakowie 8 lipca 1945 roku. Drugim – powrót współbraci z Włoch i Francji. Trzecim wreszcie – ponowne otwarcie niższego seminarium w Płaszowie. Początkowo alumnów było niewielu, napływały jednak wciąż nowe zgłoszenia i trzeba było pomyśleć o rozbudowie seminarium.

Już w czerwcu 1946 roku rozpoczęto budowę nowego skrzydła. Przy budowie pracowali wszyscy. Dzięki pomocy księży i wychowanków prace zostały szybko ukończone i już po roku można było się wprowadzić do nowych, obszerniejszych pomieszczeń.

Dnia 19 września 1946 roku ponownie otwarto nowicjat w domu państwa Michalików w Stadnikach. Był on ciasny, zaczęto więc myśleć o budowie nowej siedziby, a także świąty-

ni, gdyż miejscowa ludność miała daleko do parafialnego kościoła w Gdowie.

Po wojnie ks. Wincenty Turek rozpoczął pracę apostolską, głosząc misje i rekolekcje w parafiach całej Polski. W tej pionierskiej pracy pomagali mu księża: Franciszek Nagy, Stefan Rychlicki i Stanisław Sidelko. Później dołączyli do nich jeszcze inni misjonarze.

Praca Księży Sercanów zaczęła się rozwijać w trzech kierunkach. Zajmowano się: kształceniem przybywającej do zgromadzenia młodzieży w niższym seminarium, w nowicjacie i w scholastykacie; pracą duszpasterską w parafiach i katechezą w szkołach; wreszcie prowadzeniem misji i głoszeniem rekolekcji parafialnych. Później podjęto także pracę na misjach zagranicznych.

Dnia 10 stycznia 1947 roku została ustanowiona kanonicznie Prowincja Polska, z pierwszym prowincjałem ks. Michałem Wietechą, który objął urządowanie 15 lutego.

W marcu 1946 roku Wojciech Michalik podarował zgromadzeniu w Polsce przeznaczoną dla syna Stanisława część swej posiadłości w Stadnikach (około 2 ha gruntu). 10 czerwca 1947 roku rozpoczęto na tym terenie prace nad wzniesieniem kościoła i domu nowicjackiego.

14 sierpnia 1948 roku nastąpiło przeniesienie nowicjatu z domu państwa Michalików do nowych pomieszczeń. 15 sierpnia objął tu urządowanie nowy rektor, ks. Adam Gąsiorek. Nowicjat miał 13 postulantów. 19 września poświęcono nowy kościół, którego pierwszym proboszczem został w 1951 roku ks. Czesław Kunda.

W 1949 roku zgromadzenie w Polsce zajęło tereny poza granicą diecezji krakowskiej. Objęło parafię we Florynce w diecezji tarnowskiej, z kościołami filialnymi w Binczarowej i w Wawrzce. Osiedliło się także w Tarnowie przy ul. Rogoyskiego, skąd klerycy mogli uczyć się na studia filozoficzno-teologiczne do seminarium diecezjalnego.

Dnia 1 lipca 1949 roku zgromadzenie nabyło nowy dom w Zakopanem przy ul. Gimnazjalnej 6.

Dnia 12 grudnia w Krakowie zmarł 54-letni ks. Kazimierz Wiecheć, który przeszczepił Zgromadzenie Księży Sercanów na grunt polski.

W czasach stalinowskich doszło do dramatycznego aktu przemocy wobec zgromadzenia: odebrano dwa domy zakonne – w Krakowie w 1952 roku i w Stadnikach w 1954 roku. Mimo tego posunięcia i innych groźnych szykan zgromadzenie rozwijało się, szukając innych, nawet

bardzo trudnych rozwiązań. I tak w 1952 roku objęło parafię w Węglówce, gdzie udało się umieścić, przynajmniej tymczasowo, nowicjuszy i postulantów. W 1954 roku, po likwidacji domu w Stadnikach, klerycy udali się do Tyńca, gdzie korzystali z serdecznej gościnności Ojców Benedyktynów i mogli kontynuować swoje studia, aby przygotować się do kapłaństwa. Pozostali tam dwa lata, by w 1956 roku przenieść się do wynajętego domu w Mszanie Dolnej.

Narastające trudności następnych lat stały się okazją do osiedlenia się zgromadzenia w dwóch następnych parafiach: lubelskiej i sandomierskiej. W 1957 roku nastąpiło otwarcie domu nowicjackiego z kaplicą dla miejscowej ludności w Pliszczynie koło Lublina, a w 1959 roku domu dla studentów uczęszczających na Katolicki Uniwersytet Lubelski. W 1960 roku, dzięki wielkiej życzliwości ks. prałata Marcina Popiela i ks. biskupa Lorka, powiodła się fundacja w diecezji sandomierskiej, w Chmielowie, a w późniejszym czasie w Denkowie i Mychowie.

W 1963 roku zostało zlikwidowane niższe seminarium w Mszanie Dolnej. Tymczasem wciąż przybywało kandydatów, którzy po maturze zgłaszali się do zgromadzenia. Akcja budzenia powołań oraz liczne modlitwy zanoszone do

Boga w tej intencji wydawały swoje owoce. Domy formacyjne były pełne, wciąż małe i ciasne dla licznie zgłaszającej się młodzieży. Rosły szeregi młodych księży, palących się do pracy kapłańskiej w duchu właściwym zgromadzeniu. Dlatego też pojawiła się konieczność poszukiwania nowych placówek i możliwość pracy dla młodych entuzjastów.

W 1966 roku kapłani zgromadzenia objęli duszpasterstwo w Staniątkach, w 1972 roku w Koszycach Małych, a w następnych latach w Glisnem, w nowo powstałej parafii w Lublinie i Bełchatowie, w Sosnowcu i Gołębiu, a także w Warszawie i Gdyni.

Od 1960 roku rozpoczęły się rozmowy w sprawie wyjazdu księży na misje zagraniczne. Do dwóch diecezji na Sumatrze, w Palembang i Tanjung-Karang, gdzie pracowali sercańscy misjonarze z różnych prowincji, w 1967 roku wyjechało 12 misjonarzy z Krakowa. Następni pojechali do Konga. Obecnie w Kongo przebywa 5 polskich sercanów. Z pozostałych pracujących za granicą księży 7 przebywa w Austrii, 12 na Białorusi, 5 w Chorwacji, 2 na Filipinach, 6 w Finlandii, 5 we Francji, 1 w Indiach, 4 w Indonezji, 5 w Kamerunie, 9 w Mołdawii, 4 w Niemczech, 7 w Południowej Afryce, 3 na Słowacji,

4 w Szwajcarii, 4 na Ukrainie, 1 w USA i 7 we Włoszech.

Nowych powołań jest w ostatnich latach coraz więcej. W nowicjacie w Stopnicy jest 16 kandydatów. W Stadnikach 38 diakonów i kleryków przygotowuje się do kapłaństwa.

W 1953 roku Prowincja Polska obchodziła uroczystości jubileuszowe związane z 25. rocznicą obecności Sercanów w Polsce. Minęło następne ćwierćwiecze. W 1978 roku świętowano jubileusz stulecia zgromadzenia oraz pięćdziesięciolecia osiedlenia się w Polsce. Obchody podwójnego jubileuszu miały miejsce w Krakowie i Stadnikach 2 i 11 czerwca. Główne uroczystości odbyły się w Stadnikach 11 czerwca. Mszę świętą odprawił ówczesny metropolita krakowski, kard. Karol Wojtyła, który też wygłosił kazanie okolicznościowe, ukazując potrzebę kultu Serca Jezusowego i działalności zgromadzenia w dzisiejszym świecie. Mszę świętą koncelebrowali z ks. Kardynałem nie tylko liczni sercanie, przybyli z różnych stron Polski i z zagranicy, ale także przedstawiciele innych zakonów i zgromadzeń męskich oraz kleru diecezjalnego.

Z perspektywy można śmiało stwierdzić, że Zgromadzenie Księży Najświętszego Serca

Jezusowego w Polsce włożyło wiele pracy w dzieło budowy królestwa Bożego Serca w świecie, królestwa miłości, sprawiedliwości i pokoju. Działało, idąc drogą wytyczoną przez swego Założyciela, o. Leona Jana Dehona, który w centrum swego programu postawił Chrystusowe: „Oto idę, Ojcze”. Słowa te były dla Sercanów wezwaniem do pójścia wszędzie tam, gdzie wzywało ich Boskie Serce i misja wskazana im przez Założyciela.

Nota od Wydawcy

Książka, która trafia do rąk Czytelnika, została oparta na wydaniu z 1985 roku. Było ono przeznaczone wyłącznie do użytku wewnętrznego Zgromadzenia Księży Najświętszego Serca Jezusowego w Polsce.

Mamy nadzieję, że niniejsza książka przybliży Czytelnikowi postać Założyciela Zgromadzenia Księży Sercanów, o. Leona Jana Dehona. Na jej kartach zamieszczona została nie tylko jego interesująca biografia, ale również wspomnienia osób, które spotkały o. Dehona na swojej życiowej drodze.

W niniejszym edycji dokonano aktualizacji informacji dotyczących liczebności i działalności Sercanów w Polsce i na świecie.

Wprowadzone zostały również niewielkie zmiany językowe w całości tekstu.

Redakcja

Skróty

- AD – Archiwum Dehoniańskie, Rzym – Kuria Generalna SCJ.
- NHV – *Notes sur l'histoire de ma vie* – osobiste wspomnienia o. Dehona, obejmujące okres od 1843 do 1886 roku, zawarte w 15 „czarnych” zeszytach.
- NQ – *Notes quotidiennes* – dziennik pisany przez o. Dehona w latach 1886-1925 składający się z 45 „szarych” zeszytów.

Przypisy

Wstęp

1. NQ 42, 38.

Rozdział I

1. Cyt. za: P. Tanzella, *Per lui vivo. I fioretti di Padre Dehon*, Neapol-Andria 1978, s. 9.
2. NHV 1, 1-2.
3. NQ 35, 94.
4. NHV 1, 4-7.
5. NHV 1, 2.
6. NHV 1, 6-7.
7. Tamże.
8. NHV 1, 8-9.

9. Por. NHV 1, 9.
10. NHV 1, 10.
11. Por. NHV 1, 13 i 28.
12. NHV 1, 13 i 16.
13. NHV 1, 17.
14. Tamże.
15. NHV 1, 23.
16. NHV 1, 13-14.
17. NHV 1, 25.
18. NHV 1, 26.
19. NHV 1, 29.
20. NHV 1, 31.
21. NHV 1, 31.

Rozdział II

1. NHV 1, 31.
2. NHV 1, 33.
3. NHV 1, 33.
4. NHV 1, 33.
5. NHV 1, 34.
6. NHV 1, 42.
7. NHV 1, 36.
8. NHV 1, 43.
9. Por. NHV 1, 40.
10. NHV 1, 61.
11. NHV 1, 58.
12. NHV 1, 59.
13. NHV 1, 60.
14. NHV 1, 64.
15. NHV 2, 1.
16. NHV 2, 62.
17. NHV 2, 66.

18. NHV 2, 70.
19. NHV 2, 66.

Rozdział III

1. NHV 1, 10.
2. NHV 2, 21-22.
3. NHV 2, 69.
4. NHV 2, 71.
5. NHV 2, 75.
6. NHV 2, 77.
7. NHV 3, 13.
8. NHV 3, 19.
9. NHV 3, 47.
10. NQ 6, 10-35.
11. NHV 3, 53.
12. NHV 3, 128.
13. NHV 3, 139.
14. NHV 3, 147.
15. NHV 3, 149.
16. NHV 3, 173.
17. NHV 4, 19.
18. NHV 4, 14.
19. NHV 4, 97.

Rozdział IV

1. NHV 4, 98.
2. NHV 4, 101.
3. NHV 4, 102-103.
4. NQ 6, 41-42; cyt. za: G. Frediani, *Un apostolo dei tempi nuovi. P. Leone Giovanni Dehon fondatore dei „Sacerdoti del S. Cuore”*, Rzym 1960, s. 53.
5. NHV 4, 123.

6. NQ 6, 42-43; cyt. za: G. Frediani, dz. cyt., s. 57-58.
7. NHV 4, 138.
8. NHV 4, 148.
9. NHV 4, 183.
10. NHV 5, 2.
11. NHV 5, 5.
12. NHV 5, 55-56.
13. NHV 5, 68.
14. NHV 5, 131.
15. NHV 5, 134.
16. NHV 5, 5.
17. NHV 6, 62-63.
18. NHV 6, 30-33.
19. NHV 8, 56.
20. NQ 8, 202.

Rozdział V

1. NQ 6, 44.
2. NQ 6, 48.
3. NQ 6, 59.
4. NQ 6, 87.
5. NQ 6, 102.
6. NQ 6, 117.
7. NHV 6, 66.
8. NHV 6, 77.
9. NHV 6, 79.
10. NHV 6, 81-82.
11. NHV 6, 83.
12. NHV 6, 84.
13. NHV 6, 131.
14. NHV 6, 144.
15. NHV 6, 184.

16. NHV 7, 4.
17. NHV 7, 123.
18. NHV 7, 41.
19. NHV 8, 72.
20. NHV 8, 92.
21. NHV 8, 121.
22. NHV 9, 34.
23. NHV 9, 35.
24. NHV 9, 36.
25. NHV 9, 43.
26. R. Prélot, *L'oeuvre sociale du chanoine Dehon*, Paryż 1936, s. 40, przypis 1.

Rozdział VI

1. NHV 9, 43.
2. NHV 9, 13.
3. NHV 9, 63.
4. NHV 9, 64.
5. NHV 9, 69.
6. NHV 9, 71.

Rozdział VII

1. NHV 9, 90-91.
2. R. Prélot, *L'oeuvre sociale du chanoine Dehon*, Paryż 1936, s. 45.
3. Por. tamże, s. 53.
4. NHV 9, 166.
5. Tamże.
6. NHV 10, 2.
7. NHV 10, 69.
8. NHV 12, 127-128.
9. NHV 12, 121-122.

10. Por. NHV 10, 97-98.
11. NHV 10, 100.
12. NHV 10, 155.
13. NHV 10, 164.
14. NHV 11, 94.
15. NHV 11, 107.
16. NHV 11, 103.
17. NHV 10, 168.

Rozdział VIII

1. NHV 12, 117.
2. P. Tanzella, *Per lui vivo. I fioretti di Padre Dehon*, Neapol-
-Andria 1978, s. 120.
3. HNV 12, 119.
4. Tamże.
5. NHV 12, 158-159.
6. NHV 12, 163.
7. NHV 12, 164.
8. NHV 12, 165.
9. NHV 12, 151.
10. NHV 12, 165.
11. NHV 13, 100.
12. Cyt. za: A. Ducamp, *Le père Dehon et son oeuvre*, Paryż
1936, s. 557.
13. NHV 13, 101.
14. NHV 12, 185.
15. NHV 14, 94-95.
16. NHV 14, 148.
17. NHV 14, 182.
18. Cyt. za: A. Ducamp, dz. cyt., s. 254.
19. NQ4, 23.

20. Cyt. za: A. Ducamp, dz. cyt., s. 307.

21. NHV 15, 71.

Rozdział IX

1. NHV 15, 83.

2. „Le Règne du Sacré-Coeur de Jésus, 1894, s. 503.

3. R. Prélôt, *L'oeuvre sociale du chanoine Dehon*, Paryż 1936, s. 12.

4. Tamże, s. 128-129.

5. *Manuel social chrétien*, [w:] *Oeuvres sociales*, Neapol 1976, t. III, s. 158.

6. R. Prélôt, dz. cyt., s. 216-217.

7. „Le Règne...”, 1903, s. 426; NQ 12, 42.

8. L. J. Dehon, *La rénovation sociale chrétienne*, Paryż 1900, s. 50.

9. J. Dorvai, *L'éternelle conquérante*, Paryż 1925, s. 148.

10. L. J. Dehon, *La rénovation...*, s. 51.

11. L. J. Dehon, *Directions pontificales politiques et sociales*, Paryż 1897, s. 110.

Rozdział X

1. NQ 4, 86.

2. NQ 4, 97.

3. NQ 18, 125.

4. NQ 35, 81-83.

5. NQ 39, 52.

6. NQ 41, 32.

7. NQ 36, 62.

8. NQ 40, 110.

9. NQ 41, 11-12.

10. NQ 43, 99-100.

Rozdział XI

1. NQ 43, 130.
2. NQ 43, 91.
3. AD, B 24/9.
4. A. Ducamp, *Le père Dehon et son oeuvre*, Paryż 1936, s. 535.
5. *Visita di SS. Giovanni Paolo II alla parrocchia del S. Cuore di Christo Re*, Rzym 1980, s. 14.

Rozdział XII

1. Litt. Circ. 9, 11-12.
2. Litt. Circ. 9, 12.
3. NQ 44, 49.
4. NQ 44, 97.
5. NQ 45, 1.
6. NQ 44, 103.
7. NQ 45, 42-44.
8. Por. G. Kanters SCJ, *Le T. R. P. Léon Dehon, fondateur des Prêtres du S.-C., esquisse biographique*, Dumois 1930, s. 84.
9. A. Ducamp, *Le père Dehon et son oeuvre*, Paryż 1936, s. 155-156.

Rozdział XIII

1. G. Kanters SCJ, *Le T. R. P. Léon Dehon, fondateur des Prêtres du S.-C., esquisse biographique*, Dumois 1930, s. 21-22.
2. „Le Règne du Sacré-Coeur de Jésus”, 28/1936/170.
3. H. Dorresteyn SCJ, *Vita et personalità di Padre Dehon*, Bolonia 1978, s. 326-327.
4. AD, B 48/2, 475.
5. AD, B 20/8, 273.
6. AD, B 48/2, 42.

7. AD, B 48/2, 7.
8. Por. AD, B 48/2, 16.
9. Por. AD, B 48/3, 139.
10. AD, B 48/2, 12, 310, 489.
11. Por. AD, B 48/2, 24.
12. AD, B 48/2, 243.
13. AD, B 48/2, 309.
14. AD, B 48/2, 211, 208.
15. AD, B 48/2, 410, 420.
16. AD, B 48/2, 238, 259, 314.
17. AD, B 48/2, 35, 232, 297.
18. AD, B 48/2, 237, 265, 242.
19. AD, B 48/2, 242, 245.
20. AD, B 48/2, 392.
21. AD, B 48/2, 38, 70.
22. AD, B 48/2, 242.
23. AD, B 48/2, 14, 93, 125.
24. AD, B 48/2, 208, 237, 301.
25. AD, B 48/2, 232, 258, 240, 271, 437.
26. AD, B 48/2, 212, 216, 301.
27. AD, B 48/2, 69, 119, 301.
28. AD, B 48/2, 219, 253, 282.
29. AD, B 48/2, 401.
30. AD, B 48/2, 71-72.
31. AD, B 48/2, 137, 239.

Bibliografia

- Dehon L. J., *Directions potificales politiques et sociales*, Paryż 1897.
- Dehon L. J., *La rénovation sociale chrétienne*, Paryż 1900.
- Dehon L. J., *Lettere circolari*, Bolonia 1954.
- Dehon L. J., *Notes quotidiennes* (dziennik obejmujący lata 1886-1925).
- Dehon L. J., *Notes sur l'histoire de ma vie* (wspomnienia z lat 1843-1886).
- Dorresteijn H. SCJ, *Vita et personalità di Padre Dehon*, Bolonia 1978.
- Dorval J., *L'éternelle conquérante*, Paryż 1925.
- Ducamp A. SCJ, *Le père Dehon et son oeuvre*, Paryż 1936.
- Frediani G., *Un apostolo dei tempi nuovi. P. Leone Giovanni Dehon fondatore dei „Sacerdoti del S. Cuore”*, Rzym 1960.
- Kanters G. SCJ, *Le T. R. P. Léon Dehon, fondateur des Prêtres du S.-C, esquisse biographique*, Dumois 1930.
- Prélot R., *L'oeuvre sociale du chanoine Dehon*, Paryż 1936.
- Tanzella P. SCJ, *Per lui vivo. I fioretti di Padre Dehon*, Neapol-Andria 1978.
- Visita di SS. Giovanni Paolo II alla parrocchia del S. Cuore di Christo Re*, Rzym 1980.

Spis treści

Wstęp	11
Rozdział I	
Wczesne dzieciństwo i lata szkolne	15
Rozdział II	
Studia i adwokatura	35
Rozdział III	
Turysta i pielgrzym	51
Rozdział IV	
Lata seminaryjne	65
Rozdział V	
Dobry syn i kapłan	85
Rozdział VI	
W poszukiwaniu drogi	107
Rozdział VII	
Działalność duszpasterska	115
Rozdział VIII	
Założyciel zgromadzenia zakonnego	135
Rozdział IX	
W służbie katolickiej nauki społecznej	161
Rozdział X	
Całkowite oddanie się Bożemu Sercu	179

Rozdział XI	
Rozwój zgromadzenia i budowa świątyni w Rzymie	195
Rozdział XII	
„Dla Niego żyję i dla Niego umieram”	205
Rozdział XIII	
Wspomnienia naocznych świadków	217
Rozdział XIV	
Sercanie w Polsce	239
Nota od Wydawcy	257
Skróty	259
Przypisy	259
Bibliografia	269



La Capelle.
Dom rodzinny o. Leona Jana Dehona



O. Leon Jan Dehon
w wieku 16 lat



O. Leon Jan Dehon
w 21. roku życia

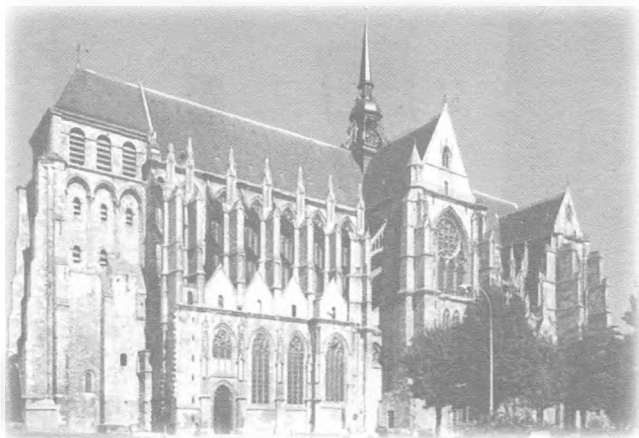
O. Leon Jan Dehon
jako 22. seminarzysty



O. Leon Jan Dehon
w 33. roku życia



Założyciel Zgromadzenia w czasie podróży
do Finlandii (odwiedził wówczas Warszawę)

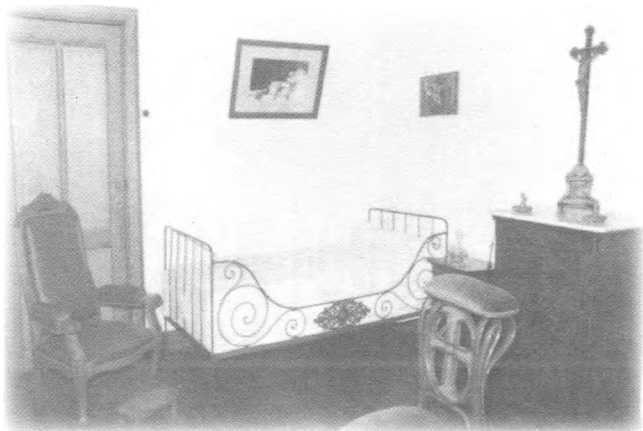


Saint-Quentin.

Bazylika św. Marcina zbudowana przez
o. Leona Jana Dehona



Saint-Quentin. Tablica:
„Tu spoczywa ciało
Sługi Bożego o. Leona
Jana Dehona Założyciela
Księży Sercanów.
Ukochał Serce Jezusa
i zasnął w Jego pokoju”



Bruksela. Pokój o. Leona Jana Dehona



La Capelle. Polscy Sercanie przy grobie rodziny o. Dehona



Kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa
w Krakowie-Płaszowie



Matka Boska Piasecka.
Patronka Polskiej Prowincji



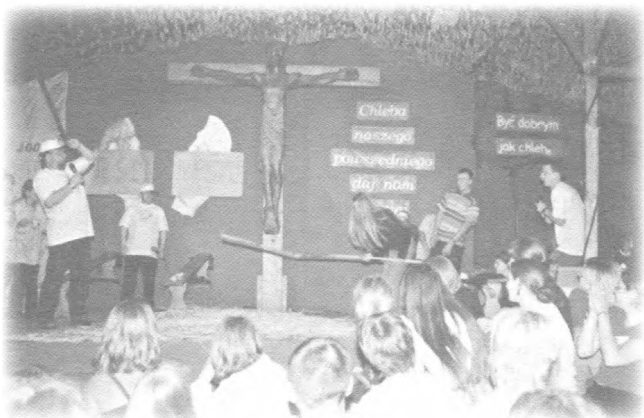
Ks. Kazimierz Wiecheć,
założyciel Polskiej
Prowincji Zgromadzenia
Księży Najświętszego
Serca Jezusowego



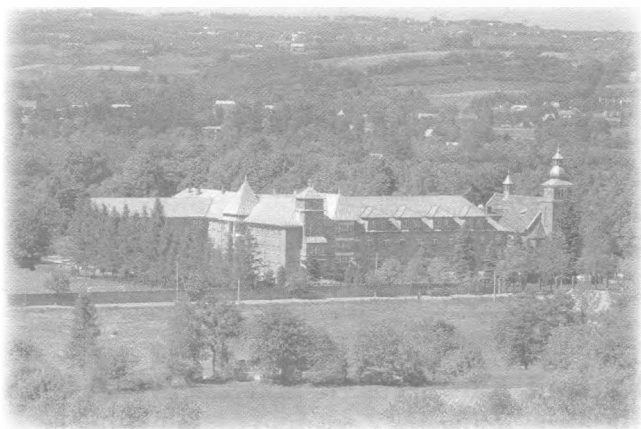
Ks. Ignacy Stoszko,
pierwszy przełożony
regionalny Polskiej
Prowincji



Stopnica. Nowicjat Księży Sercanów



Pliszczyn. Dom rekolekcyjny.
Sercańskie Dni Młodych



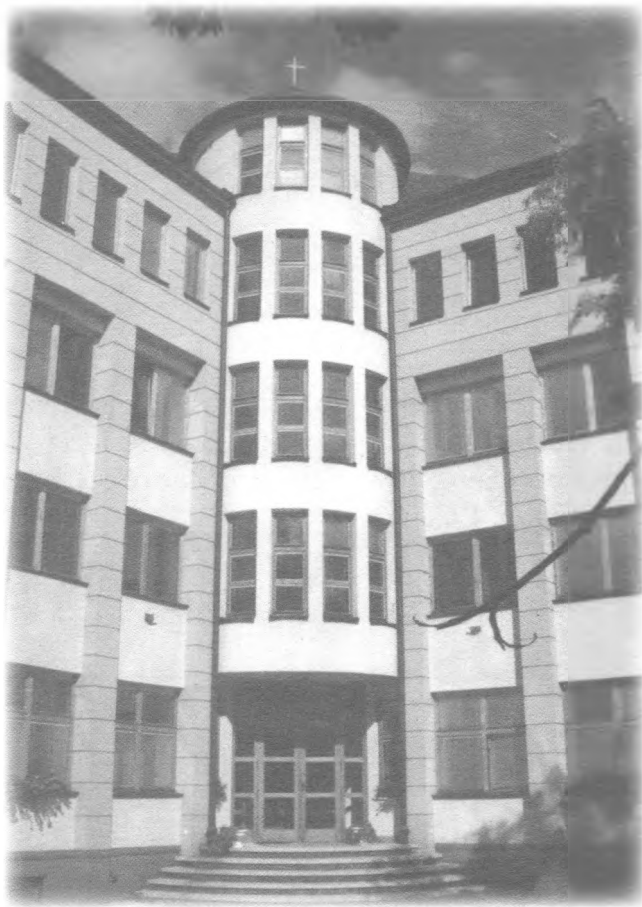
Stadniki. Wyższe Seminarium Misyjne
Księży Sercanów



Ks. kard. Karol Wojtyła podczas uroczystości 100-lecia istnienia Zgromadzenia i 50-lecia obecności Sercanów w Polsce. Stadniki, 11 czerwca 1978 r.



General Zgromadzenia Virginio Bressanelli dziękuje Ojcu Świętemu za beatyfikację ks. Jana Marii Garcíi Méndeza



Warszawa. Prowincjalat i centrum misji zagranicznych



Rzym. Kuria Generalna Księży Sercanów

Zgodnie z wypowiedziami naocznych świadków, jest niewątpliwe, że o. Dehon był indywidualnością wybitną i wyjątkową. Jego wygląd zewnętrzny, walory moralne i intelektualne zdradzają wzajemne i głębokie przenikanie się zalet ludzkich z darami nadprzyrodzonymi. Wysoki, smukły, wytworny, wszechstronnie wykształcony, inteligentny, bystry, szlachetny i prosty, wrażliwy i otwarty, wyrozumiały dla wszystkich, chłonny na piękno natury i humanistyczne bogactwa historii i sztuki – był człowiekiem wielkiego formatu.

(fragment z książki)

 WYDAWNICTWO
KSIĘŻY
SERCANÓW

ISBN 83-88465-93-7



9 798388 465931